

LAURIE HALSE ANDERSON

PONAD MILION
SPRZEDANYCH
EGZEMPLARZY

Speak

wykrzycz ten ból

Feeria
young



LAURIE HALSE ANDERSON

Speak

wykrzycz ten ból

Przekład:
Anna Matyszczak

Feeria
young

Spis treści

PRZEDMOWA

PIERWSZY OKRES

DRUGI OKRES

TRZECI OKRES

CZWARTY OKRES

POSŁOWIE

GŁOSY I SŁOWA W RUCH

LAURIE HALSE ANDERSON OPOWIADA O SPEAK

KILKA SŁÓW NA TEMAT CENZURY

GDZIE SZUKAĆ POMOCY W POLSCE

OPINIE O SPEAK

Tytuł oryginału: *Speak*

Przekład: Anna Matyszczyk

Opieka redakcyjna: Maria Zalas

Redakcja: Magdalena Balcerzak, Maria Zalas

Korekta: Karolina Pawlik

Skład i adaptacja okładki na potrzeby polskiego wydania: Norbert Młyńczak

Projekt okładki: Michael Morgenstern

Text copyright © 1999 by Laurie Halse Anderson.

Published by arrangement with Farrar Strauss Giroux Books for Young Readers, an imprint of Macmillan Publishing Group, LLC. All rights reserved.

Copyright for the Polish edition and translation © Wydawnictwo JK, 2019

ISBN 978-83-7229-853-9

Wydanie I, Łódź 2019

Wydawnictwo JK

Wydawnictwo JK, ul. Krokusowa 3,

92-101 Łódź

tel. 42 676 49 69

www.wydawnictwofeeria.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie [Zecer](#).

*Dla Sandy Bernstein,
która pomogła mi odnaleźć mój głos,
oraz mojego męża, Grega,
ponieważ potrafi słuchać.*

Chciałabym gorąco podziękować wszystkim, którzy przeczytali zarys tej historii i zachęcali mnie do tego, by dalej pisać: członkom the Bucks County Children's Writers Group, a także Marnie Brooks, Hillary Homzie, Joanne Puglia, Stephanie Anderson, Meredith Anderson oraz Elizabeth Mikesell, mojej zdolnej i pełnej empatii redaktorce. Dziękuję Wam. Dziękuję.

ZRÓBCIE HAŁAS

po TYM
długopisy przestają pisać
nożyczki ciąć
a komórki ładować się
świat się zawiesza, zamiera
jak kółeczko ładowania strony
czekające na odpowiedź
jakąkolwiek odpowiedź

i zostaje tylko
cisza

zakażenie gwałtem przenika do kości osłabia, powstrzymuje przed powrotem do
dawnych siebie skorodowani wątpliwościami wyjąłym zamętem, kiedyś graliście
według reguł choć nie wiedzieliście, że ta gra to czysty fałsz

i zostaje tylko
cisza

bestia, TO
myślicie: zespół stresu pourazowego?
i tak właśnie jest
nareszcie macie wybór:
pozostać pod wodą, spętani wstydem
w morzu zardzewiałych ostrzy

albo szeptem wyrwać się
z tej ciszy
wasze słowa to podpałka
gałązki pokryte woskiem
przesiąknięte naftą
lepkie od smoły

wasz oddech to zapalka
na papierze ściernym

szeptem wyrwać się
z ciszy

jedno słowo, później drugie
przyszłość, której sobie odmawiacie
roszczenia do bólu
nowe terytorium przed waszymi oczami
i z każdym kolejnym słowem
coraz bliżej wielkiego zwycięstwa
a słowa wzniecają pożar

przerwana
cisza

wasz klan sióstr wasz klan braci
inne klany wyłaniają się z cieni
wyciosane z tej samej przemocy
zatrute, a jednak dzielące się
swoją prawdą
ukształtowane jak wy
i umocnione
liczbami

nie jesteście same,
my też tu jesteśmy

PRZEDMOWA

Po „Speak” sięgnęłam po raz pierwszy, gdy miałam 14 lat, pół roku po tym, jak stałam się ofiarą napaści seksualnej. Oprawcą był chłopiec, który twierdził, że mnie kocha, a ponieważ mój młody umysł utożsamiał wstyd z poczuciem winy, nikomu o tym nie powiedziałam. Nie chciałam martwić mamy, nie chciałam straszyć rodzeństwa, ale przede wszystkim – nie chciałam być dziewczyną, której się to przydarzyło. Dopiero zaczynałam odkrywać, kim pragnę zostać w przyszłości i jak chcę być postrzegana przez ludzi dookoła mnie, więc nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić, że ten właśnie moment może w dużej mierze przyczynić się do tego, kim jestem. A przynajmniej wolałam, by nikt nie postrzegał mnie przez jego pryzmat. Udawanie, że nigdy do tego nie doszło, miało wówczas sens, tak jak zachowanie tylko dla siebie tego wstydliwego sekretu; myślałam, że to uchroni mnie przed prawdą. A jednak nic nie może nas przed nią obronić.

Prawda nie ma na celu nas skrzywdzić, wręcz przeciwnie – ma nas wyzwolić. Kiedy postanowiłam wyznać przyjaciółom, że zostałam wykorzystana seksualnie, byłam pewna, że mi nie uwierzą. Czasami tak bywa. Na szczęście udało mi się przekonać samą siebie, że to niewystarczający powód, by pozostać cicho. Gdy opowiedziałam, co mi się przydarzyło, niemal natychmiast odczułam niesamowitą ulgę. Zaraz po tym uświadomiłam sobie, że cały ten emocjonalny ciężar odszedł, kiedy tylko usłyszałam własny głos. Cały strach, że przyjaciele mi nie uwierzą, zszedł na drugi plan, bo gdy tylko podzieliłam się prawdą, serce w mojej piersi znów

zaczęło mocniej bić. Poczułam się nie tylko lżejsza – poczułam się wolna.

A jednak wciąż przytłaczała mnie samotność. Jasne, nie byłam jedyną czternastolatką na świecie, którą ktoś tak okropnie skrzywdził. Nie byłam. Nie jesteśmy same. Wzięłam do ręki *Speak*, ponieważ okładkę zdobiło zdjęcie dziewczyny bez ust i od razu poczułam z nią jakąś więź. Przeczytałam pierwszą stronę, później kolejną, a potem jeszcze jedną. Czytając, miałam wrażenie, że wyśniłam sobie tę książkę, bo była dowodem na to, że problem, jaki w sobie dusiłam, nie był wyjątkowy, i że nie tylko ja znałam aż do bólu jego ciężar. Nie byłam sama. Nie jesteśmy same.

Denerwują mnie osoby wychodzące na środek, w przenośni lub dosłownie, które uważają się za „głos tych, którzy nie mogą przemówić”. Krótkie trzydzieści lat życia na tej planecie nauczyły mnie, że każdy człowiek ma swój głos. Każdy człowiek ma swoją historię. To, czy chcemy ją opowiedzieć, jest wyborem utkanym z sieci przeróżnych uczuć, które wypływają na powierzchnię, gdy zadamy światu pytanie, czy chce naprawdę cię poznać, uwierzyć ci, choć nie mamy pewności, jaka będzie jego odpowiedź. Bardzo często dzielenie się własną historią, obawami, ambicjami, a zwłaszcza porażkami, odczuwamy jako zagrożenie. Ile razy można przeżyć odrzucenie? Niedowierzenie? Wstyd? Ile razy można złamać komuś serce, nim ta osoba otoczy je kokonem z żelaza i stali? Gdy ktoś milczy, choć tak naprawdę chciałby przemówić, nie ma to nic wspólnego ze zdolnością do mówienia tego, co naprawdę myśli. Po prostu słowa nie zawsze wydają się na tyle bezpieczne, żeby je wypowiedzieć.

Ta książka nauczyła mnie opowiadać o swoim życiu tak, jak w rzeczywistości je przeżywam. Pokazała mi, że nie ma we mnie nic niemego. Nauczyła mnie dzielić się swoją historią, obawami, aspiracjami oraz porażkami z tymi, którzy zasłużyli na to, bym otworzyła przed nimi serce. Mam prawo opowiedzieć swoją historię. Mam prawo dzielić się

prawdą.

I nigdy więcej nie spojrzałam za siebie.

Ściskam,
Ashley C. Ford

PIERWSZY OKRES

WITAMY W LICEUM MERRYWEATHER

Pierwszy dzień liceum. Mam siedem nowych zeszytów, spódniczkę, która jest paskudna, i ból brzucha.

Autobus szkolny wylania się z za rogu. Kiedy otwierają się drzwi, wsiadam do środka. Jestem pierwszą osobą, którą dzisiaj zabiera. Kierowca rusza, a ja wciąż stoję w przejściu. Gdzie powinnam usiąść? Nigdy wcześniej nie siadałam z tyłu. Jeśli zajmę miejsce pośrodku, może dosiąść się ktoś nieznajomy. Z przodu – będę wyglądać jak dzieciak, ale może przynajmniej uda mi się nawiązać kontakt wzrokowy z którymś z przyjaciół, o ile postanowią się do mnie w ogóle odezwać.

Bus zabiera ludzi w cztero- albo pięcioosobowych grupkach. Ludzie, z którymi w gimnazjum byłam w parze na biologii, i znajomi z wuefu gapią się, gdy przechodzą obok. Zamykam oczy. Tego się właśnie obawiałam. Po ostatnim przystanku tylko obok mnie jest wolne miejsce.

Kierowca redukuje bieg, by wjechać na wzgórze. Silnik rzezi, przez co chłopaki z tyłu wywrzaskują jakieś przekleństwa. Ktoś wylał na siebie za dużo wody kolońskiej. Próbuję uchylić okno, ale małe zatrzaski ani drgną. Chłopak siedzący za mną rozpakowuje lunch, a papierkiem rzuca w moją głowę. Opakowanie spada mi na kolana – to po mlecznej kanapce.

Mijamy woźnych, zamalowujących tablicę przed szkołą. Dyrekcja zdecydowała, że „Liceum Merryweather – Dom Trojańczyków” nie niosło odpowiedniego przekazu, więc zmienili nas w Niebieskich Diabłów. Może chodziło o to, że lepszy znany diabeł niż nieznany Trojańczyk. Barw szkoły nie zmieniono, fioletowy i szary zostają z nami, bo dyrekcji nie uśmiechało się wydawać pieniędzy na nowe stroje.

Starsi uczniowie mogą kręcić się po szkole aż do dzwonka, ale nas,

pierwszoklasistów, zagoniono do auli. Dzielimy się na klany: Sportowych Świrów, Śmietankę Towarzystwą, Cichociemnych Geniuszy, Cheerleaderki, Przegrywów, Snobistycznych Europejczyków, Przyszłych Faszystów Ameryki, Wyczesane w Kosmos, Marthy, Cierpiących Artystów, Ludzi Sceny, Gotów i Łachmaniarzy. Ja nie należę do żadnego z nich. Ostatnie tygodnie sierpnia zmarnowałam, oglądając kiepskie kreskówki. Nie miałam ochoty wychodzić na zakupy, nad jezioro i na basen ani odbierać telefonu. Zaczęłam liceum z fatalną fryzurą, niedobranymi ciuchami i beznadziejnym nastawieniem. Nawet nie mam z kim usiąść.

Jestem Wyrzutkiem.

Nawet nie mam po co zerkać na byłe przyjaciółki. Nasza dawna grupka, Panny Przeciętniary, rozpadła się i teraz wszystkie pojedyncze jednostki pochłonęły wrogie frakcje. Nicole rozsiadła się obok Sportowych Świrów i pokazuje sobie blizny wojenne, zdobyte w trakcie letniej ligi sportowej. Ivy dryfuje między Cierpiącymi Artystami a Ludźmi Sceny – jest wystarczająco otwarta, by należeć do obydwu grup. Jessica przeniosła się do Nevady, w sumie żadna strata. I tak trzymała się głównie z Ivy.

Grupka za moimi plecami śmieje się tak głośno, że nie mam żadnych wątpliwości, że chodzi o mnie. Nie potrafię się powstrzymać i odwracam się w ich kierunku. Zauważam Rachel, otoczoną dzieciakami ubranymi w ciuchy, których na pewno nie kupili w miejscowym centrum handlowym EastSide. Rachel Bruin, moja dawna najlepsza przyjaciółka, patrzy teraz ponad moim lewym uchem. Słowa grzęzną mi w gardle. Oto dziewczyna, która przetrwała ze mną obozy harcerskie, która nauczyła mnie pływać, która rozumiała, co czuję z powodu sytuacji w domu, która nie nabijała się z tego, jak wygląda mój pokój. Jeśli w całym wszechświecie miałabym komukolwiek powiedzieć o tym, co się naprawdę stało, to właśnie Rachel. W gardle mi płonie.

Nasze spojrzenia na moment się spotykają.

– Nienawidzę cię – szepcze bezgłośnie.

Odwraca się do mnie plecami i zaśmiewa się z nowymi przyjaciółmi. Przygryzam wargę. Nie będę o tym myśleć. To było paskudne, ale już po wszystkim i nie będę o tym myśleć. Wargę mi krwawi. Smakuje metalem. Muszę usiąść.

Stoję pośrodku przejścia w auli jak ranna zebra w specjalnym wydaniu National Geographic, szukając kogoś, kogokolwiek, przy kim mogłabym przycupnąć. W moim kierunku nadciąga drapieznik: fryzura na jeża, gwizdek zawieszony na karku grubszym niż głowa, to pewnie nauczyciel WOS-u, zatrudniony też jako sędzia jakiegoś brutalnego sportu.

Pan Karczycho:

– Siadaj.

Zajmuję pierwsze lepsze wolne miejsce. Inna ranna zebra odwraca się w moim kierunku i posyła uśmiech. Ma na zębach żelastwo za co najmniej pięć kafli, ale na nogach zajefajne buty.

– Mam na imię Heather, jestem z Ohio – mówi. – Jestem tu nowa, a ty?

Nawet nie mam czasu odpowiedzieć. Światła przygasają, czas na rozpoczęcie roku.

PIERWSZE DZIESIĘĆ KŁAMSTW, JAKIMI NAKARMIĄ CIĘ W LICEUM

1. Jesteśmy tutaj, żeby wam pomóc.
2. Macie wystarczająco dużo czasu, by zdążyć do klasy przed dzwonkiem.
3. Obowiązuje was przepisowy strój.
4. Na terenie szkoły obowiązuje zakaz palenia papierosów.
5. Nasza drużyna piłkarska wygra w tym roku mistrzostwa.
6. Oczekujemy waszego zaangażowania.
7. Pedagodzy szkolni zawsze są gotowi was wysłuchać.
8. Dopasowaliśmy plany lekcji do waszych potrzeb.
9. Nikt poza wami nie ma dostępu do waszych szafek.
10. Kiedyś będziecie z uśmiechem wspominać czasy liceum.

Na pierwszej lekcji mam biologię. Nie mogę znaleźć sali i łapię

upomnienie za szwendanie się po korytarzu. 8:50 – jeszcze tylko 699 dni i siedem semestrów do rozdania dyplomów.

NASI NAUCZYCIELE SĄ NAJLEPSI...

Moja nauczycielka angielskiego nie ma twarzy. Ma za to szopę przypominających strąki włosów, które opadają jej na ramiona. Od czubka głowy aż po uszy są czarne, a dalej jaskrawopomarańczowe i postrzępione na końcach. Zastanawiam się, czy tak bardzo wkurzyła swoją fryzjerkę, czy może zmienia się w pazia królowej. Nazywam ją Kudłatą.

Kudłata traci dwadzieścia minut na sprawdzenie obecności, bo nawet nie chce na nas patrzeć. Pochyliła głowę nad biurkiem, przez co włosy zakrywają jej twarz. Przez resztę zajęć pisze na tablicy i opowiada fladze o lekturach, które mamy przeczytać. Chce, żebyśmy codziennie robili notatki w zeszytach, ale obiecuje, że nie będzie tego czytać. Piszę więc o tym, jaka jest dziwna.

Na WOS-ie też mamy zeszyty. Coś czuję, że szkoła dostała na nie niezłą zniżkę. Już dziewiąty raz w ciągu dziewięciu lat roztrząsamy amerykańską historię. Znowu uczymy się, jak odczytywać mapy, a później jeden tydzień spędzamy z rdzennymi Amerykanami, kolejny z Krzysztofem Kolumbem, akurat wtedy, kiedy przypada Dzień Kolumba¹, i następny, tuż przed Świętem Dziękczynienia, z Ojcami Założycielami. Co roku nauczyciele obiecują nam, że wyrobimy się z materiałem do czasów współczesnych, ale zawsze kończymy na rewolucji przemysłowej. W siódmej klasie udało nam się dotrzeć do pierwszej wojny światowej – kto by pomyślał, że toczyła się na całym świecie? Chyba potrzeba nam więcej świąt, żeby nauczyciele WOS-u mogli nadążyć.

Moim nauczycielem jest pan Karczycho – ten sam, który kazał mi usiąść

w auli. Od tamtego czasu czule mnie wspomina:

– Mam na ciebie oko. Do pierwszej ławki.

Pana też miło widzieć. Założę się, że cierpi na zespół stresu pourazowego po Wietnamie albo Iraku – którejs z tych wojen z telewizji.

W ŚWIETLE REFLEKTORÓW

Po WOS-ie udaje mi się znaleźć szafkę. Zamek trochę się zacina, ale daję radę ją otworzyć. Później wtapiam się w tłum uczniów, pozwalając mu prowadzić prosto do stołówki.

Pierwszego dnia szkoły celowo nie przyniosłam z domu lunchu, bo kto wie, jakie panują tu zwyczaje? Brązowa papierowa torba - oznaka mieszkania na przedmieściach czy wieczna etykieta kujona? Próżniowe opakowania – hipsterski sposób na ratowanie planety czy dowód nadopiekuńczości matki? Najlepiej chyba kupić coś na stołówce. Przy okazji da mi to możliwość rozejrzenia się po pomieszczeniu w poszukiwaniu przyjaznej twarzy lub cichego kącika.

Na lunch serwują dziś indyka z tłuczonymi ziemniakami i sosem, rozciętym zielonym warzywem, a na deser ciasteczko. Nie mam pojęcia, jak zamówić coś jeszcze, więc po prostu przesuвам tacę i pozwalam nałożyć sobie jedzenie. Jakims cudem stojący przede mną dwumetrowy czwartoklasista dostaje trzy cheeseburgery, frytki i dwie mleczne kanapki, a nie odezwał się ani słowem. Może wymrugął jakiś sygnał Morse'em, muszę uważniej zgłębić temat. Ruszam za Drągalem z powrotem do stołówki.

Widzę kilku znajomych – no, osoby, które kiedyś uważałam za znajomych – ale oni odwracają wzrok. Myśl, myśl... Przy oknie z nosem w książce siedzi ta nowa, Heather. Mogłabym naprzeciwko niej. Albo przyczaić się za koszem na śmieci. Albo wyrzucić jedzenie i iść prosto do drzwi.

Drągał macha do stolika, przy którym siedzą jego znajomi. No jasne. Drużyna koszykarska. Wszyscy klną w jego stronę – dziwaczne powitanie pryszczatych sportowców. Uśmiecha się do nich i rzuca mleczną kanapką, a ja staram się go ominąć.

Pac! Gruda ziemniaków z sosem ląduje prosto na mojej piersi. Rozmowy na stołówce zamierają i wszyscy się gapią, chociaż moja twarz wypala im siatkówki. Już na zawsze zapamiętają mnie jako „dziewczynę obrzuconą pierwszego dnia ziemniakami”. Drągał przeprosza i mówi coś jeszcze, ale w tym samym czasie czterysta innych osób wybucha śmiechem, a ja nie potrafię czytać z ruchu warg. Ciskam w bok tacką z jedzeniem i puszczam się biegiem do drzwi.

Tak szybko wypadam ze stołówki, że gdybym natknęła się na trenera biegaczy, pewnie od razu wpisałby mnie do drużyny, ale nie... Na przerwie obiadowej dyżur pełni pan Karczycho, a on nie widzi pożytku w dziewczętach, które potrafią przebiec sto metrów w mniej niż dziesięć sekund, no chyba że potrafią grać w piłkę nożną.

Pan Karczycho:

– I znowu się spotykamy.

Ja:

– ...

Czy wysłuchałby mnie w ogóle, gdybym powiedziała, że muszę wrócić do domu i się przebrać albo zapytała, czy widział, co nawyrabiał ten głupek? Nie ma takiej opcji, więc nawet nie otwieram ust.

Pan Karczycho:

– Dokąd się wybierasz?

Ja:

– ...

Łatwiej w ogóle się nie odezwać. Milczenie jest złotem, buzia na kłódkę,

mordka w kubek. Wszystko, co słyszy się w telewizji o komunikacji i okazywaniu uczuć to jedna wielka ściema. Nikogo tak naprawdę nie interesuje, co masz do powiedzenia.

Pan Karczycho notuje coś w swoim notesiku.

– Od razu wiedziałem, że będą z tobą problemy. Uczę tu już od dwudziestu czterech lat, wystarczy, że popatrzę dzieciakowi w oczy i od razu wiem, co mu chodzi po głowie. Koniec z ostrzeżeniami, właśnie zarobiłaś uwagę za włączenie się po korytarzach bez usprawiedliwienia.

AZYL

Po przerwie obiadowej zaczyna się plastyka, tak jak po koszmarze przychodzi miły sen. Klasa znajduje się na samym końcu budynku, a jej wysokie okna wychodzą na południe. W Syracuse nie ma zbyt wiele słońca, więc salę do plastyki zaprojektowano tak, by wpadało do niej jak najwięcej światła. Wygląda, jakby celowo była zakurzona. Podłogę pokrywają zaschnięte plamy farby, na ścianach wiszą szkice z udręczonymi nastolatkami, a półki wypełniają gliniane naczynia. Radio gra moją ulubioną stację.

Pan Freeman to brzydal. Ma ciało starego konika polnego i wygląda trochę jak cyrkowiec na szczudłach, a między oczami sterczy mu nos cienki jak karta kredytowa. O dziwo, kiedy wchodzimy do sali, wita nas uśmiechem.

Pochyla się nad kołem garncarskim. Jego ręce są umazane czerwoną papką.

– Witajcie na jedynej lekcji, która nauczy was przetrwania – oznajmia. – Witajcie na plastyce.

Zajmuję miejsce przy stoliku obok jego biurka. Ivy też chodzi na te zajęcia, ale siada niedaleko drzwi. Nie spuszczam z niej wzroku, bo myślę, że

może uda mi się nakłonić ją, by na mnie spojrzała. Tak to działa na filmach – ludzie potrafią wyczuć, kiedy ktoś się na nich gapi i wtedy odwracają się, a nawet coś mówią. Ale Ivy otacza naprawdę gęste pole siłowe albo laser w moich oczach nie jest wystarczająco silny. Dziewczyna nie odwzajemnia spojrzenia. Tak bardzo chciałabym teraz z nią siedzieć – dobrze zna się na sztuce.

Pan Freeman zatrzymuje koło i bez mycia rąk bierze między palce kawałek kredy, po czym pisze na tablicy jedno słowo: DUSZA. Napis rozmazuje kapiąca glina, która wygląda teraz jak zaschnięta krew.

– Jeśli się na to odważycie, to właśnie tutaj odnajdziecie swoją duszę. To tu będziecie mogli sięgnąć tak głęboko w głąb siebie, jak nigdy wcześniej nie próbowaliście. Nie przychodźcie tu, żebym pokazał wam, jak narysować twarz. Poproście mnie o pomoc w odnalezieniu wiatru.

Zerkam za siebie i widzę, że dzieciaki posyłają sobie spojrzenia. Gość jest naprawdę dziwny. Przecież musi widzieć nasze miny, musi wiedzieć, co sobie teraz myślimy, a nie przestaje gadać. Mówi, że kiedy skończymy szkołę, będziemy umieli czytać i pisać, bo poświęcimy miliony godzin, by się tego nauczyć (no, mogłabym się o to pokłócić).

– A gdyby tak poświęcić ten czas sztuce: na malowanie, rzeźbienie, rysunek węglem czy pastelami suchymi albo olejnymi? Czy słowa i liczby są ważniejsze niż obrazy? Kto tak stwierdził? Czy algebra doprowadza was do łez? – Kilka osób podnosi dłonie, bo myślą, że chce odpowiedzi na to pytanie. – Czy zaimki dzierżawcze w liczbie mnogiej wyrażają uczucia, kotłujące się wam w sercach? Jeśli teraz nie poznacie sztuki, to już nigdy nie dowiedziecie się, jak oddychać!!!

To był dopiero początek. Jak na kogoś, kto wątpi w wagę słów, ten gość całkiem sporo ich używa. Wyłączam się na chwilę, ale znowu zaczynam uważać, kiedy unosi do góry ogromny globus, któremu brakuje połowy

północnej półkuli.

– Kto mi powie, co to jest? – pyta.

– Globus? – rozlega się głos z tyłu, na co pan Freeman wywraca oczami.

– A może to cenna rzeźba? Jakiś uczeń ją zniszczył i musiał sam za nią zapłacić, bo inaczej nie dostałby świadectwa? – rzuca ktoś inny.

Pan Freeman wzdycha.

– Kompletny brak wyobraźni, ile wy macie lat? Trzyście? Czteryście? I już pozwoliliście sobie wybić z głowy wszelką kreatywność! Tym starym globusem bawiły się w pracowni moje córki, kiedy przez deszcz nie mogły wyjść na zewnątrz. Pewnego dnia Jenny przebiła stopą Teksas, całe Stany Zjednoczone posypały się do morza i *voilà* – tak zrodził się pomysł! Przy pomocy tej popsutej kuli można pokazać mnóstwo wspaniałych wizji – możecie namalować ją i chmurę ludzi, uciekających z dziury, psa z mokrym pyskiem w kagańcu, przeżuwającego Alaskę... Możliwości są nieskończone. Być może ciężko będzie wam to pojąć, ale jesteście na tyle ważni, żeby chociaż spróbować.

Że co?

– Niech każde z was wyciągnie z globusa po karteczke. – Krąży po sali, żebyśmy mogli wyciągnąć czerwone skrawki z wnętrza Ziemi. – Na papierku znajdziecie jedno słowo, nazwę przedmiotu. Oby się wam spodobał, bo przez resztę roku szkolnego postaracie się zmienić tę rzecz w dzieło sztuki. Będziecie ją rzeźbić, szkicować, tworzyć z *papier-mâché*, ryć w płytkach. Jeśli informatyk znów zacznie ze mną rozmawiać, będziecie mogli nawet stworzyć jakieś projekty komputerowe. Jest tylko jeden haczyk – pod koniec roku musicie odkryć, jak sprawić, by wasz przedmiot wyrażał emocje, przemawiał do każdej osoby, która na niego spojrzy.

Kilka osób jęczy, ja jednak czuję trzepotanie w brzuchu. Czy naprawdę nam na to pozwoli? Aż za fajnie to wszystko brzmi. Nauczyciel zatrzymuje

się przy moim stoliku. Wsuwam dłoń do środka globusa i wyławiam swoją karteczkę.

– Drzewo.

Drzewo? Przecież to banalne, nauczyłam się rysować drzewa jeszcze w drugiej klasie. Chcę wylosować coś innego, ale pan Freeman potrząsa głową.

– Nie, nie, nie – rzuca. – Wybrałaś już swoje przeznaczenie, nie możesz go teraz zmienić.

Spod koła garncarskiego wyciąga wiaderko z gliną, dzieli ją na kulki wielkości pięści i każdemu z nas rzuca po jednej. Chwilę później włącza radio i śmieje się:

– Wasza podróż właśnie się zaczyna.

ESPAÑOL

Moja nauczycielka od hiszpańskiego ma ambitny plan, by przez cały rok nie odezwać się do nas ani jednym słowem po angielsku. To nie tylko zabawne, ale i pożyteczne – o wiele łatwiej ją olewać. Porozumiewa się z nami za pomocą przesadnej gestykulacji i odgrywania scenek. Zupełnie, jakbyśmy grali w kalambury. Mówi jakieś zdanie po hiszpańsku, po czym przykłada sobie dłoń do czoła.

– Ma pani gorączkę! – woła ktoś z klasy.

Kobieta potrząsa głową i powtarza gest.

– Zaraz pani zemdleje!

Nie. Wychodzi z sali, po czym wpada do klasy z rozkojarzoną miną. Odwraca się do nas, udaje zdziwienie i znów przykłada dłoń do czoła.

– Zgubiła się pani!

– Jest pani wściekła!

- Pomyliła pani szkoły!
- Pomyliła pani kraje!
- Pomyliła pani planety!

Nauczycielka próbuje jeszcze raz i uderza się w czoło tak mocno, że aż się zatacza. Skórę ma teraz tak różową, jak szminka na ustach. Zgadywankom nie ma końca.

- Nie może pani uwierzyć, ilu uczniów jest w tej klasie.
- Zapomniała pani hiszpańskiego!
- Ma pani migrenę!
- Dostanie pani migreny, jeśli nie zgadniemy, o co chodzi!

W akcie desperacji pisze na tablicy zdanie po hiszpańsku: „*Me sorprende que estoy tan cansada hoy*”. Nikt z nas go nie rozumie. Nie znamy hiszpańskiego – przecież jesteśmy tu po to, żeby się go nauczyć. W końcu jakiś geniusz wyjmuje słownik angielsko-hiszpański. Przez resztę lekcji próbujemy przetłumaczyć zdanie. Gdy rozlega się dzwonek, udało nam się wymyślić tyle: “Wymęczyć dzień do zdumienia.”

DOM I PRACA

Udaje mi się przeżyć pierwsze dwa tygodnie szkoły bez wywołania katastrofy nuklearnej. Heather z Ohio przysiada się do mnie na stołówce, a później dzwoni, żeby porozmawiać o zadaniu z angielskiego. Mogłaby paplać godzinami. Wystarczy tylko przyłożyć telefon do ucha i przytaknąć od czasu do czasu, a to wszystko w trakcie skakania po kanałach. Rachel i wszystkie inne osoby, które znam od dziewięciu lat, wciąż nie chcą mieć ze mną nic wspólnego. Często ktoś wpada na mnie na korytarzu, a kilka razy „przypadkowo” wytrącono mi książki z rąk. Staram się tym nie przejmować, kiedyś w końcu im przejdzie.

Mamie na początku całkiem nieźle wychodziło poranne gotowanie obiadów i zostawianie ich w lodówce, ale wiedziałam, że nie potrwa to zbyt długo. Wracam do domu i pierwsze, co widzę, to karteczka: „Pizza. 555-4892. Tym razem daj mały napiwek” oraz banknot dwudziestodolarowy. W domu całkiem sprawnie rozmawiamy ze sobą za pomocą karteczek, które zostawiamy na ladzie w kuchni. Piszę, kiedy potrzebuję czegoś do szkoły albo podwózki do centrum handlowego. Oni dają mi znać, o której wrócić z pracy albo jeśli powinnam wyciągnąć coś z zamrażalnika. Co więcej można sobie powiedzieć?

Mama znów ma problemy z personelem. Jest kierowniczką w Effert's, sklepie odzieżowym w centrum miasta. Szef zaproponował jej przeniesienie do galerii handlowej, ale nie zgodziła się. Wydaje mi się, że bawią ją reakcje ludzi, kiedy mówi, że pracuje w centrum.

– Nie boi się pani? – pytają. – Za żadne skarby nie chciałbym/-łabym tam pracować!

Mama uwielbia robić to, czego inni się obawiają. Równie dobrze mogłaby zostać poskramiaczką węży.

Ale właśnie przez to, że sklep znajduje się w centrum, ciężko jej znaleźć pracowników. Żule obsikujący front, codzienne kradzieże, drobne i takie z bronią w ręku, skutecznie zniechęcają bezrobotnych. I bądź tu człowieku mądry. Minęły dopiero dwa tygodnie września, a ona już myśli o Bożym Narodzeniu. W głowie jej tylko plastikowe płatki śniegu i mikołaje w czerwonych kubrakach. Jeśli już teraz nie uda jej się znaleźć nowych pracowników, będzie głęboko w czterech literach, kiedy zacznie się sezon świąteczny.

O 15:10 zamawiam pizzę i zjadam się nią na białej kanapie. Nie wiem, które z moich rodziców dostało zaćmienia, kiedy postanowili ją kupić. Żeby na niej jeść, trzeba rozłożyć poduszki pobrudzoną stroną do góry. Kanapa ma

dwie osobowości: „Melinda wdychająca zapach pepperoni oraz grzybów” i „Młoda damo, w salonie się nie je”. Przeżuwam pizzę i oglądam telewizję, dopóki nie usłyszę, że na podjeździe zatrzymuje się jeep taty. Ciach, ciach, ciach – zmykam na górę, kiedy poduchy są już przekręcone i lśnią bielą. W chwili, gdy tata otwiera drzwi, wszystko wygląda tak, jak sobie tego życzy, a mnie już nie ma.

Mój pokój należy do kosmity. Idealnie odzwierciedla osobę, którą byłam w piątej klasie. Przechodziłam chyba wtedy przez okres tępoty, bo uwielbiałam róże i różowy kolor. To wszystko wina Rachel. Błagała swoją mamę, by pozwoliła jej jeszcze raz zmienić wystrój pokoju, więc każda z nas marzyła o tym samym. Nicole nie chciała obwiązać swojego stolika nocnego idiotyczną falbanką, a Ivy, jak to Ivy, przeszła samą siebie. Jessica urządziła swój w pustynno-kowbojskim stylu. Mój pokój był gdzieś pośrodku, bo podebrałam trochę od każdej z dziewczyn. Jedyne, co było w nim naprawdę moje, to kolekcja wypchanych króliczków z dzieciństwa i łóżko z baldachimem. Nieważne, ile razy Nicole się z niego nabijała, nie pozwoliłam go zdjąć. Mam ochotę zerwać ze ścian tapetę w róże, ale to by oznaczało, że mama zacznie się wtrącać, a tata będzie musiał pomierzyć ściany, przez co na pewno pokłóciliby się przy wyborze farby. Zresztą i tak sama nie wiem, jak chciałabym się tu urządzić.

Odrabianie lekcji nie wchodzi w rachubę. Łóżko kusi, żebym ucięła sobie drzemkę. Nie mogę się powstrzymać. Puchate poduszki i ciepła kołderka są po prostu silniejsze ode mnie. Nie mam innego wyjścia, jak tylko się pod nimi zakopać.

Słyszę, jak tata włącza telewizor. Brzdęk, brzdęk, brzdęk – wsypuje lód do szklanki z grubym dnem i dolewa sobie czegoś mocniejszego. Otwiera mikrofalówkę – pewnie w poszukiwaniu pizzy – zatraskuje drzwiczki, a później pikaniem ustawia czas. Włączam radio, by wiedział, że jestem

w domu. Nie uda mi się zasnąć, więc zatapiam się gdzieś pośrodku, na przystanku w drodze do głębokiego snu; mogę tu zostać na całe godziny. Nie muszę nawet zamykać oczu, po prostu układam się bezpiecznie pod kołdrą i oddycham.

Tato pogłośnia telewizor. Rozlega się pokrzykiwanie prezentera z kanału informacyjnego:

– Pięć ofiar pożaru domu! Atak na młodą kobietę! Nastolatkwie podejrzani o napad na stację benzynową!

Przygryzam strupek na dolnej wardze. Tata przeskakuje po kanałach, w kółko wysłuchując tych samych historii.

Zerkam na siebie w lustrze po drugiej stronie pokoju. Rany. Włosy kompletnie schowały mi się pod kołdrą. Przyglądam się konturom buzi. Czy mogłabym ozdobić swoje drzewo twarzą, żeby wyglądało jak driada z greckiej mitologii? Mam okrągłe oczy w kolorze błota pod czarnymi jak smoła brwiami, nozdrza jak u świnki i pogryzione usta rodem z horroru. Nawet nie przypominam driady. Bez przerwy przygryzam wargi. Mam wrażenie, że należą do kogoś innego, kogoś, kogo nawet nie znam.

Wstaję z łóżka, ściągam lustro ze ściany i chowam je głęboko w szafie, taflą do ścianki.

NASZ NIEUSTRASZONY PRZYWÓDCA

Chowam się w łazience, czekając, aż z korytarza znikną tłumy. Zerkam przez drzwi – dyrektor, zwany też PryncyPolem, dorwał na korytarzu kolejnego spóźnialskiego ucznia.

PryncyPolo:

– A gdzie ma pan usprawiedliwienie?

Spóźnialski:

– Właśnie po nie biegnę.

PP:

– Ale nie wolno panu chodzić bez niego po korytarzu.

S:

– Wiem, bardzo przepraszam. Właśnie dlatego tak się spieszę.

PryncyPolo waha się z miną podobną jak u Kaczora Daffy’ego, kiedy Królik Bugs robi go w konia.

PP:

– W takim razie proszę się pospieszyć i nie kręcić się więcej bez usprawiedliwienia.

Spóźnialski uczeń zrywa się do biegu przez korytarz i macha z uśmiechem. PryncyPolo rusza w przeciwną stronę, przetwarzając sobie jeszcze raz całą rozmowę w głowie i próbując zrozumieć, co poszło nie tak. Sama też się nad tym zastanawiam i parskam śmiechem.

ŻYWIOŁOWA PANI

Wuef powinien być zakazany. To czysta żenada.

Moja szafka w szatni znajduje się najbliżej drzwi, co oznacza, że muszę się przebierać w łazience. Heather z Ohio ma szafkę obok mojej. Nosi strój na wuef pod ubraniami. Po ćwiczeniach wyskakuje ze spodenek, ale nigdy nie ściąga podkoszulki. Aż zaczynam się martwić o inne dziewczyny z Ohio. Może to jakiś nakaz, żeby nosić podkoszulki?

Poza nią na wuefie znam tylko Nicole. W naszej dawnej paczce nigdy nie byłyśmy zbyt blisko. Pierwszego dnia szkoły prawie się do mnie odezwała, ale w ostatniej chwili stchórzyła, spuściła wzrok i jeszcze raz zawiązała sznurówki swoich nike’ów. Należy do drużyny piłkarskiej, więc ma dla siebie ogromną szafkę w oddalonej, pachnącej czystością wnęce. Nie

przeszkadza jej przebieranie się przy innych – zmienia nawet stanik; na lekcjach nosi inny, a na wuefie inny. Nigdy się nie rumieni, nie chowa, po prostu się przebiera. To pewnie cecha Sportowych Świrów. Po co miałyby się przejmować komentarzami na temat swojego tyłka czy cycków, skoro ma w sobie tyle siły?

Nastał późny wrzesień, więc zaczynamy treningi hokeja na trawie. To błotnisty sport, gramy w niego tylko w mokre, pochmurne dni, kiedy wydaje się już, że lada chwila spadnie śnieg. Kto to w ogóle wymyślił? Nicole jest w tej dyscyplinie niepokonana. Potrafi szarżować tak szybko, że pryskają za nią strugi błota, i ochlapuje nimi każdego, kto wejdzie jej w drogę. Jeden ruch nadgarstka i piłka wpada prosto do bramki. Dziewczyna uśmiecha się i truchta z powrotem na środek boiska.

Nicole jest dobra w każdym sporcie z piłką i gwizdkiem. Koszykówka, rugby, lacrosse, futbol, piłka ręczna i nożna, cokolwiek. I kiedy się ją obserwuje, ma się wrażenie, że gra to bułka z masłem. Chłopcy nie spuszczaają z niej wzroku, bo mogą się od niej czegoś nauczyć. To, że jest śliczna, też jej nie przeszkadza. Zeszłego lata na jakimś obozie sportowym ukruszyła sobie ząb, przez co wygląda jeszcze fajniej.

Wuefiści myślą o Nicole wyjątkowo ciepło, bo wykazuje *potencjał*. Kiedy na nią patrzą, oczami wyobraźni widzą wygraną w przyszłych mistrzostwach stanowych. Podwyżki. Jakiś czas temu udało jej się strzelić trzydzieści pięć goli, zanim moja drużyna zagroziła zejściem z boiska. Wuefistka kazała jej wtedy sędziować. Po tym nie tylko przegrałyśmy, ale jeszcze cztery dziewczyny trafiły z kontuzjami do higienistki. Nicole po prostu nie wierzy w coś takiego jak faul. Żarliwie wyznaje zasadę: „graj do śmierci albo kalectwa”.

Gdyby inaczej się zachowywała, o wiele łatwiej byłoby mi to wszystko znosić. Gównianą szafkę, Heather biegnącą dookoła mnie jak mały

szczeniak, zimne poranki w błocie spędzane na obserwowaniu Nicole Walecznej Księżniczki, słuchania, jak trenerzy wychwalają ją pod niebiosa... Mogłabym to wszystko przyjąć na klatę i robić swoje. Ale Nicole jest taka sympatyczna. Rozmawia nawet z Heather z Ohio. Poradziła jej, gdzie kupić ochraniacz na twarz, żeby aparat nie poranił jej ust, kiedy oberwie piłką. A teraz Heather chce kupić sobie stanik sportowy. Nicole po prostu nie jest wredna, a szkoda, bo o wiele łatwiej byłoby jej nienawidzić.

PRZYJACIÓŁKI

Jestem w łazience z Rachel. Wróc. Jestem w łazience z *Rachelle*. Tak, zmieniła imię. Jak widać, chce wrócić do swoich europejskich korzeni, więc trzyma się z uczniami z wymiany. Po pięciu tygodniach roku szkolnego potrafi już przeklinać po francusku. Nosi pozaciągane czarne pończochy i nie goli się pod pachami. Kiedy macha rękami w powietrzu, od razu mam skojarzenia się z małymi szympansiatkami.

Nie mogę uwierzyć, że kiedyś byliśmy najlepszymi przyjaciółkami.

Staram się z powrotem założyć soczewkę na lewe oko. Ona rozmazuje tusz pod oczami, by wyglądać na wyczerpaną i zmizerniałą. Przemyka mi przez myśl, żeby czmychnąć stamtąd jak najszybciej, zanim znów pośle mi diabelskie spojrzenie, ale Kudłata, moja nauczycielka angielskiego, patroluje korytarz, a ja zapomniałam pójść na jej lekcję.

Ja:

– Hej.

Rachelle:

– Mhm.

I co teraz? Spróbuję wyluzować, jakby nic się nie stało. Luzik-arbuzik.

Ja:

– Jak leci? – Znow próbuję założyć soczewkę i dźgam się palcem w oko. No, już bardziej na luzie być nie mogę.

Rachelle:

– Ech.

Pociera palcem po powiece, bo tusz dostał się jej do oka. Rozmazuje go sobie na twarzy.

Nie chcę udawać. Chcę złapać ją za kark, potrząsnąć nią i wrzasnąć, żeby przestała traktować mnie jak śmiecia. Nawet nie chciała wysłuchać, co tak naprawdę się wydarzyło – co z niej za przyjaciółka? Soczewka zwija mi się pod powieką, przez co do prawego oka natychmiast napływają mi łzy.

Ja:

– Auć!

Rachelle [prycha. Odsuwa się od lustra, przechyla głowę z boku na bok, podziwiając czarny koszmarek na swoich kościach policzkowych, który wygląda jak gęsia kupa]:

– *Pas mal.*

Wsuwa sobie między wargi cukierek w kształcie papierosa. Rachelle marzy się zostać nałogową palaczką, ale choruje na astmę. Zapoczątkowała więc nowy trend, niebywała sprawa wśród pierwszoklasistów – cukierkowe papierosy. Uczniowie z wymiany za nimi szaleją. Zanim się obejrzymy, będzie pić czarną kawę i czytać książki bez obrazków.

Jakaś uczennica z wymiany spuszcza wodę i wychodzi z kabiny. Wygląda jak supermodelka o imieniu w stylu Greta albo Ingrid. Czy tylko w Ameryce mieszkają kluchowate nastolatki? Mówi coś w obcym języku, na co Rachelle wybucha śmiechem. Ta, jasne, że niby zrozumiała.

Ja:

– ...

Rachelle dmucha mi w twarz kłębkim dymu z cukierkowego papierosa,

a później kompletnie mnie olewa. Razem z Gretą-Ingrid wyslizgują się z łazienki. Żadnej z nich papier toaletowy nie przyczepił się do buta. I gdzie tu sprawiedliwość?

Potrzebuję nowej przyjaciółki. Potrzebuję przyjaciółki, koniec, kropka. Nie jakiejś bliskiej i na całe życie, od której pożyczalabym ubrania albo wpadała na piżama-party, żeby sobie pochichotać i potrajkotać. Wystarczy mi jedna pseudoprzyjaciółka, łatwa do zastąpienia. Przyjaciółka w roli dodatku, żeby nie czuła się i nie wyglądała tak głupio.

Mój dzisiejszy wpis do dziennika: „Uczniowie z wymiany rujną nasz kraj”.

SHEATHEROWANA

Gdy wracamy ze szkoły autobusem, Heather próbuje zmusić mnie do dołączenia do jakiegoś koła zainteresowań. Ma *plan*. Chce, żebyśmy dołączyły do pięciu kółek, po jednym na każdy dzień tygodnia. Problem polega na tym, że musiałybyśmy wybrać grupy, do których należą *właściwe osoby*. Klub Miłośników Łaciny odpada, tak samo jak Miłośników Kręgli. Tak właściwie to Heather lubi grać w kręgle, w jej poprzedniej szkole najwyraźniej panował na to szal, ale widziała nasze tory do gry i stanowczo stwierdziła, że żadna *właściwa osoba* nawet nie postawiłaby tam stopy.

Kiedy docieramy do domu Heather, jej mama wita nas w drzwiach. Chce wiedzieć, jak minął nam dzień, jak długo mieszkam w tym mieście, podpytuje nieco o moich rodziców, by stwierdzić, czy jestem odpowiednim towarzyszem dla jej córeczki. Nie mam nic przeciwko – myślę, że to miłe, że się tak o nią troszczy.

Nie możemy iść do pokoju Heather, bo jeszcze nie zakończył się w nim remont, dlatego uzbrojone w miskę pomarańczowego popcornu i napoje

dietetyczne wycofujemy się do piwnicy. To właśnie ją wykończono w pierwszej kolejności. Tak naprawdę to pomieszczenie ciężko nazwać piwnicą. Więcej w nim dywanów niż w salonie w moim domu. W kącie stoi olbrzymi telewizor, jest tam też stół bilardowy i sprzęty do ćwiczeń. Nawet nie pachnie piwnicą.

Heather wskakuje na bieżnię i wraca do planowania. Nie skończyła jeszcze badać śmietanki towarzyskiej Merryweather, ale myśli, że kółko międzynarodowe oraz chór szkolny na początek wystarczą. Może powinniśmy zgłosić się do musicalu. Włączam telewizor i zajadam się popcornem.

Heather:

– Co powinniśmy zrobić? Gdzie chcesz się zapisać? Może powinniśmy zgłosić się do wolontariatu w podstawówce? – Przyspiesza na bieżni. – A co z dziewczynami, z którymi przyjaźniłaś się w zeszłym roku? Znasz przecież Nicole, prawda? Ale to fanka sportu... Ja się do tego nie nadaję, cały czas się przewracam. To co chciałabyś robić?

Ja:

– Nic. Kółka są głupie. Popcornu?

Heather znowu zwiększa prędkość i teraz już biegnie. Bieżnia tak hałasuje, że ledwo słyszę telewizor. Heather kiwa na mnie palcem. Mówi, że wielu pierwszoklasistów popełnia błąd, trzymając się na uboczu. Nie powinnam kryć się po kątach, wręcz przeciwnie – trzeba aktywnie włączyć się w życie szkoły, tak właśnie robią popularne osoby. Wyłącza bieżnię i ociera brwi grubym ręcznikiem, który ściąga z wieszaka obok maszyny. Odpoczywa przez kilka minut, a później zeskakuje za ziemię.

– Sto kalorii – piszczy. – Chcesz spróbować?

Wzdrygam się i tylko podaję jej miskę z popcornem. Sięga do stolika za mną i chwyta z niego pamiątkowy długopis z naszego liceum, zakończony

fioletowym pióropuszem.

– Musimy ułożyć plan – oznajmia z powagą.

Rysuje cztery kwadraty, po jednej na każdy okres zaliczeniowy, po czym na nad każdym z nich wpisuje: „CELE”.

– Do niczego nie dojdziemy, jeśli nie ustalimy sobie celów. Wszyscy ciągle tak mówią, więc musi tak być. – Otwiera puszkę z napojem. – To jakie są twoje cele, Mel?

Kiedyś byłam taka jak ona. Naprawdę aż tak bardzo zmieniłam się przez ostatnie dwa miesiące? Heather jest szczęśliwa, energiczna, w dobrej kondycji. Ma przemiłą mamę i genialny telewizor. Ale jest też jak piesek, który raz za razem wskakuje ci na kolana. Wiernie towarzyszy mi na korytarzu, nadając szybciej niż karabin maszynowy.

Mój cel? Powrót do domu i drzemka.

KRYJÓWKA

Wczoraj Kudłata wyciągnęła mnie z nauki indywidualnej i zmusiła do nadrobienia „zaległej” pracy domowej w swoim gabinecie (przy czym wydawała z siebie jakieś zatroskane westchnienia i wspomniała nawet o spotkaniu z rodzicami, niedobrze). Nikomu nie chciało się dać mi znać, że nauka indywidualna odbywa się dzisiaj w bibliotece. Kiedy w końcu się tego domyślam, zajęcia już prawie się kończą. Jestem trupem. Próbuję jakoś wytłumaczyć wszystko bibliotekarce, ale nie mogę przestać się jąkać i nic z tego nie wychodzi.

Bibliotekarka:

– No już, już, spokojnie. Wszystko w porządku, nie masz się czym denerwować. Nazywasz się Melinda Sordino, prawda? Nie przejmuj się, zaznaczę, że byłaś obecna i już ci tłumaczę jak to zwykle wygląda: jeśli

wiesz, że się spóźnisz, po prostu poproś nauczyciela o usprawiedliwienie. No już, nie ma powodu do płaczu.

Podaje mi mały zielony bloczek: moje przepustki z więzienia. Uśmiecham się i próbuję wykrztusić z siebie: „dziękuję”, ale mi się nie udaje. Pewnie myśli, że aż tak się wzruszyłam, bo mnie nie ukarała. Niech jej będzie. Nie zdążę już uciąć sobie drzemki, więc żeby uszczęśliwić bibliotekarkę, przeglądam jakiś stos książek. Może nawet którąś przeczytam.

Wtedy jeszcze nie wpadam na swój genialny pomysł. Dzieje się to dopiero, kiedy pan Karczycho śledzi mnie na stołówce i żąda oddania pracy domowej o „Dwudziestu sposobach Irokezów na przetrwanie w lesie”. Udaję, że go nie widzę. Przepycham się przez kolejkę osób, czekających na obiad, mijam parkę obściskującą się przy drzwiach i puszczam biegiem przez korytarz. Pan Karczycho zatrzymuje się, by zganić ich za publiczne okazywanie uczuć, a ja pędzę w stronę skrzydła dla czwartoklasistów.

Znajduję się na nieznanym terytorium, w miejscu, gdzie noga pierwszoklasisty nigdy jeszcze nie powstała. Nieważne, jakie spojrzenia mi posyłają. Tuż za sobą słyszę już pana Karczycha. Skręcam za róg, otwieram pierwsze lepsze drzwi i wchodzę prosto w egipskie ciemności. Przytrzymuję dłońią klamkę, ale Pan Karczycho po nią nie sięga. Jeszcze przez chwilę słyszę, jak człapie korytarzem. Zaczynam macać ścianę w poszukiwaniu włącznika światła i nagle okazuje się, że nie wpadłam do żadnej klasy, a do starej kanciapy woźnego, w której śmierdzi brudnymi gąbkami.

W tylnej ścianie wydrążono półki, na których stoją teraz zakurzone podręczniki i kilka butelek wybielacza. Zza kolekcji mopów i mioteł wychylają się poplamiony fotel oraz staroświeckie biurko. Pęknięte lustro wisi nad zlewem wypełnionym zdechłymi karaluchami i pajęczynami. Kurki tak bardzo zardzewiały, że nawet nie da się ich odkręcić. Wygląda na to, że już od dawna nie przychodził tu żaden woźny. Mają teraz nową miejscówkę

i magazyn tuż przy rampie. Dziewczyny trzymają się od tego miejsca z daleka przez obłe spojrzenia i gwizdy za każdym razem, kiedy tylko tamtędy przechodzą. Ta kanciapa jest opuszczona – do niczego nie służy, nie ma żadnej nazwy. Miejsce w sam raz dla mnie.

Z biurka Kudłatej kradnę bloczek usprawiedliwień. Czuję się teraz o niebo lepiej.

DIABLI NADALI

Uciekam z algebry nie tylko przez spotkanie, na którym mamy dopingować naszą szkolną drużynę – to przecież świetna okazja, żeby posprzątać w nowej kryjówce. Przyniosłam z domu kilka gąbek. W końcu nie ma co tarzać się w kurzu. Mam ochotę przemycić jeszcze ciepły kocyk i naczynie z potpourri.

Zamierzam popłynąć z falą innych uczniów w kierunku auli, później czmychnąć do łazienki i poczekać tam, aż korytarz będzie pusty. Bez problemu udałoby mi się przemknąć nauczycielom pod nosem, ale jednego czynnika nie wzięłam pod uwagę: Heather. Już, już widzę przed sobą łazienkę ewakuacyjną, ale wtedy słyszę, jak woła mnie po imieniu, podbiega i chwyta za ramię. Duma Merryweather aż z niej paruje całą swoją purpurową chwałą. Nie wiedzieć czemu myśli, że jestem równie podekscytowana, co ona. Maszerujemy wzdłuż korytarza na czekające nas pranie mózgu, a ona nie przestaje nawijać.

Heather:

– Ale jazda, prawdziwe przedmeczowe spotkanie! W ogóle masz, zrobiłam kilka pomponów, będziemy świetnie wyglądać, kiedy wszyscy zrobią falę. Założę się, że pierwsze klasy mają najwięcej werwy, co? Zawsze chciałam pójść na takie coś. Pomyśl tylko, jak świetnie muszą się czuć ci nasi piłkarze, nie dość, że są w drużynie, to jeszcze dopinguje ich cała szkoła. To dopiero

musi dawać kopa. Jak myślisz, wygrają dzisiaj? Na pewno, czuję to. Od początku roku nie jest łatwo, ale damy radę, no nie, Mel?

Cały ten entuzjizm działa mi na nerwy, ale raczej nie ogarnęłaby sarkazmu. Może jakoś to przeżyję, jeśli z nią pójdę? Przynajmniej mam z kim usiąść, a to liczy się jak krok naprzód na drodze do społecznej akceptacji. No, bo co mogłoby pójść źle na takim spotkaniu?

Wolałabym zostać przy drzwiach, ale Heather ciągnie mnie na trybuny do sekcji dla pierwszoklasistów.

– Znam tych ludzi – mówi. – Pracujemy razem w szkolnej gazetce.

Gazetka? To my mamy szkolną gazetkę?

Przedstawia mnie grupce bladych, przyszczatych typów. Dwójka wydaje się wyglądać znajomo, reszta pewnie chodziła do innego gimnazjum. Unoszę w górę kąciki ust bez przygryzania warg. Małymi kroczkami naprzód. Heather promienieje uśmiechem i podaje mi pompon.

Odrobinę się rozluźniam. Dziewczyna z tyłu stuka mnie po ramieniu długimi czarnymi paznokciami. Musiała słyszeć, co mówiła Heather, bo pyta:

– Sordino? To ty jesteś Melinda Sordino?

Odwracam się, a ta wydmuchuje czarny balonik z gumy do żucia i wsysa go z powrotem do ust. Potakuję, a Heather macha do jakiegoś znajomego drugoklasisty po drugiej stronie sali gimnastycznej. Nieznajoma dziewczyna szturcha mnie mocniej.

– Wezwałaś gliny na imprezie u Kyle’a Rodgersa?

Lód skuwa naszą część trybun. Milion głów odwraca się w moim kierunku wraz z dźwiękami migawek. Tracę czucie w palcach. Potrząsam głową, ale wtedy wtrąca się inna dziewczyna:

– Mojego brata zwinęli na tej imprezie, stracił przez to pracę. Nie wierzę, że to zrobiłaś. Co za zołza.

„Nic nie rozumiecie” – odpowiada głos w mojej głowie. Jaka szkoda, że

nie mogą go usłyszeć. Czuję ucisk w gardle, jakby dłonie o czarnych paznokciach miażdżyły mi tchawicę. Tak bardzo starałam się zapomnieć o każdej sekundzie tamtej koszmarnej imprezy, a jednak jestem tu, otoczona wrogim tłumem, który nienawidzi mnie za to, co musiałam zrobić. Nie mogę wyznać im, co tak naprawdę się wydarzyło. Sama nawet nie chcę o tym myśleć. Z mojego brzucha wydobywa się jakiś zwierzęcy odgłos.

Heather robi ruch ręką, jakby chciała poklepać mój pompon, ale cofa dłoń. Przez chwilę myślę, że zacznie mnie bronić, ale nie, nie robi tego, bo to zagroziłoby spełnieniu jej *planu*. Zamykam oczy. Oddychaj, oddychaj, oddychaj. Nic nie mów. Po prostu oddychaj.

Cheerleaderki wpadają do sali, robiąc gwiazdy, i zaczynają wrzeszczeć. Tłumy na trybunach ciężko tupią i odwrzaskują. Chowam głowę w dłoniach i krzyczę, by wyrzucić z siebie ten zwierzęcy odgłos, a może nawet część tamtej nocy. Nikt tego nie słyszy – wszyscy są zbyt podekscytowani.

Szkolna orkiestra brnie przez piosenkę, a cheerleaderki podskakują w jej rytmie. Maskotka Niebieskiego Diabła robi salto w tył i wpada na dyrektora, dzięki czemu zgarnia owacje na stojąco. PryncyPolo uśmiecha się tylko i mamrocze coś pod nosem. Minęło dopiero sześć tygodni od rozpoczęcia roku szkolnego, więc wciąż ma w sobie resztki poczucia humoru.

W końcu do sali wpadają nasze Diabły. Ci sami chłopcy, którzy w podstawówce zostawali po lekcjach za wyżywianie się na innych, teraz są za to nagradzani. Wszyscy nazywają to futbolem. Trener przedstawia drużynę. Ja nawet ich nie rozróżniam. Trener nazywany Kaszaną trzyma mikrofon zbyt blisko ust, więc jedyne, co słyszymy, to jego plucie i dyszenie.

Dziewczyna siedząca za mną wbija mi kolana w plecy – są równie ostre, jak jej paznokcie. Przesuwam się odrobinę do przodu i uparcie wbijam wzrok w drużynę. Nieznajoma od aresztowanego brata robi to, co jej koleżanka i kiedy Heather zaczyna machać pomponami, ciągnie mnie za włosy, przez

co niemal wskakuję na plecy dzieciakowi siedzącemu rząd niżej. Odwraca się i posyła mi wściekłe spojrzenie.

Trener w końcu podaje wilgotny mikrofon dyrektorowi, a ten przedstawia nasze cheerleaderki. Jak na zawołanie wszystkie robią szpagaty, a tłum wariuje. No cóż, okazuje się, że cheerleaderki mają większe branie niż drużyna futbolowa.

CHEERLEADERKI

Jest ich dwunastka: Jennie, Jen, Jenna, Ashley, Aubrey, Amber, Colleen, Kaitlin, Marcie, Donner, Blitzen i Raven. Ta ostatnia to kapitan drużyny. Już bardziej blond być nie można.

Nie zostałam wychowana jako religijna osoba. Jedyne, w co może i wierzymy, to Święta Trójca Visy, MasterCard i American Express. Wydaje mi się, że za grosz nie rozumiem cheerleaderek z Merryweather, bo nie chodziłam do szkółki niedzielnej. To musi być cud, nie ma innego wyjaśnienia. Bo jak inaczej mogłyby w sobotnie noce sypiać z drużyną futbolową, a w poniedziałek odradzać się jako boginie-dziewice? Zupełnie jakby jednocześnie żyły w dwóch światach. W pierwszym wszechświecie są przepiękne, mają śnieżnobiałe proste zęby, długie nogi, designerskie ciuchy, a na szesnaste urodziny dostają sportowe samochody. Nauczyciele szczerzą się do nich i podciągają im oceny. Są po imieniu z pracownikami szkoły. Są dumą Trojan. Wróć, chciałam powiedzieć: Niebieskich Diabłów.

We wszechświecie numer dwa urządzają imprezy tak dzikie, że przyciągają studenciaków. Wielbią zapach „Eau de Sportive”, na ferie wiosenne wynajmują domki na plaży w Cancún, a tuż przed balem maturalnym jeżdżą na grupowe aborcje.

Są przeurocze, no i oczywiście dopingują naszych chłopców, zagrzewając

ich do ataku i, miejmy nadzieję, zwycięstwa. Istny wzór do naśladowania – dziewczęta, które mają wszystko. Założę się, że żadna z nich nigdy się nie zająknęła, niczego nie spartoliła ani nie miała wrażenia, że mózg zmienił się jej w piankę. Wszystkie mają piękne, błyszczące usta, starannie obrysowane czerwoną kredką.

Kiedy spotkanie zagrzewające do walki dobiega końca, ktoś przypadkowo mnie trąca, przez co zlatuję z trzech rzędów ławek. Jeśli kiedykolwiek uda mi się stworzyć własną grupkę, nazwę nas Anty-Cheerleaderkami. Nie będziemy siadać na trybunach, będziemy się pod nimi przechadzać i dokonywać drobnych aktów wandalizmu.

PRZECIWIENSTWEM NATCHNIENIA JEST... CIĘŻKIE WESTCHNIENIE?

Już od dobrego tygodnia, a właściwie od spotkania przed meczem, maluję akwarelami drzewa, w które uderzył piorun. Staram się, by wyglądały na prawie uschnięte. Pan Freeman nie komentuje tego ani słowem, jedynie unosi brwi. Jeden obrazek jest tak ciemny, że drzewa prawie na nim nie widać.

Wszyscy się męczymy. Tematem przewodnim Ivy są „klauni”. Mówi panu Freemanowi, że nienawidzi ich od dziecka, bo jeden z nich tak ją wystraszył, że aż musiała zapisać się na terapię. Nauczyciel stwierdza, że wspaniale jest rozpocząć przygodę ze sztuką od strachu. Inna dziewczyna narzeka, że „mózg” to dla niej zbyt obleśny temat, wolałaby „kotki” albo „tęcze”.

W końcu pan Freeman wyrzuca ręce w powietrze.

– Dosyć tego! Spójrzcie, proszę, na półki z książkami.

Posłusznie odwracamy się i patrzymy, no ale to plastyka, do czego miałyby nam być potrzebne książki?

– Jeśli macie blokadę twórczą, możecie przez chwilę poczytać

o prawdziwych geniuszach. – Ściąga z półek naręcze książek. – Kahlo, Monet, O’Keffe, Pollock, Picasso, Dali. Żadne z nich nie psioczyło na temat, wszyscy dokopywali się do sedna jego znaczenia. To prawda, rada szkoły nie oczekiwała od nich, że będą malować ze związanymi dłońmi. Oni mieli patronów, którzy rozumieli, że za najprostsze rzeczy, takie jak papier czy farba, trzeba zapłacić...

Wszyscy jak jeden mąż wydajemy z siebie jęk. Znowu zaczyna głądzić o radzie szkoły – obcięli mu budżet i kazali zadowolić się materiałami, które zostały z zeszłego roku, więc nie mamy co liczyć na nowe farby albo dodatkowe ryzy papieru. Będzie tak narzekać aż do końca lekcji, czyli jeszcze przez czterdzieści trzy minuty. W pracowni panuje przyjemne ciepło, jest pełna światła słonecznego i zapachu farby. Trójka uczniów zapada w głęboki sen.

Ja pozostaję przytomna. Wrywam kartkę z zeszytu i zaczynam bazgrać na niej drzewo w wersji z drugiej klasy podstawówki. Beznadzieja. Robię z papieru kulkę i wrywam kolejną stronę. Czy to serio takie trudne narysować drzewo na kartce? Dwie pionowe kreski na pień, może kilka grubych gałęzi, parę cieńszych i mnóstwo liści, które zakryją wszelkie niedociągnięcia. Dodaję poziomą linię, robiącą za glebę oraz stokrotkę, wyrastającą obok drzewa. Coś mi się wydaje, że pan Freeman stwierdzi, iż ten obrazek nie wyraża zbyt wiele. Ja uważam, że nie wyraża nic. Nauczyciel na początku wydawał się świetny. A teraz co, zamierza tylko się przyglądać i w ogóle nam nie pomagać?

AKTORZENIE

Z okazji Dnia Kolumba mamy wolne. Idę do Heather. Miałam w planach przespać cały dzień, ale Heather „naprawdę, naprawdę, naprawdę” chciała,

bym wpadła. W sumie w telewizji i tak nie leci nic ciekawego. Mama dziewczyny udaje, że niesamowicie się cieszy z moich odwiedzin. Nalewa nam do kubków gorącą czekoladę, żebyśmy mogły zabrać je na górę, i próbuje przekonać córkę, by zaprosiła więcej koleżanek na piżama-party.

– A może Mellie zaprosiłaby swoje przyjaciółki?

Nawet nie wspominam o możliwości, że Rachel mogłaby poderżnąć mi gardło na jej nowym dywanie, jedynie szczerzę zęby jak na grzeczną dziewczynkę przystało. Mama Heather w odpowiedzi poklepuje mnie po policzku. Wygląda na to, że coraz lepiej wychodzi mi uśmiechanie się do ludzi, kiedy się po mnie tego spodziewają.

Pokój Heather w końcu jest gotowy i można go już podziwiać. Nie wygląda jak sypialnia piątoklasistki, czy nawet nastolatki z pierwszej liceum – przypomina pomieszczenie z reklamy AGD, świeżo pomalowane, ze śladami po odkurzaczu na dywanie. Liliowe ściany są ozdobione tu i tam pretensjonalnymi wzorami. Biblioteczka ma szklane drzwiczki. Jest tutaj też telewizor i telefon stacjonarny, a na biurku leży praca domowa, porządnie ułożona. Drzwi szafy są lekko uchylone. Otwieram je szerzej stopą. Wszystkie ubrania wiszą schludnie na wieszakach, odpowiednio posortowane: spódniczki razem, spodnie zawieszzone za szlufki, swetry poukładane na półkach w plastikowych workach. Cały pokój aż krzyczy: „Heather”. Czemu nie potrafię ogarnąć, jak zrobić podobnie ze swoim? No, nie chcę, żeby wykrzykiwał jej imię, to by było zbyt dziwaczne, ale miło byłoby usłyszeć, jak cicho szepcze: „Melinda”. Siadam na podłodze, wertując jej płyty CD. Heather maluje paznokcie na podkładce na biurku i nie przestaje głądzić. Ma zamiar zrobić wszystko, by dostać rolę w musicalu. Uskrzydleni Muzycy to klan, do którego ciężko się wkręcić, a Heather nie ma za grosz talentu ani znajomości. Od razu mówię jej, że traci tylko czas na myślenie o tym. Ona z kolei uważa, że powinniśmy spróbować razem. Ta

dziewczyna nawdychała się chyba za dużo lakieru do włosów. Jedyne, co mam do roboty, to kiwanie lub kręcenie głową i dodawanie: „Doskonale cię rozumiem”, kiedy wcale tak nie jest, oraz „To takie niesprawiedliwe”, gdy jednak sprawiedliwość bierze górę.

Musical byłby dla mnie bułką z masłem, bo całkiem niezła ze mnie aktorka. Mam w zanadrzu całą gamę uśmiechów. Przy pracownikach szkoły używam tego nieśmiałego, połączonego ze spojrzeniem zza grzywki, a gdy nauczyciel prosi mnie o odpowiedź, mrużę oczy z uśmiechem i szybko potrząsam głową. Kiedy rodzice chcą wiedzieć, jak było w szkole, unoszę brwi i wzruszam ramionami, a gdy mijam na korytarzu ludzi, którzy wytykają mnie palcami i szepczą do siebie, macham do wyimaginowanych znajomych czekających na końcu korytarza i pędzę, by ich dogonić. Gdybym rzuciła szkołę, mogłabym zostać mimem.

Heather pyta, dlaczego uważam, że nie dostałybyśmy ról w musicalu. Upijam łyk gorącej czekolady, parzy mnie w kąciki ust.

Ja:

– Jesteśmy nikim.

Heather:

– Jak możesz tak mówić? Czemu wszyscy mają tutaj takie podejście? Nie ogarniam tego. Jeśli chcemy dołączyć do obsady musicalu, powinniśmy dostać szansę. Jeśli nie spodoba im się nasz śpiew, równie dobrze możemy po prostu stać na scenie. To takie niesprawiedliwe. Nienawidzę liceum.

Strąca książki na podłogę, przy okazji rozlewając na piaskowy dywan zielony lakier do paznokci.

– Czemu tak trudno jest się tutaj z kimkolwiek zaprzyjaźnić? Dodają coś do wody? W mojej poprzedniej szkole mogłabym grać w musicalu ORAZ pracować w gazetce ORAZ myć samochody pod szkołą, a tutaj ludzie nawet nie wiedzą, że istnieję. Co chwila ktoś popycha mnie na korytarzu, nigdzie

nie należę i nikt się mną nie interesuje. A ty, ty w ogóle mi nie pomagasz. Jesteś tak negatywnie nastawiona do życia i nigdy niczego nie próbujesz, tylko się snujesz, jakbyś miała w nosie, co ludzie wygadują o tobie za plecami.

Klapie na łóżku i zanosi się szlochem. Wyje z frustracji, tłukąc pięścią misia. Nie wiem, co powinnam zrobić. Próbuję nabrać trochę lakieru z powrotem do buteleczki, ale tylko pogarszam sprawę i jeszcze bardziej rozmazuję plamę. Wygląda teraz jak glon. Heather ociera nos o kraciasty szalik misia. Wymykam się do łazienki po kolejne pudełko chusteczek i zmywacz do paznokci.

Heather:

– Tak mi przykro, Mellie. Nie wierzę, że tak ci nagadałam. To wszystko przez PMS, więc nie przejmuj się mną. Zawsze byłaś dla mnie taka miła, jesteś jedyną osobą, której mogę ufać. – Głośno wydmuchuje nos i ociera oczy rękawem. – Spójrz na siebie. Jesteś jak moja mama. Zwykle mawia: „No i po co płakać, żyj swoim życiem”. Już wiem, co zrobimy. Najpierw wkręcimy się do jakiejś przyzwoitej paczki. Sprawimy, że ludzie w niej nas polubią, a za rok Uskrzydleni Muzycy będą nas błagać, żebyśmy zagrały w musicalu.

To najgłupszy pomysł, jaki w życiu słyszałam, ale tylko potakuję i wylewam zmywacz na dywan. Rozjaśnia lakier do jasnozielonej zieleni i wybiela materiał dookoła. Kiedy Heather zauważa, co najlepszego narobiłam, znów wybucham płaczem i szlocha, że to nie moja wina. Ból brzucha zaraz mnie zabije. Ten pokój nie pomieści tylu emocji. Wychodzę bez pożegnania.

SPEKTAKL PRZY OBIEDZIE

Rodzice wydają z siebie ostrzegawcze dźwięki, przez co obiad zmienia się w przedstawienie – tata udaje Arnolda Schwarzeneggera, mama z kolei Glenn Close w trakcie jednej ze swoich psychoz. Ja natomiast jestem Ofiarą.

Mama [z uśmiechem przyprawiającym o gęsią skórkę]:

– Myślisz, że udało ci się nas oszukać, co, Melindo? Taka z ciebie dorosła licealistka, po co miałabyś prosić rodziców o pomoc z zadaniem, po co miałabyś nam mówić, że nie zaliczyłaś sprawdzianu?

Tata [uderzając pięściami w stół, aż sztućce podskakują]:

– Koniec tego dobrego. Ona doskonale wie, co się święci. Przyszły twoje oceny na okres. Posłuchaj mnie, młoda damo, bo powiem to tylko raz: albo je poprawisz, albo będziesz mieć przechłapanie, rozumiesz? Masz się poprawić!

[Przeprowadza zmasowany atak na pieczonego ziemniaczka.]

Mama [zirytowana, że ją zepchnięto na dalszy plan]:

– Ja to załatwię. Melindo... – [Uśmiecha się, widownia aż się wzdryga] – Nie prosimy o zbyt wiele, kochanie. Chcemy tylko, żebyś bardziej się postarała, bo wiemy, że stać cię na więcej. W zeszłym roku tak dobrze zdałaś egzaminy. Spójrz na mnie, kiedy do ciebie mówię.

[Ofiara miesza serek wiejski z musem jabłkowym. Tata prycha niczym rozjuszony byk. Mama chwyta nóż.]

Mama:

– Powiedziałaś, żebyś na mnie spojrzała.

[Ofiara dodaje groszek do serka wiejskiego z musem jabłkowym. Tata przerywa jedzenie.]

Mama:

– Spójrz na mnie w tej chwili.

To głos śmierci – oznacza, że sprawy przybrały poważny obrót. Kiedy byłam dzieckiem, ten głos sprawiał, że ze strachu sikałam w majtki. Teraz potrzeba czegoś więcej. Patrzę mamie prosto w oczy, po czym zabieram ze

stołu talerz i wycofuję się do swojego pokoju. Pozbawieni ofiary, mama i tata zaczynają wrzeszczeć na siebie. Pogłaśniam muzykę, żeby zagłuszyć ich krzyki.

NIEBIESKIE RÓŻE

Po wczorajszym przesłuchaniu staram się skupić na biologii. Omawiamy komórki składające się z tych wszystkich małych drobinek, które można zobaczyć tylko pod mikroskopem. Jest całkiem fajnie, bo możemy używać prawdziwego sprzętu, a nie jakichś tam plastikowych zabawek.

Nasza nauczycielka to pani Keen. Trochę mi jej żal, bo mogła zostać znaną badaczką albo lekarką czy coś, a zamiast tego utknęła z nami. Z przodu sali ustawiła sobie drewniane skrzynki, na które się wspina, kiedy do nas mówi. Gdyby ograniczyła trochę przyswajanie pączków, wyglądem przypominałaby małą laleczkę-babcię. Zamiast tego ma galaretowate ciało, zwykle ubrane w pomarańczowy poliester. Jak ognia unika koszykarzy – z ich perspektywy pewnie wygląda jak piłka.

Mój partner z ławki nazywa się David Petrakis, należy do klanu Cybergeniuszy. Myślę, że będzie z niego przystojniak, kiedy w końcu przestanie nosić aparat. Jest tak inteligentny, że nauczyciele czują się niepewnie w jego obecności. Można by pomyśleć, że taki dzieciak już nieraz porządnie oberwał, a jednak nie, łobuzy trzymają się od niego z daleka. Muszę się dowiedzieć, jak on to robi. David zwykle mnie zlewa, no, może poza tą jedną sytuacją, kiedy prawie popsułam mikroskop wart trzysta dolarów, bo przekręciłam gałkę w złą stronę. Tego dnia pani Keen założyła fioletową sukienkę w jaskrawoniebieskie róże. Wstrząsające. Nauczycielom nie powinno się pozwalać na aż tak drastyczną zmianę bez wcześniejszego ostrzeżenia. To wstrząs dla uczniów. Sukienka była na językach wszystkich

przez cztery dni. Pani Keen już nigdy więcej jej nie założyła.

UCZEŃ DZIELONY PRZEZ ZDUMIENIE RÓWNA SIĘ ALGEBRA

Wślizguję się na swoje miejsce dobre dziesięć minut przed końcem lekcji algebry. Pan Stetman przez długi czas wpatruje się w moje usprawiedliwienie. Wyciągam czystą kartkę, by przepisać z tablicy równania. Siedzę z tyłu, dzięki czemu mogę obserwować nie tylko ludzi w klasie, ale i to, co się dzieje na parkingu. Myślę o sobie w kategorii klasowego systemu wczesnego ostrzegania. W głowie już planuję sobie próbne ewakuacje. Jak moglibyśmy uciec, gdyby coś wybuchło w pracowni chemicznej? Co, jeśli w centrum Nowego Jorku zatrzęsłaby się ziemia? Albo rozpętało tornado?

Nie potrafię skupić się na algebrze i to nie dlatego, że jestem kiepska z matmy. W zeszłym roku byłam jedną z najlepszych w klasie – tym udało mi się przekupić tatę, żeby kupił mi nowy rower. Matematyka jest łatwa, bo nie ma w niej miejsca na dyskusje. Odpowiedź jest poprawna albo nie. Gdyby ktoś podrzucił mi kartkę z zadaniami, jestem pewna, że dobrze rozwiązałabym 98% z nich.

Algebry nie potrafię jednak zrozumieć. Wiem, dlaczego musiałam wykuć na pamięć tabliczkę mnożenia, a ułamki zwykłe i dziesiętne, procenty, a nawet geometria przydadzą mi się kiedyś w życiu. Bez tego ani rusz. To całkiem logiczne, jednak nigdy się nad tym dłużej nie zastanawiałam, po prostu robiłam, co do mnie należało. Trafiłam nawet nawet na listę najlepszych uczniów.

Ale algebra? Każdego dnia ktoś pyta pana Stetmana, dlaczego musimy się jej uczyć. Od razu widać, że to pytanie sprawia mu ogromny ból. Pan Stetman kocha swój przedmiot. Kiedy o nim mówi, robi to w uniesieniu,

w które potrafią wprawić go tylko liczby całkowite. Rozpływa się nad nimi prawie tak, jak niektórzy faceci rozpływają się nad swoimi samochodami. Niech no go ktoś tylko zapyta, dlaczego algebra, a on zaczyna rozwodzić się nad nią w tysiącu i jednej historii. A żadna z nich nie ma sensu.

Pan Stetman pyta, czy ktoś mógłby wyjaśnić rolę rachunku nieprawdopodobieństwa w teorii niewzględności. Heather zgłasza się do odpowiedzi, ale pudłuje, więc nauczyciel próbuje jeszcze raz. Ja? Potrząsam głową ze smutnym uśmiechem. Nie tym razem, niech pan spróbuje za dwadzieścia lat. Wywołuje mnie do tablicy.

Pan Stetman:

– Kto chciałby pomóc Melindzie zrozumieć równanie, z którym się mierzymy? Rachel? Świetnie.

W mojej głowie rozlega się ryk pięciu wozów strażackich, wyjeżdżających z remizy. Co za masakra. Rachel/Rachelle ubrana w ekstrawagancki holenderski/skandynawski strój, stuka chodakami w drodze do tablicy. Wygląda trochę uroczo, a trochę wytwornie. Laserowym spojrzeniem wypala mi dziurę w czole. Mam na sobie zwykłe ciuchy – cuchnący szary golf i dżinsy. W tej sekundzie przypominam sobie, że powinnam była umyć włosy.

Dziewczyna porusza ustami i kredą zaczyna rysować na tablicy śmieszne znaczki i liczby. Wciągam dolną wargę między zęby. Może gdybym wystarczająco się postarała, udałoby mi się wessać tak całą siebie. Pan Stetman buczy coś pod nosem, na co Rachelle trzepocze powiekami. Daje mi kuksańca. Mamy usiąść. Cała klasa chichocze, kiedy to robimy. Nie postarałam się z tym wsysaniem.

Mój mózg nie uważa, że powinniśmy poświęcić więcej czasu algebrze. Mamy o wiele lepsze tematy do rozmyślań. Jaka szkoda. Pan Stetman wydaje się być naprawdę miłym gościem.

HALLOWEEN

Rodzice oznajmiają, że jestem już za duża, żeby odwiedzać sąsiadów i prosić o słodycze. Jestem zachwycona, bo dzięki temu nie muszę się przyznawać, że w tym roku nikt mnie nie zaprosił na wspólny obchód. Nie chcę mówić tego mamie i tacie. By zachować pozory, idę do swojego pokoju, ciężko przy tym tupiąc, i trzaskam drzwiami.

Spoglądam przez okno. Ulicą przechodzi grupka małych przebierańców. Pirat, dinozaur, dwie wróżki i panna młoda. Jak to jest, że żaden dzieciak nie przebiera się w Halloween za pana młodego? Ich rodzice ucinają sobie pogawędkę przy krawężniku. Ciemność jest niebezpieczna, dlatego ich obecność jest wskazana – są jak wysokie zjawy sunące za dziećmi w spodniach khaki i puchowych kurtkach.

Rozlega się dzwonek do drzwi. Rodzice zaczynają się kłócić, które z nich ma podejść. Chwilę później mama klnie i otwiera, piszcząc:

– Oooo, kogo my tu mamy?

Sądząc po niezbyt entuzjastycznych podziękowaniach, pewnie każdemu dała tylko po minibatoniku czekoladowym. Dzieciaki przebiegają przez ogród do kolejnego domu, a rodzice idą za nimi ulicą.

W zeszłym roku nasza paczka przebrała się za wiedźmy. Spotkałyśmy się w domu Ivy, bo ona i jej starsza siostra miały przybory do makijażu artystycznego. Wymieniłyśmy się ubraniami i kupiłyśmy tanie czarne peruki. Ja i Rachel wyglądałyśmy najlepiej. Wydałyśmy pieniądze zarobione na pilnowaniu dzieciaków, by wypożyczyć czarne satynowe peleryny, obszyte czerwoną nitką. Wymiałyśmy. To był szalony, o dziwo ciepły wieczór. Nie potrzebowałyśmy zakładać na siebie więcej warstw, a na niebie nie było ani jednej chmurki. Wiał mocniejszy wiatr, przez co ciemne cienie raz za razem przesłaniały księżyc w pełni, który wisiał na niebie tylko po to, byśmy czuły

się pełne mocy. Przemykałyśmy przez ciemność – klan nietykalnych czarownic. Przez moment myślałam o tym, żeby porzucać jakimś zaklęciami – zacząć zmieniać ludzi w żaby albo króliki, karać złoczyńców i wynagradzać innych za dobre uczynki. Skończyło się na tym, że zebrałyśmy kilogramy słodyczy. Po tym, jak rodzice Ivy poszli spać, zapaliłyśmy świeczkę w pograżonym w ciemności domu. O północy postawiłyśmy ją przed starym lustrem, by zobaczyć, co nas czeka w przyszłości. Nic nie zobaczyłam.

W tym roku Rachele wybiera się na imprezę w domu rodziny, u której zatrzymał się jeden z uczniów z wymiany. Słyszałam, jak opowiadała o tym na algebrze. Wiedziałam, że nikt by mnie nie zaprosił. Z moją reputacją będę szczęściarą, jeśli dostanę zaproszenie na mój własny pogrzeb. Heather chodzi z jakimiś maluchami z sąsiedztwa, żeby ich matki mogły zostać w domu.

Jestem gotowa. Nie mam zamiaru spędzać kolejnej nocy na użalaniu się nad sobą w swoim pokoju albo słuchaniu kłótni rodziców. Wypożyczyłam z biblioteki *Draculę* Brama Stokera. To dopiero fajowe imię. Układałam się wygodnie w moim gniazdku z cukierkami i żądnym krwi potworem.

IMIĘ, IMIĘ, IMIĘ

Niedługo po halloweenowym szaleństwie zarząd szkoły zagłosował przeciwko nazwie Niebieskie Diabły. Od teraz jesteśmy Tygrysami Merryweather. Wrrau.

Kółko ekologiczne planuje zorganizować ogólnoszkolny protest przeciwko “poniżaniu gatunków zagrożonych wyginięciem”. Tylko o tym się mówi w szkole, zwłaszcza podczas lekcji. Pan Karczycho wpadł w sterydowy szał, wrzeszcząc dookoła o *motywacji*, *tożsamości* i *świętym duchu szkoły*. W tym tempie do końca roku nie dotrzemy nawet do rewolucji przemysłowej.

Zostałam wyśmiana na hiszpańskim. W tym języku *linda* znaczy „piękna”. Nauczycielka wywołuje mnie po imieniu, a wtedy ktoś rzuca żarcikiem: *No, Melinda no es linda*. Aż do końca lekcji nazywają mnie Me-no-lindą. Właśnie po takich „nieszkodliwych” żarcikach ludzie stają się terrorystami. Ciekawe, czy jest już za późno, by przepisać się na niemiecki.

Właśnie wpadła mi do głowy świetna teoria, która wszystko wyjaśnia. Kiedy postanowiłam wybrać się na tamtą imprezę, porwali mnie kosmici. Stworzyli alternatywną Ziemię i alternatywne liceum, by przeprowadzać na mnie badania i sprawdzać moje reakcje. To dlatego jedzenie na stołówce jest takie parszywe. Choć moja teoria nie tłumaczy kilku innych kwestii. Kosmici mają naprawdę zryte poczucie humoru.

MARTHY

Heather znalazła sobie klan – Marthy. Przyjęły ją na okres próbny. Nie mam pojęcia, jak udało się jej do tego doprowadzić, ale wyczuwam przekupstwo. Powoli realizuje plan odnalezienia swojego miejsca w szkole, a ode mnie oczekuje, że będę się za nią szwendać. No ale żeby z Marthami?

Trzymanie się z nimi to olbrzymie wyzwanie finansowe – stroje w ich gronie muszą być świeżo wyprasowane, dopasowane kolorystycznie i sezonowo. Jesienią uwielbiają nosić koszule w kraty z pasującymi swetrami w kolorach o nazwach owoców, takich jak morelowy albo renetowy. Zima to czas świątecznych swetrów oraz ozdób do włosów. Heather nie wie jeszcze, co kupić na wiosnę. Przeczuwam spódnice w gęsi i białe koszule z kaczuszkami wyhaftowanymi na kołnierzykach.

Mówię Heather, że powinna posunąć się o kroczek dalej i sparodiować nieco lata pięćdziesiąte: niewinność i szarlotkę. Obawia się jednak, że liderkom grupy, Meg & Emily & Siobhan, nie przypadłoby do gustu takie

ironiczne podejście. Za bardzo trzymają się reguł.

Marthy uwielbiają pomagać. Nazwały się tak po jakiejś postaci z Biblii (pierwsza liderka Marth została misjonarką w Los Angeles), ale teraz przyświeca im inna Martha, Święta Patronka Pistoletu do Kleju – kobieta, która pisze książki o ozdobach z wisienek. Bardzo w stylu Connecticut, o naszej szkole nie wspominając. Marthy zgłaszają się do wielu projektów i robią dobre uczynki. To dla Heather idealne. Dowiedziała się już, że klan prowadzi zbiórkę puszek z jedzeniem, daje korepetycje dzieciakom w mieście, prowadzi charytatywne marsze, tańce, a nawet przesiadywanie w bujanych fotelach, by zebrać pieniądze na wszystko jedno co. Oprócz tego sprawiają nauczycielom *drobne przyjemności*. O, chyba zwymiotuję.

Pierwszym zadaniem Heather u Marth jest przystrojenie pokoju nauczycielskiego na spotkanie przed Świętem Dziękczynienia. Łapie mnie po hiszpańskim i błaga o pomoc. Uważa, że Marthy celowo przydzieliły jej misję niemożliwą do wykonania, by mogły się jej szybko pozbyć. Zawsze się zastanawiałam, jak wygląda pokój nauczycielski, bo krąży o nim mnóstwo historii. Czy jest w nim kanapa dla nauczycieli, którzy potrzebują uciąć sobie drzemkę? Pudełeczko z chusteczkami, przydatne przy załamaniach nerwowych? Wygodne skórzane fotele i prywatny kamerdyner? A co z tajnymi teczkami, które mają na każdego dzieciaka?

Prawda okazuje się zupełnie inna. To niewielkie zielone pomieszczenie o brudnych oknach, przesiąknięte zapachem papierosów, choć od lat na terenie szkoły obowiązuje zakaz palenia. Składane metalowe krzesła otaczają wysłużony stół. Na jednej ścianie wisi tablica korkowa, której nie wymieniono od pierwszego lądowania na księżycu. I choć rozglądam się uważnie, nie mogę znaleźć ani jednej teczki. Pewnie trzymają je w gabinecie dyrektora.

Heather chce, żebym z woskowanych liści klonu, żołądki, wstążki

i kilometra cienkiego sznurka zrobiła dekorację na stół, ona w tym czasie go nakryje i powiesi baner. Papla o swoich lekcjach, kiedy ja niszczę jeden rudy liść za drugim. Pytam, czy możemy zamienić się rolami, zanim zrobię sobie krzywdę na całe życie, a wtedy delikatnie rozplątuje mnie ze sznurka. Bierze do jednej ręki bukiet liści, owija sznurkiem ich łodyżki, raz-i-dwa, ukrywa go pod kokardką i gorącym klejem doczepia na miejsce żółędzie. To upiorne. Pędzę dokończyć nakrywanie stołu.

Heather:

– I co myślisz?

Ja:

– Jesteś dekoracyjnym geniuszem.

Heather [wywracając oczami]:

– Nie, głuptasie. Co myślisz o tym wszystkim? O mnie? Dasz wiarę, że pozwoliły mi do siebie dołączyć? Meg jest przemiła, dzwoni do mnie co wieczór, żeby porozmawiać. – Okrąża stół i poprawia widelce, które właśnie na nim położyłam. – Pomyślisz sobie pewnie, że przesadzam, ale w zeszłym miesiącu byłam taka przybita, że poprosiłam rodziców, żeby wysłali mnie do szkoły z internatem. A teraz mam przyjaciół, wiem, jak otworzyć szafkę i... – przerywa i rozciąga usta w uśmiechu – wszystko jest idealnie!

Nie mam nawet czasu wykrztusić z siebie odpowiedzi, bo do pokoju wkraczają Meg & Emily & Siobhan, każda z tacą minibabeczek i plastrów jabłka w czekoladzie. Meg patrzy na mnie i unosi brew.

Ja:

– Dzięki za pomoc z zadaniem, Heather. Nie poradziłabym sobie bez ciebie. – Z tymi słowami wypadam przez drzwi, ale nie domykam ich, bo chcę wiedzieć, co będzie dalej.

Heather staje jak na baczność, kiedy nasza praca zostaje poddana ocenie. Meg unosi dekorację i ogląda ją z każdej strony.

Meg:

– Dobra robota.

Na twarzy Heather wykwita rumieniec.

Emily:

– Co to była za dziewczyna?

Heather:

– To moja koleżanka. Pierwsza osoba, dzięki której poczułam się tu jak w domu.

Siobhan:

– Dziwna jest. Widziałyście te usta? Wygląda, jakby była na coś chora.

Emily unosi rękę i patrzy na zegarek (którego pasek pasuje do wstążki we włosach). Pięć minut. Heather musi wyjść, zanim przyjdą nauczyciele. Jest na okresie próbnym, co oznacza, że nie może przypisywać sobie zasług za własną pracę.

Chowam się w łazience, aż mam pewność, że autobus Heather już pojechał. Od soli z kapiących łez przyjemnie mrowią mnie usta. Obmywam twarz, aż nie ma śladu po potokach łez, tak samo jak po oczach, nosie i ustach. Nie zostaje nic.

KOSZMAR

Spotykam TO na korytarzu. TO chodzi do naszego liceum. TO przechadza się z Aubrey, jedną z cheerleaderek. TO jest koszmarem, z którego nie mogę się wybudzić. TO zauważa mnie. TO uśmiecha się i mruga. Jak dobrze, że mam sklezione usta, bo inaczej zwymiotowałabym na podłogę.

MOJE OCENY

Udawanie miłej: 5

WOS: 4

Język hiszpański: 4

Plastyka: 6

Zachowanie na przerwie obiadowej: 3

Biologia: 4

Algebra: 3+

Strój: 3

Język angielski: 4

Wychowanie fizyczne: 4+

-
1. Dzień Kolumba – święto obchodzone w październiku zarówno w państwach obydwu Ameryk, jak i w Hiszpanii, upamiętniające odkrycie Ameryki przez Krzysztofa Kolumba (przyp. tłum.) [\[wróć\]](#)

DRUGI OKRES

DALEJ _____ (WSTAW ODPOWIEDNIĄ NAZWĘ)!

Kółko ekologiczne wygrało drugie starcie. Nie jesteśmy już Tygrysami, bo ta nazwa wykazuje „szokujący brak szacunku” dla zagrożonego gatunku.

Ja z pewnością jestem zszokowana.

Kółko nieźle przyłożyło się do plakatów. Zestawili nagłówki z gazet sportowych: „TYGRYSY ROZSZARPANE NA STRZĘPY!”, „TYGRYSY ZASZLACHTOWANE!”, „ŚMIERĆ TYGRYSÓW” z kolorowymi zdjęciami tygrysów bengalskich obdartych ze skóry. Ekolodzy mają niezłych piarowców (a drużyna futbolowa może i jakoś by zaprotestowała, gdyby nie fakt, że rzeczywiście przegrali każdusięki mecz w tym sezonie. Cieszą się ze zmiany nazwy, bo inne drużyny zaczęły nazywać ich Kiciusiami. Cios prosto w męską dumę). Ponad połowa uczniów podpisała petycję, a trójka dzieciaków, która przypinała się do drzew, dostała listy pełne wsparcia od innych grup spoza szkoły i trojga hollywoodzkich aktorów.

Zostaliśmy włączeni do zgromadzenia, które ma robić za „forum demokratyczne” i wybrać nową nazwę dla szkolnej maskotki. Kim jesteśmy? Nie możemy być Korsarzami, bo piraci popierali przemoc i dyskryminację wobec kobiet. Jakiś koleś, który zasugerował Szewców na cześć starej manufaktury mokasynów, został wyśmiany przez całą aulę. Wojownicy to obraza dla rdzennych Amerykanów. Myślę, że Apodyktyczni Eurocentryczni Patriarchowie byliby idealni, ale siedzę cicho.

Samorząd uczniowski przeprowadzi wybory tuż przed feriami zimowymi. Póki co nasze propozycje to:

1. Pszczoły – pożyteczne dla rolników, lepiej nie wchodzić im w drogę;
2. Góry Lodowe – na cześć zimowej, świątecznej pogody;
3. Zdobywcy Szczytów – co bez wątplenia przerazi przeciwników;

4. Wombaty – nikt nie wie, czy są zagrożonym gatunkiem.

CICHY ZAKĄTEK

Rodzice kazali mi codziennie zostawać po szkole na korepetycjach u nauczycieli. Zgodziłam się i dlatego spędzam czas w mojej przemeblowanej kryjówce. Całkiem nieźle już wygląda.

Najpierw robię porządek z lustrem. Jest przykręcone do ściany, więc zakrywam je plakatem Mai Angelou, który dostałam od bibliotekarki. Powiedziała, że Angelou to jedna z najlepszych amerykańskich pisarek. Plakat trzeba było zdjąć, bo rada szkoły zakazała którejś z jej książek. Rzeczywiście musiała być wspaniała, skoro nawet rada się jej obawia. Kobieta ze zdjęcia patrzy na mnie, kiedy zamiatam i myję podłogę, ścieram kurz z półek i przeganiam pająki z kątów. Każdego dnia robię coś innego, zupełnie jakbym budowała fort. Myślę, że Maya ucieszyłaby się, gdybym tu czytała, więc przynoszę z domu kilka książek, chociaż przez większość czasu obserwuję przerażające sceny, rozgrywające się pod moimi powiekami.

Coraz ciężiej jest mi rozmawiać. Mam wrażenie, jakby gardło bolało mnie przez cały czas, a z warg powstała jedna wielka rana. Kiedy budzę się rano, mam tak zaciśnięte szczęki, że aż dostaję od tego bólu głowy. Czasami rozluźniam usta, ale tylko wtedy, kiedy jestem sama z Heather. Za każdym razem, kiedy próbuję porozmawiać z rodzicami albo nauczycielem, zaczynam się jąkać albo zamieram. Co jest ze mną nie tak? Zupełnie jakbym nabawiła się jakiegoś skurczu krtani.

Wiem, że ostatnio pochrzaniło mi się w głowie. Mam ochotę wyjechać, przenieść się albo przeteleportować do innej galaktyki. Chciałabym wyznać wszystkim prawdę, zrzucić na kogoś poczucie winy, błąd i całą złość. W moim brzuchu żyje bestia, słyszę, jak miota się między żebrami. Nawet jeśli odrzucę wspomnienia gdzieś w kąt, ona i tak zostanie i będzie mnie

kalać. Moja kryjówka to dobry, cichy zakątek, który pomaga mi zatrzymać wszystkie te myśli w głowie, gdzie nikt inny nie może ich usłyszeć.

I WSZYSCY RAZEM

Nauczycielka hiszpańskiego łamie zasadę „żadnego angielskiego” tylko po to, by powiedzieć nam, żebyśmy lepiej przestali udawać, że nie rozumiemy poleceń w zadaniach domowych, albo wszyscy będziemy zostawać po lekcjach. Zaraz po tym powtarza wszystko po hiszpańsku, chociaż wydaje mi się, że dorzuciła do tego kilka innych słów. Mogłaby się sama domyślić, że gdyby po prostu na pierwszej lekcji nauczyła nas przeklinać, przez resztę roku szkolnego robilibyśmy wszystko, o co nas prosi.

Koza nie brzmi zbyt zachęcająco, więc odrabiam lekcje – wybieram pięć czasowników i je odmieniam.

Tłumaczyć: *traducir*. Ja traduciruję.

Oblewać: *fracasar*. Yo prawie frascaruję.

Kryć się: *esconder*.

Uciekać: *escapar*.

Zapomnieć: *olvidar*.

DO PRACY RODACY

W razie gdyby wyleciało nam z głowy, że „jesteśmy tupotożebynauczycięsiępodstawimóciśńnastudiawykorzystaćwłasnyprac urządzono nam w szkole Dzień Kariery.

Wszystko zaczyna się od testu, dotyczącego naszych pragnień i marzeń.

Lubię spędzać czas:

- a) w większej grupie ludzi;
- b) w mniejszej grupce najbliższych znajomych;
- c) z rodziną;
- d) samotnie.

Wolę:

- a) pomagać;
- b) działać;
- c) planować;
- d) marzyć.

Gdybym ocknęła się skrępowana na torowisku, a pociąg do Rochester o 15:15 miał zaraz rozjechać mnie na pół:

- a) wołałabym o pomoc;
- b) poprosiłabym zaprzyjaźnione myszki, by poprzegryzały sznury;
- c) przypomniałabym sobie, że zostawiłam w suszarce ulubione dzinsy i pewnie koszmarnie się przez to pomięły;
- d) zamknęłabym oczy i udawała, że wszystko gra.

Dwieście pytań później znam już swoje wyniki. Powinnam rozważyć karierę jako:

- a) leśnik; b) strażak; c) specjalista do spraw komunikacji; d) przedsiębiorca pogrzebowy.

Przyszłość Heather maluje się w jaśniejszych barwach – powinna zostać pielęgniarką. Tak ją to cieszy, że nie może przestać podskakiwać.

Heather:

– Lepiej być nie mogło! Teraz już wiem, co zrobić ze swoim życiem. W następne wakacje zgłoszę się jako wolontariuszka do szpitala, a ty razem ze mną, co ty na to? Będę zakuwać biologię, później dostanę się na

uniwersytet stanowy i zostanę dyplomowaną pielęgniarką. Co za genialny plan!

Skąd ona już to wszystko wie? Ja nie mam nawet pojęcia, co będę robić za pięć minut, a ta zdążyła już rozplanować sobie piętnaście lat naprzód. Póki co mam zamiar martwić się, jak przebrnę przez pierwszą klasę liceum. Dopiero później pomartwię się o wybór zawodu.

PIERWSZA POPRAWKA

Pan Karczycho wpada do klasy niczym rozjuszony byk, ganiający za trzydziestoma trzema czerwonymi flagami. Wślizgujemy się na swoje miejsca. Jestem pewna, że zaraz wybuchnie. I rzeczywiście to robi, choć w nieprzewidywalny, jakby lekko edukacyjny sposób.

„IMIGRACJA” – pisze na tablicy. Wydaje mi się, że nawet udało mu się nie zrobić błędu.

Pan Karczycho:

– Moja rodzina mieszka w tym kraju od ponad dwustu lat. Pomogliśmy go zbudować, walczyliśmy w każdej wojnie, od pierwszej do ostatniej, płaciliśmy podatki i głosowaliśmy.

Nad głowami wszystkich uczniów w klasie pojawiają się chmurki rodem z komiksów. („CZY TO BĘDZIE NA SPRAWDZIANIE?”)

Pan Karczycho:

– Więc powiedzcie mi, dlaczego mój syn nie może znaleźć pracy?

Kilka dłoni wystrzeliwuje w powietrze, ale Pan Karczycho je ignoruje. To było pytanie retoryczne, zadał je, by samemu sobie na nie odpowiedzieć. Rozluźniam się. Mój tata w podobny sposób żali się na swojego szefa. Najlepsze, co można zrobić, to nie zasnąć i co jakiś czas mrugać ze współczuciem.

Jego syn chciał zostać strażakiem, ale nie dostał tej pracy. Pan Karczycho jest przekonany, że to jakiś rodzaj odwrotnej dyskryminacji. Twierdzi, że powinniśmy zamknąć granice, żeby tylko prawdziwi Amerykanie dostawali posady, na które zasłużyli. Na teście zawodowym wyszło mi, że byłabym dobrym strażakiem. Ciekawe, czy mogłabym zwędzić synowi pana Karczycha robotę sprzed nosa.

Odpływam myślami, skupiając się na szkicowaniu sosny. Ostatnio na plastyce próbowałam wyryć coś w linoleum. Problem polega na tym, że nie można sobie przy tym pozwolić na żaden błąd. Każdy, jaki się popełni, zastyga w pracy na zawsze, dlatego wcześniej trzeba sobie wszystko rozplanować. Pan Karczycho znowu bazgrze coś na tablicy: „DEBATA: Czy Ameryka powinna była zamknąć granice w roku 1900?”. Tym dopiero trafia w czuły punkt. A nawet kilka z nich. Widzę, jak inni uczniowie liczą na placach, starając się określić, kiedy urodzili się ich dziadkowie lub pradiadkowie albo kiedy przybyli do Ameryki i czy w ogóle udałoby im się przeżyć *karczychowe cięcie*. Gdy dochodzą do wniosku, że mogliby utknąć w kraju, który ich nienawidzi, albo w miejscu, gdzie nie ma szkół albo gdzie nie mieliby przyszłości, natychmiast unoszą ręce. Nie zgadzają się z opinią pana Karczycha.

Nawet nie wiem, skąd pochodzi moja rodzina. Pewnie z jakiegoś zimnego miejsca, gdzie w czwartki jada się fasolkę, a w poniedziałki rozwiesza pranie. Nie mam pojęcia, jak długo żyjemy w Ameryce. Mieszkaliśmy w tym okręgu szkolnym, już kiedy szłam do pierwszej klasy podstawówki, więc to powinno się jakoś liczyć. Zaczynam rysować jabłoni.

Wszyscy przerzucają się argumentami. Kilkoro lizusów szybko orientuje się, po której stronie opowiada się pan Karczycho, więc starają się wyeliminować „cudzoziemców”. Każda osoba, której rodzina przybyła do kraju w ciągu ostatnich stu lat, ma do opowiedzenia historię o tym, jak to

ciężko pracowali jej krewni, ile poświęcili dla kraju, jakie płacą podatki. Dziewczyna z Kółka Łuczników próbuje wtrącić, że wszyscy tutaj jesteśmy cudzoziemcami i że powinniśmy oddać kraj rdzennym mieszkańcom, ale szybko zostaje przekrzyczana. Panu Karczychowi podoba się ten rumor aż do momentu, w którym jakiś chłopak rzuca mu bezpośrednie wyzwanie.

Odważny Dzieciak:

– Może pana syn nie dostał pracy, bo nie był wystarczająco dobry? Albo jest leniwy. Albo ktoś inny był lepszy od niego, niezależnie od koloru skóry? Myślę, że to biali ludzie, którzy są tu od ponad dwustu lat, ciągną ten kraj na dno. Nie wiedzą, jak pracować, bo wszystko przyszło im z łatwością.

Siły proimigracyjne biją gromkie brawa i dodają do tego pohukiwania.

Pan Karczycho:

– Licz się ze słowami, chłopcze, mówisz o moim synu. Nie chcę słyszeć od was nic więcej. Koniec debaty, wyciągnijcie książki.

Pan Karczycho znów panuje nad sytuacją. Przedstawienie skończone. Po raz trzysta piętnasty próbuję narysować gałąź wyrastającą z pnia drzewa, ale za każdym razem wygląda jak toporne paskudztwo. Nie mam pojęcia, jak sprawić, by wyglądała jak żywa. Jestem tak tym pochłonięta, że na początku nie zauważam, że David Petrakis, z którym pracuję w parze na biologii, wstał. Rozmowy w klasie cichną. Z wrażenia odkładam ołówek.

Pan Karczycho:

– Panie Petrakis, proszę usiąść.

David nigdy, przenigdy nie pakuje się w kłopoty. Ma nienaganną frekwencję i pomaga personelowi wyszukiwać błędy w plikach komputerowych albo kartach z ocenami. Przygryzam skórkę na małym palcu. Co on wyrabia? Odbiło mu? W końcu przygniótł go ciężar bycia mądrzejszym od wszystkich dookoła?

David:

– Jeśli w klasie trwa debata, to każdy uczeń ma prawo się wypowiedzieć.

Pan Karczycho:

– To ja tu decyduję, kto zabiera głos.

David:

– Rozpoczął pan debatę. Nie może jej pan skończyć tylko dlatego, że nie idzie po pana myśli.

Pan Karczycho:

– Nie? No popatrz. Usiądź na swoim miejscu, panie Petrakis.

David:

– Konstytucja nie dzieli obywateli na klasy na podstawie czasu spędzonego w kraju. Jestem obywatelem, który ma takie same prawa jak pan czy pański syn. Jako obywatel i uczeń nie zgadzam się na pełen rasizmu, nietolerancji i ksenofobii ton prowadzonej przez pana lekcji.

Pan Karczycho:

– Siadaj na tyłku, Petrakis, i uważaj, co mówisz! Chciałem przeprowadzić tu debatę, a wy, dzieciaki, sprowadziliście ją do rasizmu. Siadaj albo wylądujesz u dyrektora!

David wpatruje się w pana Karczycha, później przez dobrą minutę we flagę, po czym zbiera swoje książki i wychodzi z klasy. Wyraził milion myśli bez użycia ani jednego słowa. Robię w głowie mentalną notkę, żeby baczniej przyglądać się Davidowi Petrakisowi, bo nigdy wcześniej nie byłam świadkiem tak wymownej ciszy.

SKŁADAMY DZIĘKI

Koloniści składali podziękowania w czasie Święta Dziękczynienia, ponieważ rdzenni Amerykanie uratowali im tyłki od śmierci głodowej. Ja składam dzięki, bo mama w końcu idzie do pracy, a tata zamawia pizzę.

Moja zwykle zadręczająca się, żyjąca w ciągłym biegu matka tuż przed Dniem Indyka zmienia się w narkomankę na głodzie. Najpierw z powodu Czarnego Piątku – dnia po Święcie Dziękczynienia, czyli początku sezonu świątecznego. Świat się skończy, jeśli nie sprzeda wtedy miliarda koszul i dwunastu milionów pasków. Żyje tylko na papierosach i czarnej kawie, klnie jak raperka, a w głowie wypełnia arkusze kalkulacyjne. Normy, jakie wyznacza w swoim sklepie, są nierealne do spełnienia i chociaż całkowicie zdaje sobie z tego sprawę, po prostu nie może się powstrzymać. To jak obserwowanie kogoś, kto wpadł w ogrodzenie pod napięciem – kręci się, wierci, miota i nie może się wydostać. I właśnie co roku, kiedy mama już prawie dostaje nerwicy, zabiera się za gotowanie świątecznego obiadu. Błagamy, by tego nie robiła. Prosimy, zostawiamy nawet anonimowe liściki, a ona i tak robi swoje.

W wieczór przed Świętem Dziękczynienia kładę się do łóżka o dziesiątej, a mama wciąż stuka w klawiaturę laptopa przy stole w jadalni. Kiedy schodzę na dół następnego dnia, ona wciąż siedzi w tym samym miejscu. Wątpię, że w ogóle zmrużyła w nocy oczy.

Patrzy na mój szlafrok i kapcie-króliczki.

– Jasna cholera – rzuca. – Zapomniałam o indyku.

Biorę się za obieranie ziemniaków, ona z kolei serwuje zmrożonemu indykowi gorącą kąpiel. Na szybach osiada para, która oddziela nas od świata zewnętrznego. Kusi mnie, żeby zaproponować na obiad coś innego, na przykład spaghetti albo chociaż kanapki, ale wiem, że opacznie by to zrozumiała. Zasadza się na wnętrzości ptaka szpikulcem do lodu. Jestem pod wrażeniem. W zeszłym roku upiekła go razem z nimi w środku.

Przygotowanie świątecznego obiadu wiele dla niej znaczy, jakby to był jakiś święty obowiązek, który uczyni z niej żonę i matkę. W moim domu niewiele się rozmawia i tak naprawdę niewiele mamy ze sobą wspólnego, ale

jeśli mamie uda się przygotować jadalny świąteczny obiad, to znaczy, że pozostaniemy rodziną jeszcze przez co najmniej rok. Logika rodem z reklamy aparatów fotograficznych – tylko tam tak to działa.

Kończę obierać ziemniaki, a wtedy mama wysyła mnie przed telewizor, żebym pooglądała sobie paradę. Tata schodzi na dół.

– Co z nią? – pyta, zanim kieruje się do kuchni.

– Jak to w Święto Dziękczynienia – odpowiadam.

Tata zakłada płaszcz.

– Pączki?

Kiwam głową w odpowiedzi.

Dzwoni telefon. Mama odbiera. To ze sklepu. Czerwony alarm numer jeden. Idę do kuchni po jakiś napój. Dostaję szklanekę soku pomarańczowego, którego i tak nie wypiję, bo chyba wypali mi pokryte strupkami usta. Indyk pływa w zlewie niczym czteroipółkilogramowa indycza góra lodowa. Sceneria żywcem z *Titanica*.

Mama rozłącza się i wygania mnie z kuchni. Mam wziąć prysznic i posprzątać w pokoju. Zamiast tego zanurzam się w kąpiel. Nabieram głęboko powietrza do płuc i unoszę się na wodzie, po czym wypuszczam oddech i opadam na dno. Z głową pod powierzchnią słucham bicia swojego serca. Telefon dzwoni jeszcze raz. Czerwony alarm numer dwa.

Gdy wracam na dół ubrana, parady dobiegły już końca, a tata ogląda mecz futbolowy. Resztki cukru pudru z pączków brudzą mu twarz. Nie lubię, kiedy w święta obija się po domu. Wolę, kiedy jest gładko ogolony i ma na sobie garnitur. Każe mi się przesunąć, żebym nie zasłaniała mu ekranu.

Mama znów rozmawia przez telefon. Czerwony alarm numer trzy. Zdążyła już cała okręcić się kablem, który wygląda jak lina przytwierdzająca ją do stosu. Z ogromnego gara pełnego wrzącej wody wystają dwie ptasie nóżki – wychodzi na to, że gotuje zamrożonego indyka.

– Nie zmieści się do mikrofalówki – tłumaczy. – Niedługo się rozmrozi.

Zatyka palcem ucho, skupiając się na głosie w słuchawce. Wyciągam z torebki pączka bez polewy i wracam do swojego pokoju.

Trzy gazety później słyszę, że rodzice się kłócą. Nie wrzeszczą. Raczej delikatnie sprzeczą, podobni do bąbelków wody, która trafiają na rozgrzaną kuchenkę. Wycofują się do swoich narożników, kiedy telefon dzwoni po raz kolejny. Oto moja szansa.

Kiedy wchodzę do kuchni, mama znowu stoi z słuchawką przy uchu, ale nie słucha. Ściera parę z okna i wygląda do ogródka. Staję obok niej przy zlewie.

Tata przechodzi przez podwórko, z rękawicami kuchennymi na dłoniach i parującym indykiem opartym o udo.

– Stwierdził, że rozmrozi się za kilka godzin – wyjaśnia mama. W słuchawce piszczy jakiś cieniutki głosik, więc dodaje: – Nie, to nie do ciebie, Ted.

Tata kładzie indyka na pieńku i sięga po siekiere. Robi zamach i... narzędzie zatapia się w zamrożonym ptasim ciele. Tata zamachuje się raz za razem. Kawałek mrożonego indyka spada na ziemię. Unosi go i macha w kierunku okna. Mama odwraca się plecami i mówi Tedowi, że niedługo będzie.

Po tym, jak wychodzi, tata przejmuje pałeczkę przy gotowaniu obiadu. Taka panuje u nas zasada – jeśli on zaczyna biadolić, że mamie kiepsko wychodzą przygotowania do świąt, to musi udowodnić, że poradziłby sobie lepiej. Przynosi do domu zmasakrowane i brudne mięso, a potem obmywa je w zlewie płynem do naczyń i wodą. Siekiere też.

Tata:

– Jak za starych, dobrych czasów, co, Mellie? Chłop idzie do lasu i przynosi rodzinie obiad. To nie takie trudne. Gotowanie wymaga trochę

zdolności organizacyjnych i umiejętności czytania. No, a teraz podaj mi chleb. Zaraz zrobię porządne nadzienie, takie jakie kiedyś robiła moja mama. Nie musisz mi pomagać, odrób lepiej lekcje albo zrób coś ponadprogramowo, żeby poprawić oceny. Zawołam cię, kiedy obiad będzie gotowy.

Myślę o nauce, ale w końcu mamy święto, więc zamiast tego rozsiadam się wygodnie na kanapie w salonie i oglądam jakiś stary film. Dwa razy czuję dym, wzdrygam się, gdy coś rozbija się na podłodze i podsłuchuję rozmowę z panią z indyczej infolinii. Kobieta mówi, że najlepszą częścią świątecznego obiadu i tak jest zupa. Tata woła mnie do kuchni jakąś godzinę później, fałszywie podekscytowany, jak przystało na ojca, który naprawdę spartolił robotę. Kości indyka leżą rozrzucone na desce do krojenia, a na kuchence kipi garnek kleistej brei. W bulgoczącym sosie pływają jakieś szare, zielone i żółte składniki.

Tata:

– To miała być zupa.

Ja:

– ...

Tata:

– Smakowała jak woda, więc cały czas ją zagęszczałem. I dodałem trochę kukurydzy i groszku.

Ja:

– ...

Tata [wyciągając portfel z tylnej kieszeni spodni]:

– Zamów pizzę, a ja się tego pozbędę.

Zamawiam z podwójnym serem i pieczarkami. Tata zagrzebuje zupę z tyłu domu, tuż obok Ariela, naszego zdechłego beagle'a.

KOŚĆ ŻYCZEŃ

Chcę upamiętnić jakoś naszego indyka, bo chyba nigdy wcześniej żaden z nich nie wycierpiał tyle, co ten. Wygrzebuję kości z kosza i przynoszę je na lekcje plastyki. Pan Freeman jest zachwycony, każe mi pracować nad ptakiem, ale nie zapominać o drzewie.

Pan Freeman:

– Złapałaś bakcyła, Melindo, widzę to w twoich oczach. Zrozumiałaś subiektywne znaczenie efektu, jakie na Święto Dziękczynienia wywiera komercjalizm. To wspaniałe, po prostu wspaniałe! Bądź ptakiem. Jesteś ptakiem. Poświęć własne jestestwo dla porzuconych wartości rodzinnych i słodkich ziemniaczków z puszki.

Skoro pan tak mówi.

Na początku planuję posklejać kości, by wyszedł z nich stosik drewna na opał (łapiecie? – drzewo – drewno), ale pan Freeman tylko kwituje to westchnieniem. Mówi, że stać mnie na więcej. Układam kości na czarnej kartce i próbuję obrysować je kształtem indyka. Nie potrzebuję komentarza nauczyciela, by domyślić się, że to porażka, chociaż w tym momencie i tak zanurzył się we własnym obrazie i kompletnie zapomniał, że w ogóle istniejemy.

Maluje na ogromnym płótnie. Zaczął dość niepozornie – od deszczowego dnia i smutnego budynku przy szarej drodze. Przez tydzień w pocie czoła wymalowywał na chodniku brudne monety, bo chciał, żeby wyglądały idealnie. Później w oknach budynku dodał wyglądające na ulicę twarze członków rady szkolnej, a potem kraty, przez co zmienił szkołę w więzienie. Jego płótna są o wiele lepsze od telewizji, bo nigdy nie wiadomo, co się zaraz wydarzy.

Zgniatam kartkę w kulkę i rozkładam kości na stole. Melinda Sordino –

antropolog. Właśnie odkryłam pozostałości po obrzydliwym akcie składania stworzeń w ofierze. Rozlega się dzwonek na przerwę, więc posyłam panu Freemanowi błagalne spojrzenie. Mówi, że przekaże jakieś usprawiedliwienie mojej nauczycielce hiszpańskiego, więc mogę zostać przez jeszcze jedną lekcję. Kiedy Ivy to słyszy, też prosi o pozwolenie. Stara się pozbyć swojego lęku przed klaunami. Tworzy jakąś dziwną rzeźbę – maskę o twarzy arlekina. Nauczyciel zgadza się, przez co dziewczyna unosi brwi w moim kierunku i szczerzy się radośnie. Zanim orientuję się, że to mogłaby być dobra okazja, żeby nawiązać z nią kontakt, wraca do pracy.

Przyklejam kości do kawałka drewna, układając szkielet na kształt eksponatu w muzeum. W koszu z pierdółkami znajduję noże i widelce, więc dodaję je tak, żeby wyglądały, jakby atakowały kości.

Cofam się o krok. Nie, czegoś jeszcze brakuje. Znów przekopuję się przez kosz i znajduję na wpół stopioną palmę z zestawu Lego. Może być. Pan Freeman kolekcjonuje wszystko, co normalna osoba już dawno by wyrzuciła: zabawki z zestawów Happy Meals, zawieruszone karty do gry, rachunki ze sklepów spożywczych, klucze, lalki, ma nawet solniczkę i plastikową ciuchcią... skąd w ogóle wie, że takie rzeczy mogą tworzyć sztukę?

Zdejmuję głowę lalce Barbie i wsadzam ją w szkielet indyka. To dopiero pasuje. Ivy przechodzi obok mnie i patrzy, co zrobiłam. Unosi lewą brew i potakuje. Macham dłonią na pana Freemana i on też podchodzi bliżej na inspekcję. Prawie mdleje z zachwyty.

Pan Freeman:

– Wspaniale, no wspaniale! I co ci to mówi?

A niech to. Nie wiedziałam, że czeka mnie też „sto pytań do”. Odchrząkuję. Żadne słowa nie chcą wydostać mi się z gardła, jest zbyt suche. Próbuję jeszcze raz, delikatnie kaszląc.

Pan Freeman:

– Boli cię gardło? Nie przejmuj się, panuje teraz jakieś choróbsko. To może ja powiem, co tutaj widzę?

Potakuję głową z wdzięcznością.

– Widzę dziewczynę, która zatrzymała się w pozostałościach nieudanego święta, o ciele, które niknie dzień po dniu, gdy jej trup wysycha. Nóż i widelec to oczywiście symbole wrażliwości, jaka cechuje klasę średnią. Drzewo palmowe ładnie tu zagrało. Symbol niespełnionych marzeń? Pełnego kłamstw miesiąca miodowego, opuszczonej wyspy? Och, a gdybyś dodała tu trochę miodu, może udałoby się osłodzić ten fałsz?

Śmieję się wbrew sobie. Naprawdę zaczynam to wszystko łapać. Podczas gdy Ivy i pan Freeman obserwują każdy mój ruch, ściągam głowę Barbie i wsadzam ją na czubek szkieletu. Nie ma już miejsca na palmę, więc odrzucam ją na bok. Przesuwam sztucce, by robiły za nogi, a usta Barbie zaklejam kawałkiem taśmy.

Ja:

– Są tu jakieś gałązki? Mogłabym zrobić z nich ramiona.

Ivy otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale rezygnuje. Pan Freeman uważnie przygląda się mojemu prostemu projektowi. Nic nie mówi, więc zaczynam się martwić, że wkurzył się, że wyrzuciłam palmę. Ivy próbuje jeszcze raz:

– To przerażające – zaczyna. – W taki dziwny sposób. Nie tak straszne jak klauni, ale, umm, jak by to powiedzieć? No, nie chcesz patrzeć na to zbyt długo. Dobra robota, Mel.

To nie do końca reakcja, na jaką liczyłam, ale chyba i tak wychodzi na plus. Ivy mogła wrócić do zadzierania nosa albo zignorowania mnie, ale tego nie zrobiła. Pan Freeman stuka się po podbródku. Wygląda teraz zbyt poważnie jak na nauczyciela plastyki, przez co się stresuję.

Pan Freeman:

– W tym się kryje głębszy sens. Ból.

Dzwoni dzwonek. Wychodzę, zanim ma szansę dodać coś jeszcze.

OBRANE ZE SKÓRKI

Na biologii zajmujemy się owocami. Pani Keen poświęciła cały tydzień, by opowiedzieć nam wszystko o pręcikach, słupkach, strąkach i kwiatkach. Ziemię pokryła warstwa lodu, nocami pada śnieg, ale nauczycielka z całych sił stara się zatrzymać wiosnę w swojej klasie.

Ostatnie ławki przysypiają, dopóki nie słyszą, że jabłonie potrzebują pszczoł do rozmnażania. „Rozmnażanie” to dla nich słowo-klucz. Domyślili się, że jakoś łączy się z seksem, więc lekcja o pręcikach i słupkach zamienia się w jedną wielką karuzelę śmiechu. Pani Keen uczy jeszcze od czasów średniowiecza, więc potrzeba czegoś więcej niż rzędu rozochoconych przysadek (przysadków?), żeby wybić ją z rytmu dzisiejszej lekcji. Ze stoickim spokojem przechodzi do części praktycznej.

Jabłka. Dostajemy różne odmiany: rome, kortlandy albo makintosze oraz plastikowy nożyk, a naszym zadaniem jest je pokroić. Ostatnie ławki rozpoczynają walkę na ostrza, a pani Keen w milczeniu wypisuje na tablicy nazwiska poszczególnych osobników, razem z oceną. Za każdą minutę bitwy odejmuje im pół stopnia. Dopiero kiedy piątka z minusem zmienia się w czwórkę na szynach, orientują się, co jest grane i zaczynają wrzeszczeć.

Tylne Rzędy:

– To nie fair! Nie może nam pani tego zrobić. Nie daje nam pani żadnych szans!

Nauczycielka odejmuje kolejny punkt. Oni zaczynają ciąć jabłka, mamrocą, mruczą pod nosem, przeklinają, klną, stara krowa, głupia baba.

David Petrakis, z którym jestem w parze, bez słowa kroi jabłko na osiem

równych części. W tym tygodniu bierze udział w kursie przygotowawczym na studia medyczne. Nie może się zdecydować, czy woli iść na medycynę, czy na prawo. Pierwsza klasa liceum to dla niego tylko drobna przeszkoda na drodze. Krótki zwiastun przed głównym filmem zwanym Życiem.

Zapach jabłek unosi się w powietrzu. Pewnego razu, kiedy byłam mała, rodzice zabrali mnie do sadu. Tatuś posadził mnie wysoko na gałęzi jabłoni. Poczułam się, jakbym znalazła się w bajce, smacznej, czerwonej i liściastej, a konar ani trochę się nie trząsł. Pszczoły z bzykiem przecinały powietrze, tak zaaferowane jabłonią, że nawet nie zwracały sobie główek żądleniem mnie. Słońce grzało mnie w głowę, wiatr popychał mamę w ramiona taty, a zbierający jabłka rodzice z dziećmi śmiali się może nawet przez całą minutę.

Tak właśnie pachnie pracownia biologiczna.

Biorę gryza jabłka. Białe zęby, czerwone jabłko, smaczny sok, głęboki gryz.

David aż się krztusi na ten widok.

– Nie możesz tak! Ona cię zabije! Miałaś je pociąć, nie słyszałaś? Obniży ci ocenę!

Davidą najwyraźniej ominęło w dzieciństwie ważne doświadczenie, jakim było przesiadywanie na jabłoni.

Kroję resztę jabłka na duże cztery kawałki. W środku kryje się dwanaście nasion. Jedno z nich się rozłupało i wystaje z niego biała rączka. Jabłoń wyrastająca z nasionka, rosnąca w jabłku. Pokazuję pani Keen to odkrycie, a ona przyznaje mi plusa. David przewraca oczami. Biologia jest ekstra.

PIERWSZA POPRAWKA, CZĘŚĆ DRUGA

Bunt wisi w powietrzu. Do przerwy świątecznej został już tylko tydzień.

Uczniowie unikają kary za swoje występki, a nauczyciele są zbyt zmęczeni, by się tym przejmować. Doszły mnie słuchy, że za zamkniętymi drzwiami popijają sobie ajerkoniak. Z sali od WOS-u aż wylewa się duch rewolucyjny. David Petrakis znów walczy o nasze prawo do swobodnej wypowiedzi.

Docieram do klasy przed dzwonkiem. Nie ośmieliłabym się pokazać panu Karczysze skradzionego usprawiedliwienia. Kiedy tylko nauczyciel otwiera usta, żeby zacząć lekcję, David, niczym pianista uderzający w pierwszy klawisz, jednocześnie naciska na dyktafonie przyciski „odtwórz” i „nagrywanie”.

Pan Karczycho prowadzi lekcję bez udziwnień, mkniemy przez wojnę o niepodległość. Zapisuje na tablicy słowa: „Żadnych podatków bez reprezentacji”. Chwytny slogan, szkoda, że w tamtych czasach nie mieli naklejek na błotniki. Koloniści chcieli mieć prawo głosu w brytyjskim parlamencie, a jednak nikogo u władzy nie obchodziły ich skargi. Ta lekcja będzie świetnie brzmiała na nagraniu. Pan Karczycho dokładnie się przygotował, ma nawet własne notatki. Mówi przyjemnym głosem, jakby prowadził nas po świeżo wyasfaltowanej drodze bez żadnych wybojów.

Nagranie nie wyłapie jednak wściekłego błysku w jego oczach. Ani na moment nie spuszcza ich z Davida. Gdyby nauczyciel przez całą lekcję sztyletował mnie wzrokiem, zmieniłabym się w kałużę roztopionej galaretki. David jednak odwzajemnia laserowe spojrzenie.

Szkolny sekretariat to siedlisko plotek. Ostatnio podsłuchałam co nieco o prawniku Petrakisów, kiedy czekałam na kolejny wykład od szkolnej pedagog o tym, jak to marnuję swój potencjał. Co ona w ogóle wie o moim potencjale? I w ogóle potencjał do czego? Zwykle kiedy papla te swoje morały, ja zajmuję się liczeniem kropek na płytach na suficie.

Pani pedagog się dzisiaj spóźnia, więc siedzę niezauważona na czerwonym plastikowym krześle, a sekretarka wprowadza ochotnika z rady rodziców

w szczególności sprawy Petrakisów. Rodzice Davida zatrudnili hardkorowego i drogiego prawnika. Grozi, że pozwie szkołę i pana Karczychę za wszystko, co się da, zaczynając od niekompetencji, a na łamaniu praw człowieka kończąc. Davidowi pozwolono nagrywać lekcję, by udokumentować „potencjalne przyszłe naruszenia”. Sekretarka nie wygląda na zmartwioną tym, że panu Karczysze grozi zapuszkowanie. Założę się, że ma z nim na pieńku.

Tamtego popołudnia David musiał wspomnieć prawnikowi o walce na spojrzenia, bo następnego dnia z tyłu klasy pojawiła się kamera. David Petrakis to mój idol.

WOMBATY RZĄDZĄ!

Daję się namówić Heather na pójście na zimowy apel. Nie znosi siedzieć sama prawie tak bardzo jak ja. Marthy nie wystosowały królewskiego zaproszenia, by z nimi usiadła, więc jest podminowana, choć stara się tego nie pokazywać. Jak przystało na wzorową Marthę, ma na sobie zielony sweter z twarzą Mikołaja, czerwone legginsy i puchate buty. Zbyt wzorowo. Odmawiam zakładania sezonowych ciuchów.

Z wyprzedzeniem dostaję od Heather prezent gwiazdkowy – kolczyki w kształcie dzwoneczków, które dźwięczą, kiedy obracam głowę. To oznacza, że też muszę jej coś kupić. Może pójdę na całość i kupię jej bransoletkę przyjaźni. Wygląda mi na taką, co by ją nosiła. By zagłuszyć głos PryncyPola, przez całe jego przemówienie potrząsam głową. Szkolna orkiestra przygrywa nieznaną melodię. Heather mówi, że rada szkoły nie pozwoliła im grać kolęd, pieśni chanukowych czy afrykańskich. Zamiast multikulturowości mamy zerokulturowość.

Najważniejszym punktem apelu jest ogłoszenie nowej nazwy dla drużyny

i maskotki. PryncyPolo odczytuje wyniki: Pszczoły – 3 głosy. Góry Lodowe – 17 głosów. Zdobywcy – 1 głos. Wombaty – 32 głosy. Pozostałe 1547 głosów było albo nieczytelnych, albo zawierało dopisane nazwy.

Wombaty Merryweather. Całkiem ładnie to brzmi. Jesteśmy wombatami, wrednymi, wulgarnymi, wiarołomnymi Wombatami! Wrażliwymi, wstydliwymi, wycofanymi Wombatami! W drodze na przystanek mijamy cheerleaderkę Raven i cheerleaderkę Amber. Marszczą brwi, męcząc się nad wymyśleniem słów, które rymują się z wombatem. Demokracja to piękna sprawa.

PRZERWA ŚWIĄTECZNA

Mamy ferie, a do Bożego Narodzenia jeszcze dwa dni. Mama zostawiła mi karteczkę, że mogę ubrać choinkę, jeśli mam ochotę. Wyciągam drzewko z piwnicy i stawiam je na podjeździe, żeby miotłą oczyścić je z kurzu i pajęczyn. Co roku zostawiamy na niej lampki, więc wszystko, co muszę zrobić, to przystroić ją bombkami.

Z jakiegoś powodu do pełni radości w święta zawsze potrzeba jakiegoś dziecka. Małe szkraby sprawiają, że Gwiazdka jest fajna. Ciekawe, czy moglibyśmy jakieś wypożyczyć. Kiedy byłam mała, kupowaliśmy żywą choinkę i siedzieliśmy przy niej do późna, popijając gorącą czekoladę i szukając odpowiednich miejsc na ozdoby. Mam wrażenie, że moi rodzice zapomnieli o magii, kiedy odkryłam, że Święty Mikołaj nie istnieje. Może nie powinnam była im mówić, że wiem, skąd tak naprawdę są prezenty. To ich dobiło.

Założę się, że gdybym się nie urodziła, już dawno by się rozwiedli. Jestem też pewna, że byłam dla nich ogromnym rozczarowaniem. Nie jestem ani ładna, ani mądra, ani wysportowana, raczej taka jak oni – zwykły ludzik

ubrany w sekrety i kłamstwa. Nie mogę uwierzyć, że musimy udawać aż do momentu, kiedy skończę szkołę. Jaka szkoda, że nie możemy po prostu przyznać, że nie wychodzi nam rodzinne życie, sprzedać domu, podzielić się kasą i ruszyć każde w swoją stronę.

Wesołych Świąt.

Dzwonię do Heather, ale wyszła na zakupy. Ciekawe, co by zrobiła, gdyby była na moim miejscu i czuła, że w domu w ogóle nie panuje świąteczna atmosfera? Poudaję, że nią jestem. Zakładam hipsterskie zimowe ciuchy, owijam głowę szalikiem i rzucam się w zaspę. Ogród za domem wygląda wspaniale. Drzewa i krzewy skuł lód, przez co odbijające się w nim promienie słoneczne wyglądają na potężne. Nie mogę się powstrzymać, po prostu muszę zrobić aniołka w śniegu.

Staję na niewydeptanym jeszcze miejscu i opadam na plecy. Szalik zakrywa mi usta, kiedy macham rękami, tworząc skrzydła. Zapach mokrej wełny przypomina mi pierwszą klasę, wejście do szkoły w chłodny poranek z kieszonkowym do wydania w sklepiku, schowanym w rękawiczkach z jednym palcem. Mieszkaliśmy wtedy w innym, mniejszym domu. Mama pracowała na stoisku z biżuterią i po szkole zawsze na mnie czekała. Tata miał miłszego szefa i często wspominał o kupnie łodzi. Ja wierzyłam w Świętego Mikołaja.

Wiatr porusza gałęziami nad moją głową, a serce wali mi w piersi jak dzwon. Szalik zbyt ciasno otacza mi usta. Odsuwam go, by odetchnąć. Wilgoć na skórze zaczyna zamarzać. Kusi mnie, żeby wypowiedzieć życzenie, ale nie wiem, czego mogłabym chcieć. I mam śnieg za kurtką.

Odrywam kilka gałązek ostrokrzewu i sosny, a później zabieram je do domu. Wiążę je ze sobą czerwoną nitką, po czym jeden stroik kładę na półce nad kominkiem, a drugi na stole w jadalni. Nie wyglądają tak ładnie jak te zrobione przez panią w telewizji, ale przynajmniej pokój przyjemniej

pachnie. Wciąż marzy mi się wypożyczenie dziecka na kilka dni. W Boże Narodzenie śpimy do południa. Pod choinkę daję mamie czarny sweter, a tacie płytę z hitami z lat sześćdziesiątych. Od nich dostaję kilka kart podarunkowych, telewizor do pokoju, łyżwy oraz blok rysunkowy z ołówkami węglowymi. Mówią, że zauważyli, że zaczęłam rysować.

Wtedy prawie opowiadam im o wszystkim. W oczach mam łzy. Zauważyli, że próbuję rysować. Zauważyli. Próbuję przełknąć śnieżną kulę, która ugrzęzła mi w gardle. To nie będzie łatwe. Jestem pewna, że domyślają się, że poszłam na tę imprezę, może nawet słyszeli o wezwaniu glin. Tak bardzo chcę im wszystko wyznać, tu i teraz, kiedy siedzimy dookoła plastikowej choinki, z *Rudolfem, Czerwononosym Reniferem* lecącym w tle.

Ocieram oczy, a oni czekają z niepewnymi uśmiechami na twarzach. Kula śnieżna powiększa mi się w gardle. Nie było ich w domu tamtej nocy, kiedy się wymknęłam. Obydwa samochody zniknęły z podjazdu. Miałam nocować u Rachel, więc na pewno się mnie nie spodziewali. Szorowałam się pod prysznicem, aż zabrakło ciepłej wody, a później wpełzłam do łóżka i przez całą noc nie zmrużyłam oka. Mama wróciła koło drugiej, tata zaraz przed wschodem słońca, więc nie byli razem. Co robili? Myślę, że wiem. Jak miałabym porozmawiać z nimi o tamtej nocy? Od czego w ogóle zacząć?

Rudolf rozpoczyna podróż na krze.

– Jestem niezależny – oznajmia.

Tata spogląda na zegarek, a mama wyrzuca do kosza opakowanie po prezencie. Wychodzą z pokoju, a ja zostaję na podłodze, ściskając w dłoniach blok i węgle. Nawet im nie podziękowałam.

HARÓWKA

Po dwóch dniach wolności rodzice doszli do wniosku, że nie będę „przez całe

ferie kręcić się po domu i obijać”. Mam popracować razem z nimi. To niezgodne z prawem, bo jestem za młoda, żeby mogli mnie zatrudnić, ale nieszczęśliwie ich to obchodzi. Spędzam cały weekend w sklepie mamy, użerając się z towarami zwracanymi przez zrzędlivych ludzi. Czy ktokolwiek w Syracuse dostał na Gwiazdkę to, o co prosił? Wygląda na to, że nie. Jestem niepełnoletnia, dlatego mama umieszcza mnie w magazynie w piwnicy. Mam od nowa składać koszule i spinać je jedenastoma szpilkami. Inni pracownicy patrzą na mnie jak na kapusia. Pewnie myślą, że mama wysłała mnie do piwnicy, żebym ich szpiegowała. Składam kilka koszul, po czym całkowicie sobie odpuszczam i wyciągam książkę, a oni wyraźnie się rozluźniają. Jestem do nich podobna – też nie mam ochoty tu siedzieć.

Oczywiście mama wie, że kompletnie się obijałam, ale w samochodzie tego nie komentuje. Wracamy do domu dopiero po zmroku, bo miała aż tyle rzeczy do załatwienia. Wyprzedaże były do kitu, nie udało się ani odrobinę zbliżyć do wyrobienia normy, jaką sobie założyła. Na horyzoncie majaczy fala zwolnień. Zatrzymujemy się na skrzyżowaniu. Mama zamyka oczy. Jej skóra przybrała szarawy odcień, podobny do tego, jaki ma bielizna, którą prano zbyt wiele razy i która zaraz się podrze. Mam wyrzuty sumienia, że nie poskładałam więcej koszul.

Następnego dnia pracuję z tatą. Zajmuje się sprzedażą jakichś ubezpieczeń, ale nie wiem jak ani po co. Rozkłada dla mnie stół w swoim gabinecie. Moim zadaniem jest powkładanie kalendarzyków do kopert, zaklejenie ich i dodanie naklejek z adresami. On siedzi za biurkiem i gada z kolegami przez telefon.

Może trzymać nogi na blacie. Może śmieszkować z kolegami przez telefon. Może sobie wyjść na lunch. Myślę, że on zasługuje na to, by siedzieć w piwnicy, składać koszule i pomagać mamie. A ja zasługuję na to, żeby oglądać telewizję, zdrzemnąć się albo nawet wyjść do Heather. Do czasu

lunchu w moim brzuchu aż gotuje się ze złości. Sekretarka taty zagaduje mnie miło, kiedy podrzuca mi jedzenie, ale nawet nie odpowiadam. Sztyletuję spojrzeniem tył głowy taty. Jestem wściekła, wściekła, wściekła. Czeka mnie kolejny milion kopert do zaklejenia. Przesuwam językiem po obrzydliwym kleju na wewnętrznej stronie jednej z nich czuję ostrą krawędź, a chwilę później krew. W mojej głowie natychmiast pojawia się twarz TEGO. Cała wściekłość ulatuje ze mnie jak powietrze z przebitego balonu. Tata kipi ze złości, kiedy widzi, ile kalendarzyków poplamiałam krwią. Wspomina coś o tym, że potrzeba mu profesjonalnej pomocy.

Chyba nigdy wcześniej aż tak się nie cieszyłam na powrót do szkoły.

FAUL

Teraz, kiedy ziemię pokrywa ponadpółmetrowa warstwa śniegu, nabuzowani wuefiści pozwalają nam zostać w sali gimnastycznej. Temperatura nie jest tam wyższa niż 4 stopnie Celsjusza, bo w końcu „nie zaszkodzi nam trochę chłodnego powietrza”. Łatwo im mówić, oni przynajmniej chodzą w dresach.

Pierwszą dyscypliną jest koszykówka. Pani Connors uczy nas rzutów wolnych. Podchodzę do linii, kozłuję piłką dwa razy i posyłam ją do kosza. Wuefistka każe mi to powtórzyć, a potem jeszcze raz. Ciągłe podrzuca mi piłki, a ja trafiam za każdym razem. Po czterdziestu dwóch rzutach ramiona drżą mi już tak bardzo, że w końcu pudłuję. Reszta klasy zdążyła już zebrać się dookoła i nic, tylko się przygląda. Nicole zaraz wybuchnie.

– Musisz dołączyć do drużyny! – krzyczy.

Pani Connors:

– Podejdź do mnie w czasie okienka. Z takimi rzutami wróżę ci świetlaną przyszłość.

Ja:

– ...

Trzy godziny później spotykam się zasmuconą i zawiedzioną panią Connors. Trzyma w dwóch palcach listę z moimi ocenami. Jedyna szóstka, na dodatek z plastyki, nie podciągnie mi średniej, która póki co jest zbyt niska, bym mogła dołączyć do drużyny. Ale wuefistka nie zdobyła kiedyś stypendium sportowego za przejmowanie się byle czym. Mierzy mi czas podczas biegu, a później znowu każe się ustawić na linii i rzucać do kosza.

Pani Connors:

– Spróbuj z trzytaktu myślałaś o korepetycjach niezły rzut to wszystko przez te trójce spróbuj z dwutaktu musisz się poprawić może uda mi się zrobić coś z twoją oceną z WOS-u ale angielski to masz z niemożliwą kobietą ona nienawidzi sportu umiesz rzucać hakiem?

Robię, co mi każe. Gdybym miała ochotę się odezwać, wyjaśniłabym jej, że za żadne skarby nie dołączę do drużyny koszykarskiej. Tyle biegania? Potu? Obrywania i ciskania o ziemię przez genetycznych mutantów? Spasuję. Może gdyby w koszykówce było miejsce dla osoby od rzutów wolnych, rozważyłabym taką opcję. Kiedy inna drużyna cię fauluje, tak przynajmniej możesz się odegrać. Bum. Niestety, ani w koszykówce, ani w życiu tak to nie działa.

Pani Connors wygląda na podekscytowaną. Tak pewnie czuje się człowiek, który jest w czymś rewelacyjny, nawet jeśli chodzi tylko o trafienie czterech rzutów wolnych jeden za drugim. Pozwalam jej marzyć jeszcze przez kilka minut. Drużyna chłopaków biega z piłką po boisku. Ich rekord to zero do pięciu. Dalej, Wombaty!

Dryblas, znany też jako Brendan Keller, czyli chłopak, który przyczynił się do mojego ziemniaczanego upokorzenia na stołówce, staje pod koszem. Inni zawodnicy kozłują piłkę w jego stronę. Brendan sięga w górę swoją chudą macką ośmiornicy i zwyczajnie przerzuca piłkę przez obręcz. Nasi chłopcy są

nie do pokonania, o ile są jedynym zespołem na boisku.

Trener chłopaków wrzeszczy coś, czego nie rozumiem, i cała drużyna ustawia się za Dryblasem, by poćwiczyć rzuty. Ten odbija piłkę raz, drugi, trzeci. Rzuca. Pudłuje. Odbija raz, drugi, trzeci. Nie trafia. Pudło. Pudło. Pudło. Nie potrafiłby trafić z linii, nawet gdyby od tego zależało jego życie.

Pani Connors rozmawia z trenerem chłopaków, podczas gdy ja obserwuję, jak reszcie drużyny udaje się trafić jakąś jedną trzecią rzutów. Nagle wuefistka dmucha w gwizdek i przywołuje mnie do siebie. Chłopaki schodzą mi z drogi i zajmują miejsce na linii.

– Pokaż im, jak to się robi – nakazuje pani Connors.

A ja, jak na wytresowaną fokę przystało, odbijam, odbijam, rzucam, trafiam i tak w kółko, aż chłopaki przestają się kręcić i tylko obserwują. Pani Connors i trener drużyny poważnie dyskutują, przybierają marsowe miny, rozmawiają, opierają ręce na biodrach, wypinają bicepsy. Chłopaki z drużyny nie spuszczają wzroku ze mnie, gościa z *planety rzutów wolnych*, i zastanawiają się: co to za dziewczyna?

Pani Connors uderza trenera w ramię. Trener uderza panią Connors w ramię. Proponują mi układ – jeśli zgłoszę się na ochotnika i pomogę nauczyć Dryblasa, jak rzucać do kosza z linii, dostanę wieczną szóstkę z wuefu. Wzruszam ramionami, a oni szczerzą zęby w uśmiechu. Nie potrafiłam odmówić, bo nie mogłam w ogóle się odezwać. Po prostu nie przyjdę.

WYCHODZĄC POZA LINIE

Nasza sala do plastyki rozkwita niczym galeria pełna dzieł O’Keeffe, van Gogha i tego gościa z Francji, który malował kwiatki za pomocą małych kropek. Pan Freeman jest teraz najbardziej lubianym nauczycielem w szkole.

Doszły mnie słuchy, że w szkolnym roczniku wystąpi jako nauczyciel roku.

Jego pracownia to Centrala Luzu. Ciągłe gra w niej radio, a my możemy podjadać, o ile nie robimy sobie przerw w pracy. Wykopał kilku leniuchów, którym wolność pomyliła się z brakiem reguł, więc reszta z nas woli się nie wychylać. Zbyt dobrze się bawimy, by z tego rezygnować. Podczas przerwy na indywidualną naukę pomieszczenie kipi życiem, jest pełne malarzy, rzeźbiarzy i szkicujących, a niektórzy zostają tu nawet do ostatniego autobusu.

Obraz pana Freemana staje się coraz lepszy. Jakiś dziennikarz usłyszał o nim i opisał w artykule. Nazwał w nim nauczyciela utalentowanym geniuszem, który poświęcił całe życie edukacji, a do tekstu dołączył kolorowe zdjęcie niedokończonego dzieła. Ktoś twierdzi, że kilku członków rady szkoły rozpoznało na nim siebie samych. Założę się, że go pozwą.

Chciałabym, żeby pan Freeman dodał drzewo do swojego dzieła. Nadal nie wiem jak sprawić, by moje wyglądało realistycznie. Zniszczyłam już sześć płyt do linorytu. Mam w głowie obraz solidnego, starego dębu o szerokim, odrapanym pniu z tysiącem gałęzi, sięgających ku słońcu. Przed moim domem rośnie właśnie takie drzewo. Czuję podmuchy wiatru i słyszę, jak w drodze powrotnej do gniazda śpiewa samica drozda. Ale kiedy próbuję wyryć drzewo w linoleum, wygląda, jakby uschło, przypomina wykałaczkę albo robotę dziecka z podstawówki. Nie potrafię tchnąć w nie życia. O niczym innym nie marzę, jak tylko dać sobie z tym spokój. Zrezygnować. Ale nie przychodzi mi do głowy nic innego, co mogłabym zrobić, więc wciąż drążę temat.

PryncyPolo wpadł wczoraj do klasy, wyczuwając radość. Wąs drgał mu nieprzerwanie, kiedy wzrokiem szukał naruszenia zasad. Kiedy przekroczył próg, niewidzialna dłoń wyłączyła radio, a paczka chipsów magicznie wyparowała, pozostawiając po sobie delikatny zapach soli zmieszany z farbą

olejną i mokrą gliną.

Dyrektor przeczesywał spojrzeniem pomieszczenie, szukając najdrobniejszego przejawu szczęścia, ale zobaczył tylko pochylone głowy, zaostrome ołówki i mokre pędzle. Pan Freeman poprawił ciemne odrosty na głowie kobiety z rady szkoły i spytał PryncyPola, czy potrzebuje pomocy. Ten jednak wyszedł z sali, kierując się ku Przegrywom, palącym papierosy w swojej kryjówce.

Może gdy dorosnę, zostanę artystką?

PLAKATOWE DZIEWCZĘ

Heather wrzuciła mi liścik do szafki, w którym błaga mnie o przyjście do niej po lekcjach. Ma problem – nie spełnia standardów wyznaczanych przez Marthy. Wypłakuje mi się w swoim pokoju, a ja słucham, jednocześnie skubiąc sweter.

Marthy prowadziły spotkanie fanek robótek ręcznych, na którym szyły walentynkowe poduszki dla dzieci ze szpitala. Meg & Emily zszywały poduchy z trzech stron, a reszta dziewczyn wypychała je i zszywała do końca. Później doklejały serduszka oraz misie. Heather była odpowiedzialna za serduszka. Zdenerwowała się, bo którejś z Marth nie spodobał się jej strój. Dostało się jej za krzywe przyklejanie, a na koniec za to, że spadła jej zatyczka od kleju i zniszczyła całą poduszkę.

Gdy dociera do tej części historii, rzuca lalką przez cały pokój. Na wszelki wypadek zabieram jej sprzed nosa lakier do paznokci.

Meg zdegradowała Heather do wypychania, a kiedy linia masowej produkcji poduszek znów ruszyła, rozpoczęło się właściwe spotkanie grupy. Jego temat: zbiórka puszek z jedzeniem. Wyższe rangą Marthy mają za zadanie dostarczyć jedzenie potrzebującym (oczywiście w towarzystwie

fotografa z lokalnej gazety) i spotkać się z dyrektorem, by ustalić wszystko, co wymaga ustalenia. Wyłączam się. Heather opowiada o tym, kto kontaktuje się z przewodniczącymi klas, kto zajmuje się reklamą, a ja i tak nic z tego nie zapamiętuję. Nie wracam na ziemię, dopóki Heather nie rzuca:

– Wiedziałam, że chętnie mi pomożesz, Mel.

Ja:

– Co?

Heather:

– Wiedziałam, że chętnie mi pomożesz. Myślę, że Emily zrobiła to celowo, bo mnie nie lubi. Chciałam poprosić cię o pomoc, a później powiedzieć, że wszystko zrobiłam sama, ale to by było kłamstwo, a poza tym do końca roku zasypywałyby mnie plakatową robotą. Dlatego powiedziałam, że mam znajomą, która potrafi malować, jest zaangażowana społecznie i mogłaby nam pomóc z plakatami.

Ja:

– I kto to?

Heather [ze śmiechem, ale na wszelki wypadek nie odkładałam lakieru do paznokci na miejsce]:

– No ty, głuptasie. Rysujesz lepiej ode mnie i masz mnóstwo wolnego czasu. Proszę, zgódź się! Może jeśli zobaczą, jaki masz talent, zaproponują ci przyjęcie do grupy. Proszę, proszę, ślicznie, cudnie proszę! Jeśli mi się nie uda, na pewno trafię na czarną listę i wtedy już nigdy nie dołączę do żadnego porządnego klanu.

No i jak miałabym jej odmówić?

ZDECHŁE ŻABY

Na lekcji biologii płynnie przeszliśmy od owoców do żab. Mieliśmy się nimi

zająć dopiero w kwietniu, ale żabia firma dostarczyła nam ofiary już czternastego stycznia. A że dziwnym trafem zakonserwowane żaby co jakiś czas znikają z magazynku, pani Keen już dziś uzbroiła nas w noże i poprosiła, żebyśmy nie wymiotowali.

David Petrakis, mój partner z ławki, jest zachwycony – w końcu mamy do czynienia z anatomią. Tyle rzeczy trzeba zapamiętać. Kość podskoczna połączona z kością skoczną, kość rechetna połączona z kością muchołapną. On na poważnie mówi o założeniu na twarz lekarskiej maski podczas „operacji”. Uważa, że to będzie świetne doświadczenie.

Sala nie pachnie jabłkami. Pachnie raczej jak żabie wnętrzności, coś pomiędzy domem spokojnej starości a sałatką ziemniaczaną. Ostatnie ławki się skupiają. Krojenie martwych żab jest przecież takie super.

Nasza żaba leży na grzbiecie. Może czeka na księcia, który cmoknięciem zmieni ją z powrotem w księżniczkę? Staję nad nią z nożem w dłoni. Głos pani Keen stopniowo zaczyna przypominać bzyczenie komara. Czuję ucisk w gardle, coraz gorzej mi się oddycha. Podpieram się ręką o stół. David przyspila żabie kończyny do tacki. Rozdziela jej żabie udka i przypina żabie stópki. Mam rozciąć jej brzuszek, a ona nie wydaje z siebie ani dźwięku. Już jest martwa. Gdzieś w moim wnętrzu rozlega się krzyk – czuję cięcie, brud, liście we włosach.

Nie pamiętam chwili, w której zemdlalam. David mówi, że kiedy poleciałam, wyrznęłam głową o kant stołka. Higienistka dzwoni do mamy, bo trzeba założyć szwy. Lekarka błyska mi po oczach jasnym światłem. Potrafi odczytać ukryte myśli? A jeśli tak, to co by zrobiła? Wezwała gliny? Wysłała mnie do domu wariatów? Czy chciałabym, żeby tak się stało? Jedyne, czego pragnę, to zasnąć. Cały zamysł milczenia czy zagłuszenia pamięci jest taki, żeby o wszystkim zapomnieć, ale tak się nie dzieje. Musiałabym poddać się operacji mózgu, wycięcia tych wspomnień. Może

powinnam poczekać, aż David Petrakis zostanie lekarzem, i wtedy pozwolić mu to zrobić.

MODEL(K)OWA OBYWATELKA

Heather dostała pracę jako modelka dla jednego ze sklepów w centrum handlowym. Mówi, że tydzień po ściągnięciu aparatu kupowała z mamą skarpetki i jakaś kobieta spytała, czy kiedykolwiek pozowała do zdjęć. Podejrzewam, że miał z tym coś wspólnego fakt, że jej tata pracuje dla firmy, która zarządza galerią.

Dzięki fusze z pozowaniem zbiera ekstra punkty u Marth. Każda z nich nagle pragnie zostać nową najlepszą psiapsiółą Heather, ale ona na sesję zdjęciową strojów kąpielowych zaprasza właśnie mnie. Pewnie boi się, że nawali na ich oczach. Na miejsce zawozi nas jej mama. Pyta, czy chciałabym być modelką, ale Heather odpowiada, że jestem na to zbyt nieśmiała. Spoglądam kobiecie w oczy we wstecznym lusterku i zakrywam usta palcami. Strupy na wargach wyglądają wyjątkowo paskudnie w tym małym odbiciu.

Oczywiście, że chciałabym zostać modelką. Chciałabym malować oczy na złoto – widziałam kiedyś coś takiego na okładce gazety i bardzo mi się podobało. Modelka wyglądała przez to jak seksowna kosmitka, na którą wszyscy patrzyli, ale nie śmieli dotknąć.

Chociaż za bardzo lubię cheeseburgery, żeby zostać modelką. Heather przestała jeść i narzeka na zatrzymanie wody w organizmie. Powinna się raczej martwić o zatrzymanie mózgu, bo w ten sposób odchudza swoje szare komórki. Ostatnio, kiedy sprawdzałam, nosiła ubrania w rozmiarze S/M, ale teraz po prostu *musi* zejść do S.

Sesja zdjęciowa odbywa się w budynku, gdzie jest tak zimno, że idealnie

nadawałby się do przechowywania lodu. Heather wygląda jak nasz indyk ze Święta Dziękczynienia, wciśnięty w niebieskie bikini. Gęsia skórka na jej ciele jest większa niż cycki. Nie mogę przestać się trząść, a mam na sobie grubą kurtkę i wełniany sweter. Fotograf podkręca radio i zaczyna rozstawiać dziewczyny po kątach. Heather daje z siebie wszystko – odrzuca głowę do tyłu, wpatruje się w aparat, błyska zębami. Fotograf powtarza w kółko to samo: „sexy, sexy, przesłodko. Spójrz tutaj. Sexy, pomyśl o plaży, pomyśl o chłopakach”. To mnie przeraża. Heather kicha w trakcie pozowania grupowego, a jej mama od razu podbiega z chusteczkami. Coś musi wisieć w powietrzu, bo i mnie gardło boli niemiłosiernie. Potrzebuję się zdrzemnąć.

Nie kupuję złotego cienia do powiek, ale pozwalam sobie na buteleczkę lakieru do paznokci w odcieniu Czarnej Śmierci. Błyszczą i jest w faliste czerwone linie. Obgryzłam paznokcie prawie do krwi, więc będzie to wyglądało naturalnie. Potrzebuję jeszcze pasującej koszuli. Może coś w kolorze gruźliczej szarości.

ŚMIERĆ PRZEZ ALGEBRĘ

Pan Stetman się nie poddaje – ma zamiar udowodnić nam raz a dobrze, że algebry będziemy używać do końca życia. Jeśli mu się uda, powinien dostać nagrodę Nauczyciela Stulecia oraz dwutygodniowy, w pełni opłacony urlop na Hawajach.

Codziennie wchodzi do klasy z nowym przykładem zastosowania algebry w życiu codziennym. To przeurocze, jak bardzo troszczy się o swój przedmiot i swoich uczniów, jak bardzo chce nas połączyć. Jest jak dziadek, pragnący zeswatać dwójkę dzieciaków, które według niego do siebie pasują. Problem polega na tym, że ta parka nie ma ze sobą nic wspólnego i pała do siebie nienawiścią.

Dzisiejsze zastosowanie ma coś wspólnego z kupowaniem gupików w sklepie zoologicznym i obliczeniem, ile gupików trzeba by wyhodować, jeśli chce się rozpocząć gupikowy interes. Kiedy rybki zmieniają się w iksy i igreki, szkła kontaktowe zachodzą mi mgłą. Lekcja kończy się dyskusją pomiędzy aktywistami walczącymi o prawa zwierząt, którzy uważają, że „posiadanie” ryb jest niemoralne, a dziarskimi kapitalistami, którzy znają o wiele lepsze sposoby na wzbogacenie się niż inwestowania w rybę, która pożera własne młode. Obserwuję śnieg padający za oknem.

ZABAWA SŁOWAMI

Kudłata torturuje nas wypracowaniami. Czy nauczyciele angielskiego wymyślają sobie tematy na wakacjach?

Pierwsze wypracowanie w tym semestrze okazało się niewypałem. Mieliśmy w pięciuset słowach odpowiedzieć na pytanie: „Dlaczego Ameryka jest wspaniałym krajem?”. Tylko Tiffany Wilson oddała pracę w terminie. Choć zadanie nie było kompletną klapą: Kudłatej, która prowadzi kółko teatralne, udało się zwerbować kilku nowych członków. Wybrała ich na podstawie wymówek, jakie wymyślali, by przedłużyła im termin oddania zadania.

Nauczycielka ma spaczone poczucie humoru, a jej kosmetyczka chyba cierpi na demencję. Kolejne wypracowanie dotyczyło fikcji. „Najlepsza wymówka na brak zadania”, pięćset słów. Dostaliśmy na to jedną noc. Wszyscy oddali pracę na czas.

Teraz Kudłata się nakręciła. „Co zmieniłbym/zmieniłabym w liceum”, „Zezwolenie na prawo jazdy w wieku 14 lat, za czy przeciw”, „Wymarzona praca”. Wymyśla ciekawe tematy, ale ciągle nas nimi zarzuca, jeden po drugim. Najpierw udało się jej nas złamać przez nawał pracy, na którą nie

możliśmy narzekać, bo tematy wypracowań dotyczą tego, o czym rozmawiamy na co dzień. Ostatnio zaczęła mimochodem wprowadzać na zajęciach gramatykę (litości!) Na jednej lekcji pracowaliśmy nad czasami: „Przeoglądam stronę internetową, przeglądałam stronę internetową, przejrzę stronę internetową”. A później wymyśliła ożywianie zdań przymiotnikami. No, bo co lepiej brzmi: „Nicole uderzyła mnie w czoło starym kijem do lacrosse’a” czy jednak „Nicole uderzyła mnie w czoło powyginanym, splamionym krwią kijem do lacrosse’a w kolorze rzygów”? Kudłata starała się nawet wbić nam do głowy różnicę między stroną czynną: „pożarłam Oreo” a bierną: „Oreo zostało pożarte”.

Słowa to ciężki kawałek chleba. Mam nadzieję, że wyślą Kudłatą na jakąś konferencję albo coś w tym stylu. Jestem nawet skłonna zapłacić za zastępstwo.

POTWÓR

Poświęcam dwa tygodnie na pracę nad plakatami dla Heather. Chciałam zająć się nimi w sali do plastyki, ale zbyt wiele osób mnie tam obserwuje. W kryjówce jest o wiele spokojniej, a markery przyjemnie pachną. Mogłabym zostać tam na zawsze. „PRZYNIĘŚ PUSZKĘ, OCAL ŻYCIE” – bezpośrednio i dobitnie, bo według Heather tylko tak możemy osiągnąć swój cel. Rysuję na plakatach koszykarzy, którzy rzucają puszkami do obręczy. Wszyscy są w świetnej formie.

Heather znów pracuje jako modelka, teraz reklamuje chyba stroje tenisowe. Poprosiła, żebym porozwieszała za nią plakaty i w sumie nie mam nic przeciwko. To nawet dobrze, że inne dzieciaki widzą, że robię coś dobrego – moja reputacja może tylko na tym zyskać. Jestem w trakcie przyczepiania obrazka przy warsztacie zajęć technicznych, kiedy podpełza

TO. Szepcze mi do ucha:

– Świeże mięsko.

TO znów mnie znalazło. Myślałam, że uda mi się TO ignorować. W końcu w szkole jest aż czterystu innych pierwszoklasistów, w tym dwieście dziewczyn. Do tego dochodzą inne roczniki, ale nie. On szepcze do mnie.

Wyczuwam go mimo zgiełku w warsztacie i upuszczam plakat i taśmę na podłogę i zbiera mi się na wymioty i czuję go i uciekam i on pamięta i on wie. Szepcze mi do ucha.

Okłamuję Heather, że odłożyłam taśmę z powrotem do pudełka z przyborami.

TYRADA – PODEJŚCIE NUMER TRZY

Pani pedagog dzwoni do sklepu mamy i informuje ją o moich ocenach. Muszę pamiętać, żeby wysłać jej liścik z podziękowaniami. Kiedy siadamy do obiadu, przy stole toczy się już zacięta bitwa. Oceny, bla, bla, bla, zachowanie, bla, bla, bla, pomogłabyś w domu, bla, bla, bla, nie jesteś już dzieckiem, bla, bla, bla.

W milczeniu przyglądam się wybuchom. Ojcowa Góra, wcześniej uśpiona, teraz niebezpiecznie grozi erupcją. Wzgórze Świętej Matki toczy lawę i pluje ogniem. Niech ktoś ostrzeże mieszkańców wioski, by pryskali w kierunku morza. Gdzieś z tyłu głowy odmieniam hiszpańskie czasowniki nieregularne.

Za oknem szaleje zamieć śnieżna. Pani pogodynka twierdzi, że to efekt jeziora – wiatr znad Kanady wessał trochę wody z jeziora Ontario, przepuścił ją przez zamrażarkę i wysypał nad Syracuse. Marzę, żeby śnieg pochłonął cały nasz dom.

Ciągle pytają, co ze mną nie tak albo czy myślę, że moje zachowanie jest słodkie. I jak ja niby mam im odpowiedzieć? Nie muszę. Nie obchodzi ich

nic, co mam do powiedzenia. Dostaję szlaban do końca świata i jeden dzień dłużej. Mam wracać do domu zaraz po szkole, no chyba, że mamie uda się załatwić mi dodatkową lekcję z którymś z nauczycieli. Nie mogę odwiedzać Heather, a nawet rozmawiać przez telefon, bo zamierzają go odłączyć (choć nie sądzę, żeby to zrobili).

Odrabiam lekcje, żeby później im je pokazać, jak na grzeczną dziewczynkę przystało. Gdy odsyłają mnie do łóżka, piszę list pożegnalny przed ucieczką z domu i zostawiam go na biurku. Mama znajduje mnie śpiącą w szafie. Podaje mi poduszkę i zamyka drzwi bez zbędnego biadolenia.

Rozkładam spinacz do papieru i przejeżdżam ostrą końcówką po wnętrzu lewego nadgarstka. Żalosne. Jeśli próba samobójcza to wołanie o pomoc, czym w takim razie jest to? Jękiem? Piskiem? Rysuję krwią małe kreski, ryjąc linię po linii, aż przestają boleć. Wyglądam, jakbym przegrała walkę z jakimś krzakiem.

Mama przy śniadaniu dostrzega mój nadgarstek.

Mama:

– Nie mam na to czasu, Melindo.

Ja:

– ...

Mówi, że tylko tchórze myślą o samobójstwie. Oto najpaskudniejsza strona mamy. Nawet kupiła o tym książkę. Surowa miłość. Gorzki cukier. Szorstki aksamit. Milcząca rozmowa. Zostawia poradnik w toalecie, żebym czegoś się z niego nauczyła. Zauważyła, że od jakiegoś czasu niewiele się odzywam. Nie daje jej to spokoju.

ZAPUSZKOWANA

Na obiedzie z Heather panuje lodowata atmosfera. Od ferii świątecznych

zajmuje przy stoliku Marth miejsce na odległym końcu, a ja obok niej. Już na wejściu widzę, że coś jest nie tak. Wszystkie Marthy są podobnie ubrane, mają granatowe sztruksowe spódniczki, bluzki w paski i przezroczyste plastikowe torebki – musiały wyjść razem na zakupy. Heather do nich nie pasuje. Nie zaprosiły jej.

Jest zbyt wyluzowana, żeby się tym przejmować. Ja robię to za nią. Biorę do ust duży kęs kanapki z masłem orzechowym i dżemem i z całych sił staram się nie zakrztusić. Marthy czekają, aż Heather będzie miała buzię pełną serka wiejskiego, a wtedy Siobhan kładzie na stole buraki w puszcze.

Siobhan:

– Co to jest?

Heather [przełykając]:

– To puszka z burakami.

Siobhan:

– Co ty nie powiesz. Znalazłyśmy tego cały worek w schowku z rzeczami. To ty musiałaś je przynieść.

Heather:

– Dostałam je od sąsiada. To buraki. Coś, co ludzie jedzą. Co w tym złego?

Wszystkie pozostałe Marthy wzdychają jednocześnie. Najwyraźniej buraki nie są wystarczająco dobre. Prawdziwa Martha przyniosłaby tylko coś, co sama chciałyby zjeść, na przykład sos żurawinowy, tuńczyka nieszkodliwego dla delfinów albo zielony groszek. Widzę, jak Heather pod stołem wbija paznokcie w dłonie. Masło orzechowe zastyga mi na podniebieniu jak część aparatu na zęby.

Siobhan:

– Ale to nie wszystko. Twój wynik jest beznadziejny.

Heather:

– Jaki wynik?

Siobhan:

– Przyniesionych puszek. Nie przykładasz się.

Heather:

– Zbiórka trwa dopiero od tygodnia, wiem, że uda mi się zebrać więcej.

Emily:

– Nie chodzi tylko o to. Plakaty też wyszły beznadziejne, mój młodszy brat zrobiłby je lepiej. Nic dziwnego, że nikt nam nie chce pomóc, skoro zmieniłaś cały nasz projekt w żart.

Emily przesuwa tackę w kierunku Heather. Ta bez słowa wstaje i idzie ją wyrzucić. Zdrajczyni, nawet nie broni moich plakatów. Masło orzechowe twardnieje mi w ustach.

Siobhan szturcha Emily i spogląda na wejście do stołówki.

Siobhan:

– Zobacz, to on, Andy Evans. Właśnie wszedł i wydaje mi się, że cię szuka, Em.

Odwracam się. Rozmawiają o TYM. Nazywa się Andy. Andy Evans. Krótko, ostro i na temat. Andy Evans, z papierową torbą z Taco Bell. Proponuje burrito nauczycielowi dyżurującemu na stołówce. Emily i Siobhan zaczynają chichotać. Heather wraca z uśmiechem na ustach i pyta, czy z Andy'ego rzeczywiście jest taki łobuz, za jakiego wszyscy go mają. Emily czerwieni się jak buraki w puszcze.

Siobhan:

– To tylko plotka.

Emily:

– Jest wspaniały: prawda. Jest bogaty: prawda. Oprócz tego odrobinę niebezpieczny i dzwonił do mnie wczoraj: prawda.

Siobhan:

– Sypia ze wszystkim, co ma ręce i nogi: plotka.

Masło orzechowe skleja mi usta.

Emily:

– Nie wierzę w to. Plotki rozsiewają tylko zazdrośnice. Hej, Andy. Przyniosłeś lunch dla wszystkich?

Mam wrażenie, że Książę Ciemności okrył swoją szatą cały nasz stół. Światła przygasają. Wzdrygam się. Andy staje za moimi plecami, żeby poflirtować z Emily. Pochyliłam się nad stołem, by odsunąć się od niego jak najdalej. Krawędź stołu wbija mi się w brzuch. Emily porusza ustami, a od jej zębów odbija się fluorescencyjne światło. Reszta dziewczyn przybliżyła się do niej, by skąpać się w blasku jej atrakcyjności. Andy też coś mówi, bo czuję na kręgosłupie głębokie wibracje, przypominające drżenie membrany głośnika. Nie dociera już do mnie ani jedno słowo.

Jego palce zaczynają bawić się moim kucykiem. Emily mruży oczy. Mamrocę pod nosem coś bez sensu i uciekam do łazienki. Wyrzucam z siebie cały lunch, po czym obmywam twarz lodowatą wodą, wypływającą z czerwonego kranu. Heather nawet mnie nie szuka.

MROCZNA STRONA SZTUKI

Niebo przypominające cementową płytę wisi tuż nad naszymi głowami. Którędy na wschód? Już nawet nie pamiętam, jak wygląda słońce, tak dawno go nie widziałam. Swetry wypełzły z dolnych szuflad, a ludzie o twarzach skrytych w golfach znów wciskają się w zimowe ubrania. Niektórych uczniów nie zobaczymy aż do wiosny.

Pan Freeman ma kłopoty. Ogromne. Olał papierkową robotę po tym, jak szkoła zignorowała jego budżet na materiały. Zamierzają go ukarać. Nauczyciele niedawno wystawiali oceny po drugim okresie, i nauczyciel

plastyki wpisał 210 szóstek. Coś tu komuś śmierdziało. Pewnie najbardziej pani z sekretariatu.

Ciekawe, czy zostanie wezwany na dywanik do PryncyPola i wpisany na czarną listę Merryweather. Pan Freeman przestał pracować nad obrazem, tym długo oczekiwanym, bo zapowiadał się na niesamowite, wstrząsające ziemią dzieło, które ktoś kiedyś wystawi na aukcji za milion dolarów. W sali do plastyki powiewa chłodem, a twarz nauczyciela przybrała szaro-fioletowy odcień. Gdyby nie był taki osowiały, zapytałabym go, jak nazywa się ten kolor. Siedzi bez słowa na swoim stołku i wygląda jak niebieski załamany świerszcz.

Nikt się do niego nie odzywa, dmuchamy tylko w ręce, by choć trochę je ogrzać, i rzeźbimy, rysujemy, malujemy, szkicujemy albo, jak to bywa w moim przypadku, ryjemy. Wzięłam nowy kawałek linoleum. Ostatnie drzewo, które wycięłam, wyglądało, jakby uschło przez jakąś infekcję grzybiczą, a wcale nie o to mi chodziło. Przez chłód linoleum wydaje się jeszcze twardsze niż zwykle. Zanurzam dłuto w płytce i dociskam, próbując podążać za linią pnia.

Zamiast tego idę za linią kciuka i robię sobie krzywdę. Klnę pod nosem i wciskam palec do ust. Wszyscy się na mnie gapią, więc szybko go wyciągam. Pan Freeman podbiega prędko z pudełkiem chusteczek. Rana nie jest głęboka, więc kiedy pyta, czy chcę iść do pielęgniarki, szybko kręcę głową. Zabiera mi dłuto, myje je pod kranem i polewa wybielaczem. To pewnie jakaś procedura zapobiegania AIDS. Kiedy narzędzie jest już wolne od bakterii i suche, przynosi mi je z powrotem do stolika, ale zatrzymuje się przed swoim obrazem. Nie dokończył go – prawy dolny róg wciąż jest pusty. Ciężko oderwać wzrok od twarzy więźniów – jest w nich coś niebezpiecznego. Nie chciałabym mieć kiedyś podobnego obrazu nad kanapą, wygląda, jakby postacie mogły w nocy ożyć.

Pan Freeman cofa się o krok, jakby dostrzegł coś nowego na swoim obrazie. I nagle tnie obraz moim dłutem, niszcząc go jednym długim cięciem, na dźwięk którego cała klasa głośno wzdycha

MOJE OCENY

Zachowanie: 3

WOS: 3

Język hiszpański: -4

Plastyka: 6

Zachowanie na przerwie obiadowej: 4

Biologia: 5

Algebra: -4

Strój: -4

Język angielski: -4

Wychowanie fizyczne: -4

TRZECI OKRES

ŚMIERĆ WOMBATA

Wombat wyzionął ducha. Żadnego zgromadzenia, żadnego głosowania. PryncyPolo oznajmił nam to dzisiaj rano. Stwierdził, że ducha liceum Merryweather lepiej oddadzą szerszenie niż jakieś zagraniczne torbacze, a poza tym maskotka wombata pochłonęłaby dużą część budżetu na organizację balu. I tak oto zostaliśmy Szerszeniami, koniec kropka.

Ostatnim klasom jak najbardziej to odpowiada. Nie mogliby zadzierać nosa, jeśli trzeba byłoby przenieść bal z ogromnego lokalu w hotelu Holiday Inn do sali gimnastycznej. Byłoby jak w podstawówce.

Cheerleaderki starają się wymyślić jakieś idiotyczne przyśpiewki, które zakończą się mnóstwem bzyczenia. Co za porażka. Już sobie wyobrażam przeciwne drużyny, które robią ogromne klepki i puszki ze środkiem owadobójczym z papieru, żeby ośmieszyć nas w trakcie przerw.

Jestem uczulona na jad szerszeni. Wystarczy jedno ukłucie i moją skórę pokrywa milion bąbli, a gardło zaciska się jak w imadle.

CHŁODNE POWIEWY I AUTOBUSY

Spóźniam się na autobus, bo nie mogłam uwierzyć, że budzik zadzwonił, kiedy jeszcze było tak ciemno. Chyba potrzebuję zegarka, który budziłby mnie trzystuwatową żarówką. Albo żywego koguta.

Kiedy orientuję się, że jest już bardzo późno, postanawiam się nie spieszyć. Bo i po co? Gdy mama schodzi na dół, ja zajadam się owsianką i czytam dowcipy w gazecie.

Mama:

– Znów spóźniłaś się na autobus?

Potakuję.

Mama:

– I oczekujesz, że znowu cię podwiozę?

Potakuję jeszcze raz.

Mama:

– Załóż kozaki. W nocy napadało dużo śniegu, a czeka cię długi spacer. Ja jestem już spóźniona do pracy.

Nie takiej odpowiedzi się spodziewałam, ale w sumie nie zrobiło mi się przykro. Spacer nie brzmi źle, a w końcu mama nie kazała mi iść na piętnastokilometrową wyprawę w góry w czasie zamieci. Na ulicach jest cicho i ślicznie. Śnieg zasypał wczorajsze błoto i przykrył dachy, przez co miasto wygląda jak z piernika posypanego cukrem pudrem.

Docieram do Fayette's, miejscowej piekarni, i znów czuję, że jestem głodna. Sprzedają tam przepyszne pączki z dżemem, a ja mam w kieszeni wystarczająco dużo drobniaków. Decyduję się kupić dwa i zjeść je na lunch.

Przechodzę przez parking i nagle widzę TO, wychodzące na zewnątrz. Andy Evans trzyma w jednej dłoni pączka z malinowym nadzieniem, a w drugiej kubek z kawą. Zamieram na zamrożonej kałuży. Może mnie nie zauważy, jeśli nie będę się ruszać. Tak ratują sobie życie króliki – zamierają, kiedy dostrzegają drapieżnika.

Andy kładzie kawę na dachu samochodu i sięga do kieszeni w poszukiwaniu kluczyków. Taki dojrzały, z własną kawą, własnym autem, własnymi kluczykami... szkolny piękniś. Klnie, kiedy upuszcza kluczyki. Nie zauważy mnie. Mnie tu nie ma, nie widzi, jak stoję obok w fioletowej kurtce.

Jak zwykle nie mam szczęścia w obecności tego gościa. Odwraca się i mnie dostrzega. I uśmiecha się wilczo jak wilk, pokazując te swoje och babciu, jakie masz wielkie zęby.

Robi krok w moim kierunku, wyciągając przed siebie pączka.

– Chcesz gryza? – pyta.

Szaraczek wystrzeliwuje do przodu, zostawiając za sobą ślady na śniegu. Zwiewaj, zwiewaj, no już. Czemu nie uciekałam, kiedy byłam jeszcze mówiącą całością?

Bieg sprawia, że znów czuję, jakbym miała jedenaście lat i pędziła jak błyskawica. Sunę chodnikiem, roztopiając śnieg i lód wszędzie wokół. Zatrzymuję się i nagle do głowy wpada mi nowa myśl: po co w ogóle iść do szkoły?

UCIECZKA

Pierwsza godzina wagarów jest świetna. Nikt mi nie mówi, co mam robić, co czytać, co mówić. Normalnie jak w teledysku na MTV, ale nie takim, gdzie musiałabym nosić głupi kostium, tylko takim, w którym spięłabym pośladki i wiedziała, czego chcę.

Spaceruję główną ulicą. Salon piękności, mały sklep wielobranżowy, bank, bankomat. Obracający się znak na banku pokazuje, że na zewnątrz jest -5 stopni. Przechodzę na drugą stronę. Sklep z AGD, market budowlany, parking, spożywcza. Wnętrza mam zziębnięte od wdychania lodowatego powietrza. Nawet włoski w nosie mi zamarzły. Nie krocę już dumnie, raczej wlokę się noga za nogą. Rozważam nawet powolny marsz pod górę do szkoły. Tam przynajmniej jest ogrzewanie.

Założę się, że wagarowanie o wiele bardziej podoba się dzieciakom w Arizonie niż tym, które utknęły w Nowym Jorku. Żadnej chlapy. Zero żółtego śniegu.

Ratuje mnie miejski autobus. Krztusząc się i warcząc, wypluwa przed sklepem spożywczym dwie starsze kobiety. Wsiadam do środka. Cel

podróży: centrum handlowe.

To takie miejsce, które zawsze jest i czeka, prawie jak mleko w lodówce albo Bóg, ale kiedy dojeżdżam, dopiero się otwiera. Kierownicy sklepów zonglują kluczami i dużymi kawami, a później kraty idą w górę, światła mrugają, fontanny tryskają wodą, a wśród ogromnych paproci zaczyna grać muzyka. I nagle galeria staje otworem.

Siwowłose babcie i ich mężowie z zapalem śmigają z balkonikami, tak szybko, że nawet nie patrzą na witryny. Poluję na wiosenne krzyki mody – nic z zeszłego roku już na mnie nie pasuje. Jak miałabym wybrać się z mamą na zakupy, skoro nawet nie mam ochoty z nią rozmawiać? Byłaby wniebowzięta, jestem pewna, ale znowu musiałabym nosić coś, co by mi wybrała. Zagadkowość – iii... zgarniam potrójną premię słowną.

Siadam przy głównej windzie, gdzie zaraz po Halloween postawili domek świętego Mikołaja. Powietrze pachnie frytkami i płynem do mycia podłóg. Przez szklane okno w suficie wpadają ciepłe promienie słońca, więc szybko zrzućam z siebie kolejne warstwy – kurtkę, czapkę, rękawiczki, sweter. W pół minuty tracę kilka kilogramów i mam wrażenie, jakbym zaraz mogła zacząć się unosić razem z windą. Widzę nad głową małe brązowe śpiewające ptaszki. Nikt nie wie, jak udało im się tu wlecieć, ale żyją sobie w galerii i ślicznie śpiewają. Kładę się na ławce i obserwuję, jak ptaki fruują w nagrzanym powietrzu, aż słońce zaczyna świecić tak jasno, że boję się, iż wypali mi oczy.

Pewnie powinnam komuś powiedzieć, po prostu wyznać prawdę. Skończyć z tym. Wyrzucić z siebie, wykrztusić.

Chcę wrócić do podstawówki, do piątej klasy, kiedy wszystko było o wiele łatwiejsze. *To* stało się takim moim ogromnym, mrocznym sekretem, a chęć powrotu do podstawówki drugim. W piątej klasie wszystko było proste. Byłam na tyle duża, by bawić się na zewnątrz bez mamy, ale za mała, żeby

wyjść poza osiedle. Idealna równowaga.

Na horyzoncie pojawia się ochroniarz. Uważnie obserwuje kobiece manekiny w jednym ze sklepów, po czym odchodzi w drugą stronę. Nie rzuca mi nawet sztucznego uśmiechu ani nie pyta, czy się zgubiłam. W końcu nie jestem już w piątej klasie. Wraca, by przejść tą samą drogą po raz trzeci, nie spuszczać palca z radia. Wyda mnie? Chyba pora iść na przystanek.

Przez resztę dnia czekam, aż wybije 14:48, więc w sumie nie różni się to za bardzo od szkoły. Myślę, że nauczyłam się dzisiaj czegoś nowego, a wieczorem ustawiam budzik na wczesną godzinę. Przez cztery dni z rzędu wstaję na czas, nie spóźniam się na autobus i wracam nim do domu po szkole. Mam ochotę wrzeszczeć. Wydaje mi się, że od czasu do czasu potrzebuję takiego wolnego dnia.

KODOŁAMACZ

Kudłata kupiła sobie kilka par nowych kolczyków. Jedne zwisają jej aż do ramion, inne mają kuleczki podobne do tych, które dostałam od Heather na Gwiazdkę. To teraz nie mogę już nosić swoich. Muszą panować tu jakieś zasady.

Na angielskim mamy miesiąc z Nathanielem Hawthorne'em. Biedaczek. Wie w ogóle, co z nim zrobili? Czytamy *Szkarłatną literę*, przeżuujemy zdanie po zdaniu i rozkładamy je na czynniki pierwsze.

Według Kudłatej ta historia aż krzyczy od ukrytego *symbolizmu*. Każde słowo użyte przez Nathaniela, każdy przecinek, każdy akapit – wszystko było dokładnie przemyślane. Żeby dostać dobrą ocenę, musimy odgadnąć, co autor miał na myśli. Czemu nie mógł tego po prostu napisać? Bał się, że ludzie doczepią mu do piersi szkarłatne litery? J jak jawność, P jak prostota?

Okej, nie mogę zbyt narzekać, czasami można się przy tym nieźle

bawić. Zupełnie jakbyśmy dostali kod, który trzeba złamać, żeby dostać się mu do głowy i poznać jego sekrety. Na przykład całe to poczucie winy – oczywiście, że wielebny je odczuwa, tak jak i Hester, ale Nathaniel chce, byśmy wiedzieli, dlaczego to takie ważne. Gdyby w kółko powtarzał, że ona ma wyrzuty sumienia, z książki wyszedłby nudny bełkot i nikt by jej nie kupił. Dlatego wymyślił sobie *symbole*, takie jak pogoda, całą tę jasność i ciemność, żeby pokazać nam, jak czuła się biedna Hester.

Ciekawe, czy Hester próbowała się sprzeciwić. Wygląda mi na cichą myszkę. Dogadałybyśmy się. Mogę sobie nas wyobrazić, jak żyjemy w lesie: ona miałaby swoją literkę A, a mnie pewnie dostałoby się W za wstyd, wycofanie, wątpliwość, wrażliwość.

Tak więc kodołamanie było fajne na pierwszej lekcji, ale to już się ciągnie zbyt długo. Kudłata katuje nas tym przez cały czas.

Kudłata:

– Jak myślicie, co tak naprawdę oznacza opis domu ze ścianami z wbitymi kawałkami szkła?

W klasie panuje cisza jak makiem zasiał. Jakaś mucha, której ani się śni zapaść w sen zimowy, tłucze się o zimną szybę. Gdzieś na korytarzu trzaskają drzwiczki od szafki. Kudłata sama odpowiada sobie na pytanie:

– Wyobraźcie sobie, jak mogłaby wyglądać taka ściana. Czy odbijałaby światło? Błyszczała? Może lśniła w słoneczne dni? No już, ruszcie głowami, nie zrobię tego za was. Na murach więzień teraz często rozsypuje się potłuczone szkło. Hawthorne pokazuje nam, że ten dom jest jak więzienie albo jakieś niebezpieczne miejsce. Prosiłam was, żebyście odnaleźli w tekście przykłady użycia kolorów. Kto mi coś powie na ten temat?

Mucha wydaje z siebie ostatni pożegnalny bzyk i umiera.

Rachel/Rachelle, moja była przyjaciółka:

– Kogo obchodzi znaczenie koloru? Skąd pani niby wie, co autor miał na

myśli? Czy napisał coś w stylu: „Symbolizm w moich książkach”? Jeśli tego nie zrobił, to równie dobrze może sobie pani to wszystko zmyślać. Naprawdę ktoś wierzy w to, że facet usiadł sobie i wpakował do książki te wszystkie ukryte znaczenia? To tylko zmyślona historia.

Kudłata:

– Mówimy o Hawthornie, jednym z największych amerykańskich pisarzy! Był geniuszem, nie robił nic przypadkiem.

Rachel/Rachelle:

– Myślałam, że mamy tu wyrażać własne opinie. Ja sądzę, że ciężko się to wszystko czyta, chociaż fragment, kiedy Hester pakuje się w kłopoty, a temu całemu wielebnemu prawie udaje się wykręcić, to naprawdę dobry motyw. I wciąż uważam, że wymyśla sobie pani cały ten symbolizm. Nie wierzę w coś takiego.

Kudłata:

– A powiedziałaabyś swojemu nauczycielowi od matematyki, że nie wierzysz, że trzy razy cztery równa się dwanaście? Tak właśnie, symbolizm u Hawthorne’a jest jak mnożenie – jak już raz go zrozumiesz, to później wszystko staje się jasne jak słońce.

Rozlega się dzwonek na przerwę. Kudłata: blokuje drzwi i zadaje nam pracę domową: wypracowanie na pięćset słów o symbolizmie i o tym, jak odnaleźć ukryte znaczenia u Hawthorne’a. Na korytarzu cała klasa wścieka się na Rachel/Rachelle.

I tak się właśnie kończy otwieranie ust w nieodpowiednim momencie.

BLOKADA

Panu Freemanowi udało się znowu zagrać na nosie radzie szkoły. Na jednej ścianie sali do plastyki wymalował imiona uczniów, po czym dorysował po

jednej kolumnie na każdy tydzień, jaki pozostał do końca roku szkolnego. Co tydzień ocenia nasze postępy i dodaje na ścianie jakiś komentarz. Nazywa to koniecznym kompromisem.

Obok mojego imienia pojawił się znak zapytania. Moje drzewo umarło. Nawet przedszkolakowi udałoby się wydrążyć coś lepszego. Straciłam już rachubę, ile płytek linoleum zmasakrowałam. To co jeszcze zostało nauczyciel zarezerwował wyłącznie dla mnie, co było naprawdę miłe z jego strony. Strasznie chciałabym pracować nad innym tematem, czymś prostym jak na przykład projektowanie miasta albo kopiowanie Mony Lisy, ale pana Freemana to nie wzrusza. Proponuje, żebym spróbowała innej techniki, więc mój wybór pada na fioletową farbę do malowania palcami. Ochłodziła mi dłonie, ale w niczym nie pomogła mojemu drzewu. No, drzewom.

Na półce natykam się na książkę z pejzażami, pełną ilustracji każdego parszywego drzewka, jakie tylko może wyrosnąć: jawor, lipa, osika, wierzba, jodła, tulipanowiec, topola, kasztanowiec, wiąz, świerk, sosna. Ich kory, kwiaty, konary, igły, owoce. Czuję się teraz jak zawodowy leśnik, nawet jeśli nie potrafię zrobić tego, czego się ode mnie oczekuje. Od czasu tej głupiej indyczo-kostnej kompozycji pan Freeman nie miał nic dobrego do powiedzenia na temat moich dzieł.

Zresztą, ma swoje własne problemy. Ostatnio tylko przesiaduje na stołku i wpatruje się w nowe płótno. Na razie pokrywa je tylko jeden kolor, tak niebieski, że niemal czarny. Nie wydobywa się z niego ani nie pada na nie żadne światło, więc nie ma w nim też żadnego cienia. Ivy pyta, co to tak właściwie jest, a wtedy pan Freeman budzi się z transu i patrzy na nią tak, jakby dopiero sobie przypomniał, że jego pracownia jest pełna uczniów.

Pan Freeman:

– To Wenecja nocą, o barwie duszy księgowego, którego odrzuciła kochanka. Kiedyś, kiedy jeszcze mieszkałem w Bostonie, udało mi się

wyhodować na pomarańczy pleśń w tym kolorze. To krew imbecyli. Zmieszanie. Własność. Wnętrze zamka, smak żelaza. Desperacja. Miasto z przestrelonymi latarniami. Płuco palacza. Włos dziewczynki, która dorasta bez nadziei. Serce przewodniczącego rady szkoły...

Rozkręca się do wygłoszenia pełnometrażowej tyrady, ale nagle dzwoni dzwonek. Nauczyciele plotkują między sobą, że plastik powoli dostaje rozstroju nerwowego. Ja jednak myślę, że to najbardziej zdrowa na umyśle osoba, jaką znam.

STOŁÓWKOWE FATUM

Nigdy nic dobrego nie dzieje się w trakcie przerwy obiadowej. Stołówka jest jak ogromne, cuchnące studio nagrań, gdzie codziennie kręci się nowe odcinki rytualnego upokarzania nastolatków.

Jak zwykle jestem z Heather, chociaż wyjątkowo siedzimy same w kąciku przy dziedzińcu, z dala od Marth. Moja towarzyszka siedzi tyłem do wszystkich. Może swobodnie patrzeć, jak wiatr za moimi plecami zmienia kierunek miotania śnieżynkami. Czuję te zimne podmuchy, sączące się przez okno i wślizgujące mi się pod koszulę.

Nie przysłuchuję się, gdy Heather stara się powiedzieć, co chodzi jej po głowie. Nie mogę się skupić przez hałas robiony przez czterystu uczniów przeżuwiających posiłki. W tle słychać zmywarki i wyczytywane skamlącym głosem ogłoszenia, na które nikt nie zwraca uwagi – oto i gniazdo szerszeni, ich schronienie. Jestem małą mróweczką przy wejściu, zdrętwiałą od zimowego wiatru. Podduszam zielony groszek tłuczonymi ziemniakami.

Heather skubie swoją jicamę¹ i bułeczkę pełnoziarnistą, a kiedy zabiera się do minimarchewczek, postanawia mnie wystawić.

Heather:

– Strasznie mi głupio, no bo jak powiedzieć komuś coś takiego? Nieważne co... Nie, może inaczej. Chodzi o to, że... na początku roku byłam tu nowa i zaczęłyśmy się ze sobą trzymać, bo nikogo innego nie znałam i to naprawdę było przesłodka z twojej strony, ale chyba pora przyznać, że po prostu... strasznie... się od siebie... różnimy.

Nie spuszcza wzroku ze swojego odłuszczonego jogurtu. Myślę o tym, żeby strzelić jakąś wredną odzywką, czymś naprawdę okrutnym, ale nie potrafię.

Ja:

– Chcesz powiedzieć, że już się nie przyjaźnimy?

Heather [z uśmiechem, który nie sięga oczu]:

– Tak naprawdę to nigdy się nie przyjaźniłyśmy, co? Na przykład ani razu u ciebie nie nocowałam. Lubimy spędzać czas w inny sposób. Ja mam swoje sesje zdjęciowe i uwielbiam zakupy...

Ja:

– Ja też lubię zakupy.

Heather:

– Ty niczego nie lubisz. Jesteś najbardziej depresyjną osobą, jaką kiedykolwiek poznałam, i wybaczone, że to mówię, ale nie jest fajnie przebywać w twoim towarzystwie. Uważam, że potrzebujesz profesjonalnej pomocy.

Aż do tego momentu nigdy nie pomyślałabym o Heather jak o jedynej prawdziwej przyjaciółce, ale teraz desperacko chcę być jej kumpelą, psiapsiółką, z którą można chichotać i obgadywać innych. Chcę, żeby malowała mi paznokcie u stóp.

Ja:

– Byłam jedyną osobą, która pierwszego dnia w ogóle się do ciebie odezwała, a teraz mnie zlewasz, bo jestem trochę nieszczęśliwa? A nie od tego są właśnie przyjaciółki? Żeby sobie pomagać w trudnych chwilach?

Heather:

– Wiedziałam, że źle mnie zrozumiesz. Czasami jesteś taka dziwaczna.

Zezuję na ścianę z sercami po przeciwnej stronie pomieszczenia. Zakochańcy mogą za pięć dolców dostać czerwone albo różowe serce ze swoimi inicjałami i je tam przypiąć na walentynki. Czerwone plamy na niebieskim tle zupełnie tu nie pasują. Sportowe Świry, pardon, sportowcy, siedzą przed sercami, żeby oceniać nowe romanse. Biedna Heather. Nie ma żadnych wskazówek, jak zrywa się z przyjaciółmi.

Wiem, co sobie myśli. Ma wybór: wciąż może się ze mną zadawać, co równa się reputacji niebezpiecznej dziwaczki, która pewnego dnia może pojawić się w szkole z karabinem maszynowym, albo może należeć do Marth – dziewczyn, które dostają najlepsze stopnie, robią miłe rzeczy i szusują na nartach. Którą opcję bym wybrała?

Heather:

– Wiem, że kiedy przestaniesz twierdzić, że życie jest do dupy, wiele ludzi będzie się chciało z tobą przyjaźnić. Nie możesz po prostu nie chodzić sobie na lekcje i wagarować. Co dalej, zaczniesz się trzymać z ćpunami?

Ja:

– To ten moment, kiedy starasz się być dla mnie miła?

Heather:

– Wiele się o tobie mówi.

Ja:

– Niby co?

Heather:

– Słuchaj, nie możemy już razem siadać na stołówce. Przykro mi. A, no i nie jedz tych chipsów. Są niezdrowe.

Ostrożnie zawija resztki jedzenia w pergaminowy papier i wyrzuca je do kosza. Później wraca do stołu Marth. Przyjaciółki siadają bliżej siebie, żeby

zrobić jej miejsce. Pochłaniają ją, a ona już na mnie nie zerka. Ani razu.

ODMIEŃ TO

Ja wagaruję, ty wagarujesz, on/ona/ono wagaruje. My wagarujemy, wy wagarujecie, oni wagarują. Wszyscy wagarujemy. Nie potrafię powiedzieć tego po hiszpańsku, bo dziś na niego nie poszłam. *Gracias a dios. Hasta luego.*

WYCIĘTE SERCA

Kiedy w walentynki wysiadamy z autobusu przed szkołą, jakaś dziewczyna o włosach tak jasnych, że prawie białych, wybucha płaczem. Na zaspie przy parkingu ktoś wypisał sprayem: „Kocham Cię, Anjela!”. Ciekawe, czy Angela płacze ze szczęścia, czy dlatego, że luby nie potrafi nawet dobrze napisać jej imienia. Słodziak czeka na nią z czerwoną różą. Całują się przed całą publiką. Wesołych walentynek.

Nie byłam na to przygotowana. W podstawówce z walentynek robiło się wielkie halo, bo trzeba było podarować kartkę każdej osobie w klasie, nawet dzieciakowi, który wepchnął cię w psią kupę. Któraś mama piekła wtedy babeczki z różową polewą, a my sprzedawaliśmy cukierki-serduszka z napisami.

W gimnazjum święto odeszło w zapomnienie. Żadnej imprezy czy pudełka z butami oklejonego serduszkami, w którym przechowywało się walentynki, które ktoś kupił ci w kiosku. Żeby ktoś dowiedział się, że ktoś inny go lubi, trzeba było przekazać wiadomość przez całą sieć znajomych, na przykład: „Janet mówiła żeby ci powiedzieć że Steven jej powiedział że Dougie widział jak Carom rozmawiał z April a ona dowiedziała się że brat Sary ma kolegę

Tony'ego któremu chyba się podobasz. I co teraz zrobisz?”.

To już chyba łatwiej czyścić zęby drutem kolczastym niż przyznać się w gimnazjum, że ktoś ci się podoba.

Razem z tłumem docieram do swojej szafki. Wszyscy mamy na sobie puchowe kurtki i bezrękawniki, więc odbijamy się od siebie jak samochodziki elektryczne na festynie. Na niektórych szafkach czekają doklejone karteczki, ale nieszczególnie zwracam na to uwagę do chwili, gdy zauważam jedną na swojej. Widnieje na niej moje imię. To na bank jakiś żart. Ktoś ją tu nakleił, żeby zrobić ze mnie idiotkę. Zerkam przez lewą ramię, a później przez prawe w poszukiwaniu grupki szatanów, którzy na mnie wskazują. Widzę tylko tyły głów.

A co, jeśli to nie głupi kawał? Co, jeśli to od jakiegoś chłopaka? Serce na chwilę mi zamiera, a później stuka i wraca do normalnego rytmu. Nie, to nie Andy, on zdecydowanie nie ma w sobie nic z romantyka. Może David Petrakis? Obserwuje mnie, kiedy myślę, że nie widzę, bo boi się, że zniszczę jakiś sprzęt albo znów zemdleję. Czasami posyła mi pełen obawy uśmiech, taki, jaki rzuca się psu, który może ugryźć. Jedyne, co muszę zrobić, to otworzyć kopertę. Nie dam rady. Mijam szafkę i idę prosto na biologię.

Pani Keen postanowiła, że idealnym tematem w walentynki będą ptaszki i pszczołki. Oczywiście nic praktycznego, żadnej informacji o tym, dlaczego od hormonów się świruje, albo zdradza wszystko jedną miną w najmniej odpowiednim momencie, albo jak stwierdzić, czy ktoś naprawdę podarował ci walentynkę i przykleił ją do drzwi szafki. Nie, ona serio uczy nas o ptaszkach i pszczołkach. Karteczki pełne miłości i zdrady przechodzą z rąk do rąk po stołach w sali, zupełnie jakby śmigały po Autostradzie Kupidyna. Pani Keen rysuje na tablicy jajo z kurczaczkiem w środku.

David Petrakis z całych sił stara się nie zasnąć. Ciekawe, czy mnie lubi. Wiem, że się przy mnie denerwuje. Pewnie myśli, że przez to, że pracujemy

razem na biologii, dostanie gorszą ocenę. Ale może już powoli się do mnie przyzwyczajają? Chciałabym, żeby mnie lubił? Przygryzam kciuk. Nie. Nie chcę tego od nikogo, chciałabym tylko karteczkę z sercem w środku. Zbyt mocno pociągam za skórę przy kciuku i rana zaczyna krwawić. Ściskam palec tak bardzo, że krew staje się idealną kulą, po czym rozplywa się i skapuje mi po dłoni. David podaje mi chusteczkę, którą szybko dociskam do rany. Biały materiał nasiąka czerwienią. Nie czuję bólu. Nic już nie boli, no, może poza delikatnymi uśmiechami i rumieńcami, które przelatują przez klasę niczym maleńkie jaskółki.

Otwieram zeszyt i piszę do Davida wiadomość: „Dzięki!”. Przesuwam ją w jego kierunku. Przełyka ciężko ślinę, przez co jabłko Adama podskakuje mu na szyi i wraca na swoje miejsce. Odpisuje: „Nie ma za co.” No i co teraz? Dociskam chusteczkę mocniej do kciuka, żeby się skoncentrować. Na tablicy kurczak pani Keen wykluwa się z jajka. Rysuję rudzika, który wygląda jak nauczycielka, a David uśmiecha się na jego widok. Dorysowuje gałąź pod jej nóżkami i przesuwa zeszyt z powrotem w moją stronę. Próbuję połączyć gałąź z resztą drzewa. Udaje mi się to zrobić całkiem nieźle, wygląda lepiej niż którykolwiek z moich rysunków na plastyce. Rozlega się dzwonek na przerwę, a ręka Davida przez przypadek muska moją, kiedy zbiera swoje książki. Zeskakuję ze swojego krzesła, boję się na niego spojrzeć. Co, jeśli myśli, że już otworzyłam kartkę od niego i nie odezwałam się na ten temat ani słowem, bo mi się nie podoba? Ale jak mogłabym to zrobić, skoro równie dobrze ktoś mógł wywinąć mi głupi żart albo dostałam ją od jakiegoś cichego podglądacza, który wtapia się w szafki i drzwi?

Moja szafka. Kartka wciąż tam wisi, biała łątka nadziei z moim imieniem. Zrywam ją i otwieram, a coś wypada mi z niej prosto pod nogi. To kartka z dwoma słodkimi misiami, które wspólnie trzymają garnek miodu. Otwieram ją. „Dzięki za zrozumienie, jesteś najlepsza!” – napisano

fioletowym długopisem. – „Powodzenia!!! Heather”.

Pochyliam się, by sprawdzić, co wypadło z koperty. To bransoletka przyjaźni, którą w przyływie świątecznego szaleństwa podarowałam Heather. Głupia, głupia, głupia. Jak mogłam być aż tak głupia? Czuję, jak coś we mnie pęka, a żebra zaczynają naciskać na płuca, przez co nie mogę oddychać. Potykając się o własne nogi, biegnę przez korytarz, później kolejny i jeszcze jeden, aż odnajduję moje drzwi, wsuwam się do środka i zamykam je na klucz. Nie włączam nawet światła, po prostu zapadam się w fotel, gdzie mogę zanurzyć zęby w miękkiej białej skórze na nadgarstku i płakać jak dziecko, którym w końcu jestem. Kołyszę się i raz po raz stukam głową w ścianę. Na wpół zapomniane święto odsłoniło każdy nóż, jaki we mnie wbito, każdą ranę. Wcześniej nie udało się to Rachel ani Heather, ani nawet głupiemu kujonowi, który pewnie polubiłby dziewczynę, jaką gdzieś głęboko w środku wciąż jestem.

PATRONKA POCZEKALNI

Do szpitala Matki Bożej Miłosierdzia trafiam zupełnie przez przypadek. Kimnęłam sobie w autobusie i przegapiłam przystanek pod galerią. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło – może uda mi się nauczyć jakichś medycznych sztuczek, które później przekażę Davidowi.

W jakiś pokręcony, chory sposób dobrze się tu czuję. Na każdym piętrze znajdują się poczekalnie. Nie chcę zwracać na siebie uwagi, więc nie zatrzymuję się nigdzie na dłużej, ciągle sprawdzam zegarek i ogólnie staram się wyglądać, jakbym miała jakiś powód, żeby tutaj być. Trochę się boję, że ktoś mnie przyłapie, ale wszyscy raczej mają na głowie inne zmartwienia. Szpital to idealne miejsce, by się ukryć, a i żarcie w kantynie jest lepsze niż to w szkole.

Chyba najgorsza poczekalnia jest na oddziale kardiologii. Pełno tu kobiet o poszarzałych twarzach, które bawią się obręczkami i obserwują tylko, czy z którychś drzwi nie wyjdzie jakiś znajomy doktor. Jedna z pań tylko cicho łka i nie przejmuje się, że obcy ludzie patrzą, jak kapie jej z nosa albo że słyszą ją już od wind. Jej płacz ustaje tylko po to, by zmienić się w krzyk. Drzę już na sam ten dźwięk. Porywam kilka wydań magazynu „People” i już mnie nie ma.

Oddział położniczy to niebezpieczny rejon, bo tam wszyscy tryskają szczęściem. Zadają mnóstwo pytań: na kogo czekam, kiedy termin, czy to mama, a może siostra? Gdybym miała ochotę odpowiadać na pytania, poszłabym do szkoły. Mówię szybko, że muszę zadzwonić do taty i uciekam.

Kantyna wydaje się okej. Jest ogromna i pełna ludzi w kitlach, którzy wyglądają na takich, co już dawno są po studiach, a w ich kieszonkach spoczywają pagery. Zawsze myślałam, że ludzie pracujący w szpitalach mają świra na punkcie zdrowego jedzenia, ale okazuje się, że wcinają śmieciowe żarcie, jakby to było modne. Piętrzą się przed nimi stopy nachosów, cheeseburgery wielkie jak talerze, placki z wiśniami i chipsy – mniemam. Samotna pracownica kafeterii o imieniu Lola stoi przy parującym naczyniu z rybą w cebuli. Żal mi jej, więc kupuję jedną porcję, a do tego talerz tłuczonych ziemniaków z sosem i jogurt. Siadam obok stolika pełnego poważnych, siwowłosych mężczyzn. Używają takich długich słów, że aż dziwię się, że się nimi nie krztuszą. Bardzo profesjonalnie. Miło znaleźć się w towarzystwie osób, które brzmią, jakby naprawdę wiedziały, co robią.

Po lunchu wędruję na piąte piętro, na oddział chirurgii dorosłych, gdzie czekające rodziny skupiają się na oglądaniu telewizji. Siadam w miejscu, w którym mam dobry widok na stanowisko pielęgniarek i kilka sal tuż za nim. Tutaj chyba dobrze trafić, kiedy jest się chorym. Lekarze i pielęgniarki wyglądają na bystrych i nawet co jakiś czas się uśmiechają.

Pracownik pralni wpycha do składziku ogromny kosz z zielonymi fartuchami (jeśli masz taki na sobie i dobrze go nie przytrzymasz, to prędzej czy później będziesz świecić ludziom tyłkiem po oczach). Idę za nim. Jeśli ktokolwiek zapyta, powiem, że szukam automatu z wodą, ale nie muszę, bo nikt nie pyta. Podnoszę jeden fartuch. Mam ochotę go założyć, wpełznąć pod biały koc i prześcieradło na jednym z wysokich łóżek i zasnąć. Coraz gorzej śpi mi się w domu. Ciekawe, ile czasu minęłoby, aż pielęgniarki zorientowałyby się, że tutaj jestem? Może pozwoliłyby mi zostać przez kilka dni?

Jakiś wysoki mięśniak biegnie korytarzem, popychając przed sobą nosze. Obok niego idzie pielęgniarka. Nie mam pojęcia, co jest nie tak z pacjentem, ale ma zamknięte oczy, a spod bandaża na jego szyi sączy się cienki strumień krwi. Odkładam fartuch. Wszystko ze mną w porządku, a szpital to miejsce dla naprawdę chorych ludzi, tak chorych, że aż to po nich widać. Kieruję się do wind. Autobus jest już w drodze.

STARCIE TYTANÓW

Czeka nas spotkanie z PryncyPolem. Ktoś zauważył moje nieobecności i to, że praktycznie się nie odzywam. Doszli do wniosku, że pewnie nie zamierzam zostać młodocianym przestępcą, tylko mam coś nie tak z głową, więc zaprosili też panią pedagog.

Wargi mamy drżą od słów, których nie chce użyć w towarzystwie obcych ludzi. Tata ciągle zerka na pager, bo ma nadzieję, że ktoś zadzwoni.

Popijam wodę z papierowego kubeczka. Gdyby był z kryształu, otworzyłabym usta i wzięła gryza. Chrup, chrup, a potem przełykam.

Chcą, żebym coś powiedziała.

– Dlaczego nic nie mówisz?

- Na miłość boską, otwórz usta!
- Zachowujesz się jak dziecko, Melindo.
- Powiedz coś.
- Sama robisz sobie krzywdę przez to, że nie chcesz współpracować.
- Nie rozumiem, czemu ona nam to robi.

Dyrektor wzdycha głośno i wcina się w te głosy.

PryncyPolo:

- Wszyscy jesteśmy tu po to, żeby ci pomóc. Zacznijmy od stopni.

Spodziewaliśmy się po tobie czegoś więcej, Melisso.

Tata:

- Melindo.

PryncyPolo:

– Melindo. W zeszłym roku miałaś same piątki i nie sprawiałaś żadnych kłopotów, raptem kilka nieobecności, a z tego, co ostatnio słyszę... co tu dużo mówić...

Mama:

– I tu jest właśnie pies pogrzebany, ona nic nie mówi! Kompletnie się do mnie nie odzywa. Jakby oniemiała.

Pani pedagog:

- Wydaje mi się, że powinniśmy się tu zająć relacjami w rodzinie.

Mama:

- Kpi sobie z nas, żebyśmy zwrócili na nią uwagę.

Ja [w swojej głowie]:

- A posłuchalibyście mnie? Uwierzyli? Szczerze wątpię.

Tata:

– No cóż, coś jest stanowczo nie tak. Co jej zrobiliście? W zeszłym roku moja córka była uroczą, kochaną dziewczynką, a odkąd się tu znalazła, zamknęła się w sobie, wagaruje i ma w nosie stopnie. Żeby państwo

wiedzieli, grywam w golfa z przewodniczącym rady szkoły.

Mama:

– Guzik nas obchodzi, kogo znasz, Jack. Musimy zmusić Melinę do mówienia.

Pani pedagog [pochylając się do przodu i spoglądając na mamę i tatę]:

– Czy państwo macie jakieś problemy małżeńskie?

Mama odpowiada językiem, którego nie godzi się używać kobiecie. Tata proponuje pani pedagog wycieczkę do gorącego, przerażającego podziemnego świata. Ona już się więcej nie odzywa. Może dotarło do niej, dlaczego robię to samo. PryncyPolo rozpięta się na krześle i zaczyna bazgrać na kartce szerszenia.

Tik-tak-tik-tak. Omija mnie właśnie okienko na indywidualną naukę. Czas przeznaczony na drzemkę. Ile jeszcze dni do końca liceum? Straciłam rachubę. Przydałby mi się kalendarz.

Rodzice przepraszają za swój wybuch i uderzają w popisową nutę:

– Co teraz? Co powinniśmy zrobić? Jest taka przygaszona, sami we dwójkę sobie nie poradzimy. Co, och, co powinniśmy zrobić?

Wyobrażam sobie, jak wskakują na biurko PryncyPola i zaczynają stepowe show. Oślepia ich światło reflektorów, do występu dołącza chór, a pani pedagog tańczy dookoła lśniącej rurki. Chichoczę pod nosem.

Trzask. Wracam do ich świata.

Mama:

– Śmiesz cię to? Rozmawiamy o twojej przyszłości Melindo, o twoim życiu!

Tata:

– Nie mam pojęcia, skąd u ciebie takie lenistwo, ale z pewnością nie wyniosłaś go z domu. To pewnie zły wpływ tej szkoły.

Pani pedagog:

– Właściwie to Melinda nawiązała kilka przyjaźni. Widziałam, jak pomaga dziewczynkom, które udzielają się w wolontariacie. Meg Harcutt, Emily Briggs, Siobhan Falon...

PryncyPolo [przerywając na moment bazgranie]:

– O, to przemiłe dziewczęta. I z dobrych rodzin. – Patrzy na mnie pierwszy raz od początku spotkania i przekrzywia głowę. – Przyjaźnicie się?

Czemu oni są tacy tępi? Czy tacy się urodzili? Nie mam przyjaciół. Nic już nie mam. Nic nie mówię. Jestem niczym. Ciekawe, jak długo jedzie się autobusem do Arizony.

KOZA

Kara Odosobnienia Za Aspołeczność, w skrócie KOZA, taki los mnie spotkał. Mam to nawet na piśmie. Nauczka na przyszłość – naprawdę nie warto niczego podpisywać bez wcześniejszego przeczytania. Jeszcze lepiej będzie zapłacić prawnikowi, by to za mnie zrobił.

Pani pedagog wyśniła sobie tę umowę po naszym uroczym spotkaniu w gabinecie dyrektora. Zawiera miliony rzeczy, których mi nie wolno, i konsekwencje, jakie poniosę, jeśli nie dostosuję się do warunków. Kara za maleńkie przewinienia, takie jak na przykład spóźnienie albo brak aktywności na lekcji jest głupia (napisanie i oddanie wypracowania), więc darowałam sobie kolejny dzień szkoły i bum! Wylądowałam w KOZIE.

To klasa z białymi ścianami, niewygodnymi krzesłami i lampą, która bzyczy, jakby w środku znajdował się ul wściekłych pszczół. Osadzeni w KOZIE mają siedzieć w bezruchu i gapić się w ściany. Chcą nudą wzbudzić w nas uległość lub przygotować do pobytu w domu wariatów.

Naszym klawiszem jest dziś pan Karczycho. Szczerzy się do mnie. Coś mi się zdaje, że jego obecność tutaj to kara za fanatyzmy, jakie odwał na

naszych lekcjach. Jest ze mną dwójka innych skazańców – pierwszy na wygolonej głowie wytatuował sobie krzyż. Wygląda jak granitowy stwór, który czeka na dłuto, żeby samodzielnie odłupać się od góry. Drugi dzieciak sprawia normalne wrażenie, no, może jego ciuchy są trochę dziwaczne, ale to tylko wykroczenie, a nie poważna zbrodnia. Kiedy pan Karczycho wstaje, żeby powitać spóźnialskiego, dzieciak o normalnym wyglądzie przyznaje, że lubi wzniecać pożary.

Naszym ostatnim towarzyszem niedoli jest Andy Evans. Czuję, jak śniadanie zmienia mi się w żołądku w kwas chlorowodorowy. Chłopak szczerzy się do pana Karczycha i siada obok mnie.

Pan Karczycho:

– Znowu wagary, Andy?

Potwór Andy:

– Nie, proszę pana. Jeden z pańskich kolegów twierdzi, że nie uznaję autorytetów, może pan w to uwierzyć?

Pan Karczycho:

– Koniec gadania.

Znów zmieniam się w szaraczka na otwartej przestrzeni. Siedzę, jakbym połknęła bombę. Jeden nieostrożny ruch, jedno słowo i wszystko może wylecieć w powietrze.

Chyba rzeczywiście zaczynam mieć coś nie tak z głową.

Kiedy pan Karczycho nie patrzy, Andy chucha mi do ucha.

Mam ochotę go zabić.

PICASSO

Ostatnio nic mi nie wychodzi, nawet na plastyce. Pan Freeman, nowy mistrz w gapieniu się przez okno, uważa, że wie, co jest nie tak.

– Masz sparaliżowaną wyobraźnię – oznajmia. – Potrzebujesz wyprawy.

Wszyscy nagle zaczynają się przysłuchiwać, ktoś nawet ścisza radio. Wyprawa? Planuje jakąś wycieczkę szkolną?

– Musisz odwiedzić umysł Geniusza – kontynuuje nauczyciel. Znow słyhać szelest kartek, zmieszany z głębokimi westchnieniami. Radio znów gra głośniej.

Pan Freeman odpycha na bok moją pozał się Boże płytkę linoleum i na jej miejsce delikatnie kładzie ogromną książkę.

– Picasso – szepcze z namaszczaniem. – Picasso. Ten, który dostrzegł prawdę. Ten, który namalował ją, uformował, wyrwał z ziemi gołymi wściekłymi rękoma. – Urywa na moment. – Oj, chyba trochę popłynąłem.

Potakuję.

– No, sprawdź Picassa – nakazuje. – Nie mogę wszystkiego za ciebie zrobić. Poszukiwanie duszy to samotna droga.

Bla, bla, bla, jasne. W sumie przeglądanie obrazków i tak będzie lepsze niż obserwowanie śniegu. Otwieram książkę.

Picasso zdecydowanie lubił nagie kobiety. Czemu nie wpadł na to, żeby namalować je w ubraniach? No, bo kto niby siedzi sobie bez koszuli, brzdąkając na mandolinie? I dlaczego nie malował nagich facetów, żeby było sprawiedliwie? Wygląda na to, że nagie kobiety to sztuka, a nadzy faceci to obrzydlistwo. Pewnie dlatego większość malarzy to mężczyźni.

Pierwsze rozdziały mi się nie podobają. Poza nagimi kobietami namalował kilka błękitnych obrazów, zupełnie jakby przez kilka miesięcy nie kupił sobie czerwonej ani zielonej farby. Stworzył kilka dzieł z cyrkowcami i tancerkami, którzy wyglądają, jakby stali w smogu. Kaszel dodałby im autentyczności.

Następna część książki zapiera mi dech w piersiach. Normalnie katapultuje z klasy. Jestem zdziwiona, ale coś podskakuje i wrzeszczy w mojej głowie,

że w końcu wszystko rozumie. Kubizm. Patrzenie poza tym, co widoczne na powierzchni. Spychanie oczu i nosa na jedną część twarzy. Krajanie w kostkę ludzi i stołów i gitar, jakby to były selery naciowe, a później przekładanie ich, by naprawdę zobaczyć ich takimi, jacy są. Ale odjazd. Ciekawe, jak wyglądał świat w jego oczach.

Chciałabym, żeby chodził do naszego liceum. Założę się, że świetnie byśmy się dogadali. Kartkuję całą książkę, ale nie znajduję ani jednego obrazu z drzewem. Może Picasso też miał z nimi problem? Dlaczego trafił mi się taki słaby temat? Szkicuję kubistyczne drzewo o setce prostokątnych gałęzi. Przypominają szafki, pudełka, odłamki szkła i usta, a za liście robią brązowe kwadraty. Zostawiam szkic na biurku pana Freemana.

– No, teraz coś z ciebie będzie – stwierdza, unosząc do góry kciuki.

JAZDA Z PRZODU

Jak przystało na dobrą dziewczynkę, przez cały tydzień chodzę na każdą lekcję. W sumie dobrze znów być na bieżąco z tym, co mówią nauczyciele. Pani pedagog przekazuje wszystko rodzicom, a oni sami nie wiedzą, jak zareagować – cieszyć się, bo w końcu dobrze się zachowuję, czy złościć, bo wciąż muszą cieszyć się z pierdół takich jak to, że ich dziecko codziennie chodzi do szkoły.

Pedagog przekonuje ich, że zasłużyłam na nagrodę – może nowy gryzaczek czy coś. Postanawiają, że dostanę nowe ciuchy, bo zaczynam wyrastać z tego, co mam.

Ale hola, zakupy z mamą? Niech mnie ktoś zastrzeli i zakończy bolesne męki. Wszystko, tylko nie zakupowe szaleństwo z mamą. Nienawidzi tego ze mną robić. W galerii zawsze idzie dwa kroki przede mną, z zadartym podbródkiem i nerwowo drgającymi powiekami, bo nie chcę mierzyć

praktycznych, „stylowych” ubrań, w jakich najchętniej by mnie widziała. Mama jest jak skała. Ja? Jak ocean. Dopiero, kiedy godzinami wydymam wargi i wywracam oczami, ona się poddaje i zmienia w kupkę piasku. Tracę mnóstwo energii, zanim do tego dochodzi, a nie sądzę, żebym miała jej teraz wystarczająco dużo.

Najwyraźniej mama też nie ma ochoty ciągnąć mnie do galerii i jęczeć. Kiedy rodzice oznajmiają, że dostanę nowe ubrania, dodają, że mam sobie wybrać coś w Effert's, żeby mama mogła skorzystać ze swojego rabatu. Umawiam się z nią, że przyjadę do sklepu po szkole i tam się spotkamy. W sumie nawet jestem z tego zadowolona. Wejdę, kupię, wyjdę, trzeba zerwać ten plaster jednym szybkim ruchem.

Pomysł wydawał się spoko, dopóki nie znalazłam się na przystanku przed szkołą podczas szalejącej śnieżycy. Przez ten wichur temperaturę musiała spaść co najmniej do minus trzydziestu stopni, a ja nie mam ani czapki, ani rękawiczek. Staram się stać plecami do kierunku wiatru, ale wtedy odmarza mi tyłek. Zmiana pozycji nie wchodzi w grę. Śnieg wpada mi do oczu i uszu – to właśnie dlatego nie słyszę zatrzymującego się obok samochodu. Prawie wychodzę z siebie i staję obok, kiedy słyszę ryk klaksonu. To pan Freeman.

– Potrzebujesz podwózki?

Jestem w szoku, kiedy widzę, czym jeździ. To niebieskie Volvo, solidna i bezpieczna szwedzka bryka, a spodziewałabym się po nim raczej starego hippisowskiego vana. W środku jest czysto, więc nici z moich wizji rozrzuconych wszędzie materiałów do malowania, plakatów i gnijących owoców. Kiedy wsiadam, słyszę cichą klasyczną melodię. Jakie cuda jeszcze się dzisiaj wydarzą?

Pan Freeman nie ma problemu z podrzuceniem mnie do centrum, tylko troszeczkę mu nie po drodze. Gdy mówi, że z przyjemnością poznałby moją mamę, wytrzeszczam oczy z przerażenia.

– Albo i nie – szybko dopowiada.

Strzepuję z włosów resztki topiącego się śniegu i wyciągam dłonie w kierunku ciepłego nawiewu. Nauczyciel od razu podkreśla ogrzewanie.

Podczas jazdy liczę słupki przy drodze, wyznaczające kilometry, no i wyczekuję jakiegoś ciekawego okazu rozjechanego zwierzęcia. Na przedmieściach sarny często wyskakują pod koła. Czasami biedni ludzie zgarniają truchła dla mięsa, ale zwykle zostają przy drodze i gniją, dopóki skóra nie wisi na żebrach jak wstążki. Kierujemy się na zachód, do wielkiego miasta.

– Świetna robota z tym twoim kubistycznym szkicem – mówi pan Freeman, a ja nie wiem, co odpowiedzieć. Mijamy rozjechanego psa. Nie miał żadnej obroży. – Zrobiłaś duże postępy. Nauczyłaś się więcej, niż pewnie przypuszczasz.

Ja:

– Nic nie wiem. Moje drzewa są do kitu.

Pan Freeman wrzuca kierunkowskaz, zerka w tylne lusterko, zjeżdża na lewy pas i wyprzedza ciężarówkę z piwem.

– Nie bądź dla siebie taka surowa. W sztuce chodzi o to, by popełniać błędy i się na nich uczyć. – Zjeżdża z powrotem na prawo.

Obserwuję w bocznym lusterku, jak ciężarówka ginie gdzieś w zamieci. Z tyłu głowy pojawia mi się myśl, że może jedziemy trochę za szybko, ale samochód jest masywny i nie wpada w poślizg. Śnieg ze skarpet roztopił mi się teraz w butach.

Ja:

– No, niech panu będzie, ale sam pan powiedział, że powinniśmy przelać emocje w naszą sztukę, a ja nawet nie wiem, co to znaczy. Nie wiem, co powinnam czuć.

Natychmiast zakrywam palcami usta. Co ja wyprawiam?

Pan Freeman:

– Sztuka bez emocji jest jak czekolada bez cukru. Chce ci się od niej wymiotować. – Wkłada palec do ust i udaje, że się krztusi. – Następnym razem, kiedy będziesz pracować nad drzewami, nie myśl o nich. Pomyśl o miłości, nienawiści, radości albo wściekłości, o czymkolwiek, co sprawia, że coś czujesz, pocą ci się dłonie albo zwijają palce u stóp. Na tym się skup. Kiedy człowiek przestaje wyrażać samego siebie, coś w nim umiera, kawałek po kawałku. Zdziwiłabyś się, ilu dorosłych jest już tak naprawdę martwych w środku. Przechodzą przez życie i nawet nie wiedzą, kim są, czekają tylko, aż zawał, rak albo pędząca ciężarówka dokończy dzieła. To chyba najsmutniejsza rzecz, jakiej się od życia dowiedziałem.

Zjeżdża z drogi i zatrzymuje się na światłach pod wiaduktem. W rowie leży coś małego, futrzastego i zdecydowanie martwego Zdrapuję zębami strupek na kciuku. Niedaleko, pośrodku ulicy, błyska szyld Effert's.

– To tam – mówię. – Może mnie pan wysadzić przy wejściu.

Siedzimy przez moment w milczeniu, śnieg zakrywa drugą stronę ulicy, a z głośników płynie melodia grana na skrzypcach.

– Hm, dziękuję panu – dodaję.

– Nie ma sprawy – odpowiada. – Gdybyś kiedyś chciała porozmawiać, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Odpinam pas i otwieram drzwi.

– Melindo – rzuca nauczyciel. Śnieg wpada do samochodu i topnieje na desce rozdzielczej. – Dobry z ciebie dzieciak. Masz wiele do powiedzenia, a ja chciałbym o tym posłuchać.

Zamykam za sobą drzwi.

LABIRYNT LUSTER

Zatrzymuję się przy biurze kierownika, gdzie od sekretarki dowiaduję się, że mama rozmawia przez telefon. No i świetnie, łatwiej mi będzie znaleźć jakieś dzinsy, jeśli nie będzie jej w pobliżu. Idę w kierunku działu dla „młodych kobiet” (kolejny powód, przez który tak słabo idzie im sprzedaż. No, bo która dziewczyna chciałaby być nazywana „młodą kobietą”?)

Chociaż wolałabym się do tego nie przyznawać, potrzebuję już spodni w rozmiarze M. Wszystkie moje rzeczy to S-ki. Patrę na moje stopy w rozmiarze kajaków i ociekające wodą, ohydne kostki. Czy w tym wieku nie powinnam już przestać rosnąć?

Kiedy byłam w szóstej klasie, mama kupiła mi mnóstwo książek o okresie dojrzewania, żebym doceniła tę „piękną”, „naturalną” i „pełną cudów” przemianę, jaką przechodzę. Gówno prawda. Ona może sobie cały czas narzekać na siwiejące włosy albo obwisły tyłek i zmarszczki, a ja powinnam się cieszyć z wypryszczonej twarzy, owłosienia w żenujących miejscach i stóp, które co noc wydłużają się o kilka centymetrów? Gówno prawda.

Nieważne, co założę, i tak wiem, że mi się nie spodoba. W tym sklepie sprzedają same paskudne rzeczy, w stylu takich, które babcia kupuje wnuczce na urodziny. Modowe cmentarzysko. Po prostu weź cokolwiek, co dobrze leży – przekonuję samą siebie. Tylko jedna para spodni. Rozglądam się dookoła, mamy nie ma na horyzoncie. Zanoszę trzy pary najmniej żałosnych dzinsów do przymierzalni. Jestem jedyną osobą, która coś mierzy. Pierwsza para jest stanowczo za mała, nie przejdzie mi przez tyłek. Nawet nie próbuję z drugą, jest w jeszcze mniejszym rozmiarze. Ostatnie spodnie są ogromne, dokładnie takie, jakich szukałam.

Przemykam do potrójnego lustra. Jeśli założę bluzę XL, nikt nawet nie zobaczy, że to spodnie z Effert's. Mamy wciąż nie ma. Poprawiam lustro, żeby widzieć odbicia odbić, mnóstwo samej siebie w nowych dzinsach. Zakładam włosy za uszy. Powinnam była je wczoraj umyć. Mam brudną

twarz. Pochyłam się do szkła. Oczy za oczami za oczami patrzą prosto na mnie. Czy gdzieś tam w nich jestem? Tysiąc oczu mruga jednocześnie. Zero makijażu. Ciemne kręgi. Przymykam skrzydła lustra, otaczając się nimi i odgradzając od reszty sklepu.

Moja twarz staje się szkicem Picassa, a ciało rozpada się na kostki. Kiedyś widziałam film o kobiecie, której ogień spalił ponad osiemdziesiąt procent skóry, więc lekarze musieli zmyć z niej cały ten spalony naskórek. Owinęli ją w bandaż, naćpali i czekali, aż będą mogli zrobić przeszczep. I w sumie uszyli jej nową skórę.

Przykładam poranione usta do lustra. Tysiące zakrwawionych, twardych warg napierają na tafelę od drugiej strony. Ciekawe, jakby to było mieć nową skórę? Czy byłaby strasznie wrażliwa jak u dziecka, czy sparaliżowana, bez zakończeń nerwowych, taka skórzana powłoka? Wypuszczam powietrze i usta znikają we mgle. Czuję, jakby ogień wypalił i moją skórę. Zataczam się od jednego ciernistego krzaka do drugiego – od mamy do taty, którzy nienawidzą siebie nawzajem, od Rachel, która mnie nienawidzi, szkoły, która krztusi się mną jak kot kłaczkiem. O, i jeszcze od Heather.

Muszę po prostu wytrzymać jeszcze trochę, aż będą mogli przeszczepić mi skórę. Pan Freeman uważa, że powinnam odnaleźć w sobie uczucia. Jak miałabym ich nie odnaleźć, skoro buszują we mnie jak plaga myśli, wstydu i błędów? Zaciskam powieki. Jeansy pasują, dobrze, od czegoś trzeba zacząć. Muszę trzymać się z daleka od kryjówki, chodzić na wszystkie lekcje. Jakoś wrócę do normalności, o reszcie zapomnę.

KIEŁKOWANIE

Skończyliśmy na biologii omawiać rośliny. Pani Keen rzuca aluzjami, że na sprawdzianie będzie dużo pytań o nasiona.

Jak nasiona się rozsiewają: a to akurat ciekawe. Niektóre rośliny wyrzucają nasionka w powietrze. Inne wytwarzają takie pyszniętke ziarenka, które najpierw ptaki zjedzą, a później ozdobią nimi przejeżdżające samochody. Rośliny wytwarzają więcej nasion niż konieczne, bo wiedzą, że życie nie jest idealne i niektóre z nich nie przetrwają. Cwane bestie, jakby się tak nad tym zastanowić. Ludzie też tak kiedyś robili – mieli po dwanaścioro albo nawet piętnaścioro dzieci, bo podejrzewali, że pewnie któreś umrą, inne okażą się pasożytami, a tylko parka zostanie pracowitymi, uczciwymi rolnikami. I będą wiedzieli, jak sadzić nasiona.

Jak kiełkują nasionka: są nieudolne. Jeśli zasadzi się ziarno zbyt głęboko, nie wyrośnie w odpowiednim czasie. Jeśli zbyt płytko – zostanie zjedzone przez ptaki. Zbyt dużo deszczu – ziarenko zgnije. Za mało deszczu i nigdy nie wyrośnie. A nawet jeśli mu się uda, może zostać przyduszone przez inne rośliny, wykopane przez psa, zgniecione przez piłkę albo zatrute przez spaliny.

Jestem w szoku, że w ogóle cokolwiek jest w stanie przeżyć.

Jak rosną rośliny: szybko. Większość z nich wyrasta w szybkim tempie i szybko obumiera. Ludzie dostają jakieś siedemdziesiąt lat, a fasola cztery, może pięć miesięcy. Kiedy tylko małeńka roślinka wyrasta z ziemi, od razu rozkłada liście, żeby móc wchłonąć jak najwięcej słońca. A później śpi, je, opala się, aż jest gotowa, żeby rozkwitnąć: zupełnie jak nastolatka w wersji roślinnej. Kiepski czas dla róż, cynii albo kaczeńców, bo ludzie od razu atakują je sekatorami i wycinają to, co najpiękniejsze. Ogólnie rośliny są spoko. Jeśli kwiat róży zostanie ścięty, roślina samodzielnie wyhoduje nowy. Musi zakwitnąć, by wyprodukować kolejne nasiona.

Zaliczę ten sprawdzian śpiewająco.

BOŁOŃSKIE ZESŁANIE

Moja strategia przetrwania na stołówce nieco się zmieniła, odkąd okazało się, że nie mam już żadnych znajomych w tym wszechświecie. Po pierwsze, nie staję w kolejce po jedzenie, bo to ten moment, kiedy człowiek jest najbardziej odsłonięty: wszyscy patrzą i oceniają, czy jesteś przyjacielem, wrogiem, a może przegrywem.

Dlatego postawiłam na brązową papierową torebkę. Musiałam napisać mamie liścik, w którym poprosiłam, żeby mi kupiła takie torebki, trochę kiełbasy bolońskiej i kilka soczków jabłkowych w kartonikach. Ucieszyła się na widok karteczki i wróciła do domu z torbą pełną śmieciowego żarcia. Może jednak powinnam zacząć rozmawiać z rodzicami chociaż troszeczkę? Ale co, jeśli coś bym chlapnęła?

Oto ja, dziewczę od bolońskiej kiełby.

Staram się czytać w czasie samotnego posiłku, ale cały ten zgiełk wkłada mi się między oczy i kartkę, przez co nie mogę się skupić. Dlatego zaczynam obserwować. Wyobrażam sobie, że jestem naukowcem, który przygląda się wszystkiemu z zewnątrz. Tak, jak pani Keen zdarza się obserwować szczury gubiące się w labiryncie.

Marthy nie wyglądają na zagubione. Tworzą formację, a moje dawne miejsce zajęła nowa dziewczyna, drugoklasistka, która przeprowadziła się tu z Oregonu. Ma na sobie ubrania wykonane z niebezpiecznej ilości poliestru. Jak nic trzeba się nią zająć. Cały klan chrupie chipsy marchewkowe i oliwki, rozsmarowuje pasztet na krakersach z grubo mielonej pszenicy i zagryza to kozim serem. Meg & Emily & Heather popijają sok żurawinowo-morelowy. Jaka szkoda, że nie mogę wykupić udziałów w jakiejś fabryce soków, bo na moich oczach właśnie tworzy się nowy trend.

Ciekawe, czy o mnie rozmawiają? Śmieją się wystarczająco głośno, by mogło tak być. Biorę gryza kanapki, musztarda ze środka tryska mi na koszulkę. Może planują następny *projekt*? Mogłyby wysyłać śnieżki do

dzieci z Teksasu, które nie znają śniegu. Albo robić na drutach koce z koziej wełny dla ogolonych owiec. Wyobrażam sobie Heather za dziesięć lat – matkę z dwójką dzieci i dodatkowymi trzydziestoma kilogramami. Od razu mi trochę lepiej.

Rachel/Rachelle siada na końcu mojego stołu z Haną, uczennicą z wymiany, która przyjechała z Egiptu. Rachel/Rachelle eksperymentuje teraz z islamem – głowę owinęła szalikiem i ma na sobie zwiewne brązowo-czerwone haremki. Oczy obmalowała ciemnym, grubym eyelinerem. Mam wrażenie, że mi się przygląda, ale pewnie to tylko takie wrażenie. Hana ma na sobie džinsy i koszulkę z Gapa. Zjadają się pitą z hummusem i świergoczą do siebie po francusku.

Garstka wyrzutków takich jak ja siedzi to tu, to tam, między resztą szczęśliwych nastolatków. Jesteśmy jak suszone śliwki w szkolnej owsiance. Społeczna siła pozwala reszcie przegrywów trzymać się razem. Ja jako jedyna siedzę sama, dokładnie pod jaskrawym neonem: „Frajerka z zaburzeniami. Trzymać się z daleka. Nie dokarmiać”.

Idę do łazienki, żeby założyć koszulkę tył na przód. Plama po musztardzie chowa się bezpiecznie pod włosami.

ŚNIEGU W BRÓD, CZYLI DZIEŃ JAK CO DZIEŃ

Wczoraj w nocy spadło dwadzieścia centymetrów śniegu. W innych częściach kraju to by już oznaczało *śniegokalipsę*, ale nie w Syracuse. U nas nie ma czegoś takiego. Jeśli w Południowej Karolinie napada jakieś trzy centymetry, od razu wszystko zamykają i mówi się o tym w wiadomościach. W naszej części kraju po prostu z samego rana i później często w ciągu dnia odśnieża się drogi i zakłada łańcuchy na opony autobusów.

Kudłata opowiada, jak to w latach siedemdziesiątych raz zamknięto szkoły

na cały tydzień przez to, że zabrakło prądu. Było piekielnie zimno i ogrzanie budynku po prostu byłoby zbyt drogie. Ma tęskne spojrzenie. Tęskny – podwójna premia słowna. Nauczycielka głośno wydmuchuje nos i wyciąga kolejną cuchnącą zieloną tabletkę na gardło. Wiatr strzela w okno kolejną zamiecią śnieżną.

Naszym nauczycielom przydałby się dzień wolny od pracy. Są bladzi jak ściana, panowie niedokładnie się gołą, a panie nigdy nie zdejmują kozaków. Chyba wszyscy mają jakąś *profesogrypę*. Chodzą z ciekącymi nosami, bolącymi gardłami i oczami w czerwonych obwódkach. Przychodzą do szkoły, zarażają resztę personelu, a później biorą chorobowe, kiedy tylko uda się znaleźć kogoś na zastępstwo.

Kudłata:

– Otwórzcie podręczniki. Kto mi powie, co u Hawthorne’a symbolizował śnieg?

Cała klasa: jęczy.

Myślę, że Hawthorne chciał, żeby śnieg symbolizował chłód. Chłód i ciszę, bo w końcu nie ma nic bardziej cichego od śniegu. Niebo wyje jak setki zjaw, które tylko czekają, aż rozpocznie się zamieć śnieżna, ale gdy tylko płatki dotykają ziemi, wszystko zamiera w bezruchu, dokładnie tak, jak moje serce.

GŁUPIA, GŁUPIA

Po szkole wymykam się do swojej kryjówki, bo nie mogę znieść myśli o tym, że miałabym wracać do domu autobusem pełnym spoconych, głupio szczerzących się dzieciaków, które tylko kradną mi tlen. Witam się z plakatem Mai oraz kubistycznym drzewem. Indyczo-kostna kompozycja znów się rozpadła. Opieram ją o ścianę na półce obok lustra, ale zsuwa się

i leży płasko. Zostawiam ją tak i zwijam się w kłębek w fotelu. W kryjówce jest ciepło, jestem gotowa na drzemkę. Od jakiegoś czasu kiepsko sypiam w domu. Zwykle budzę się przez zimno i kołdrę na podłodze albo kiedy śni mi się, że stoję w drzwiach kuchennych, starając się wydostać. W mojej małej kryjówce czuję się bezpiecznie. Odpływam.

Budzą mnie dziewczęce wrzaski. „Agresja. Więcej agresji. W-I-Ę-C-E-J-A-G-R-E-S-J-I!”

Przez chwilę wydaje mi się, że ocknęłam się w jakimś porąbanym świecie, ale później słyszę ryk tłumu. Trwa mecz koszykówki, ostatni w tym sezonie. Sprawdzam zegarek. Jest 20:45, spałam kilka godzin. Łapię plecak i wybiegam na korytarz.

Przyciąga mnie cały ten huk w sali gimnastycznej. Staję w drzwiach na minutę przed zakończeniem gry. Tłum odlicza ostatnie sekundy jak w Sylwestra, a później eksploduje wrzawą, jak przystało na wściekłe szerszenie na dźwięk dzwonka. Wygraliśmy z Pumami Coatesville 51 do 50. Cheerleaderki łkają, trenerzy ściskają się jak szaleni. Nawet mnie udziela się całe to podniecenie i klaszczę jak mała dziewczynka.

To poczucie przynależności to mój błąd. Powinnam była od razu pomknąć do domu, ale tego nie zrobiłam. Zostaję. Chcę być częścią tego wszystkiego.

David Petrakis z grupką znajomych przepycha się w kierunku wyjścia. Zauważa, że na niego patrzę, i na chwilę odłącza się od swojego stadka.

David:

– Melinda! Gdzie siedziałaś? Widziałaś ten ostatni rzut? Niesamowity był! Niesamo-kurde-wity!

David odbija niewidzialną piłkę od ziemi, robi zwód w lewo, prawo, a później przygotowuje się do rzutu. Chyba powinien zostać przy sprawdzaniu, czy ktoś nie narusza podstawowych praw człowieka. Nawija i nawija, jak makaron na uszy. Zachowuje się, jakby nasza drużyna zdobyła

co najmniej puchar ligi NBA. A później zaprasza mnie do siebie na świętowanie zwycięstwa przy pizzy.

David:

– No nie bądź taka, Mel, musisz iść z nami! Ojciec pozwolił mi zaprosić kogo chcę. Możemy cię nawet później podrzucić do domu. Będzie fajnie. Pamiętasz jeszcze, jak wyglądała dobra zabawa, co?

Nie-e. Nie chodzę na imprezy. Nie, dziękuję. Zarzucam go wymówkami: mam pracę domową, surowych rodziców, lekcję gry na tubie, wizytę u dentysty o późnej godzinie, stado guźców do nakarmienia. Kiepsko wspominam ostatnie imprezowanie.

David nie zamierza zbyt długo myśleć nad moją odmową. Może gdyby był dziewczyną, dłużej by mnie namawiał albo więcej jęczał. Chłopaki tego nie robią. Tak/nie. Zostań/wyjdź. Jak chcesz. Do zobaczenia w poniedziałek.

Wydaje mi się, że jest taka choroba, kiedy człowiek ma w głowie więcej niż jedną osobowość. Tak się właśnie czuję, kiedy wracam do domu. Dwie Melindy walczą ze sobą na każdym kroku. Melinda Numer Jeden wścieka się, że nie poszła.

Melinda Numer Jeden:

– Ogarnij się wreszcie, to było tylko zaproszenie na pizzę. Nic by ci nie zrobił. Jego rodzice byliby w domu! Za bardzo się wszystkim przejmujesz. Już nigdy więcej nie zamierzasz się dobrze bawić, co? Zmieniasz się w jedną z dziwnych starszych pań z setką kotów, co wydzwania na policję za każdym razem, kiedy jakieś dziecko przebiegnie jej po trawniku. Już nie mogę z tobą wytrzymać.

Melinda Numer Dwa czeka, aż Numer Jeden dokończy swój wściekły wywód, i uważnie obserwuje krzaki przy chodniku, w razie gdyby miał z nich wyskoczyć duch albo coś gorszego.

Melinda Numer Dwa:

– Świat to niebezpieczne miejsce. Nie wiesz, co mogłoby się tam stać. A co, jeśli tak tylko powiedział, że jego rodzice będą w domu? Mógł kłamać. Nigdy nie potrafiłaś poznać, kiedy ktoś kłamie. Lepiej od razu zakładać najgorsze. Największą katastrofę. A teraz pospiesz się i wracajmy do domu. Nie podoba mi się tu, jest za ciemno.

A gdybym tak wykopała je obydwie z głowy, ciekawe, kto by w niej został?

NIEZAPOMNIANA NOC

Po meczu nie mogę zasnąć. Znowu. Przez kilka godzin nastawiam radio na dziwne nocne rytmy: najpierw słucham paplaniny z Quebecu, później relacji z farmy w Minnesocie, a potem muzyki country z jakiejś stacji z Nashville. Wytaczam się przez okno na daszek i siadam na nim, owinięta kocami.

Ogromna biała pestka kima sobie na niebie.

Breja na ulicy zamarzła. Niektórzy mówią, że zima trwa od wieków, ale to tylko dlatego, że obsesyjnie sprawdzają temperaturę. Na północy, w górach, cieknie sobie syrop klonowy. Odważne gęsi przebijają się przez cienki lód na tafli jeziora. Pod ziemią blade nasiona przekręcają się na bok przez sen. Czują niepokój. Zaczynają śnić zielony sen.

W sierpniu księżyc wydawał się bliższy.

Rachel wkręciła nas na imprezę cheerleaderek z okazji końca wakacji, imprezę z piwami, starszymi znajomymi i głośną muzyką. Zaszantażowała swojego brata, Jimmy’ego, żeby nas tam zawiózł. Wszystkie miałyśmy później u nich nocować. Ich mama myślała, że jedziemy z nim na rolki.

Impreza była na farmie, kilka kilometrów od naszego osiedla. Większość ludzi kręciła się na granicy światła – wyglądali jak z reklam džinsów – smukli modele o dużych ustach, białych zębach i z mnóstwem kolczyków.

Czułam się przy nich jak gówniara.

Rachel oczywiście nie miała problemu z tym, żeby się wpasować. Dzięki Jimmy'emu знаła mnóstwo osób. Spróbowałam trochę piwa – smakowało gorzej niż syrop na kaszel, więc wypiałam całość jednym haustem. Jeszcze jedno piwo, a potem kolejne, aż zaczęłam się martwić, że zaraz zwymiotuję. Wydostałam się z tłumu i ruszyłam w stronę lasu. Księżyc odbijał się od liści. Widziałam w oddali światła – były jak gwiazdy zawieszane na sosnach. Ktoś chichotał w ciemności, jakaś parka szeptała między sobą, byli tam, ale nie mogłam ich zobaczyć.

Usłyszałam za sobą kroki. O, ktoś z ostatniej klasy. Zaczął ze mną rozmawiać, flirtować. Ten wspaniały chłopak o wyglądzie modela. Jego włosy wyglądały o wiele lepiej niż moje, każdy centymetr jego ciała był umięśniony, miał nawet proste białe zęby. Gdzie podziewa się Rachel, kiedy jest potrzebna? Przecież musi to zobaczyć!

Grecki bóg:

– Skąd się tu wzięłaś? Taka ślicznotka, a chowa się w ciemności. Chodź, zatańczymy.

Wziął mnie za rękę i przyciągnął bliżej siebie. Zaciągnęłam się jego zapachem – wodą kolońską pomieszaną z piwem i czymś jeszcze, czego nie potrafiłam rozpoznać. Nasze ciała idealnie do siebie pasowały, miałam czoło centralnie na wysokości jego ramienia. Trochę kręciło mi się w głowie, więc przyłożyłam policzek do jego klatki piersiowej. Otoczył mnie jednym ramieniem, a drugą dłoń zsunął na tyłek. Pomyślałam, że to trochę chamskie, ale język zdrętwiał mi od wypitego piwa i sama nie wiedziałam, jak mu powiedzieć, żeby zwolnił tempo. Otaczała nas słodka melodia. To właśnie tak powinno wyglądać liceum. No gdzie ta Rachel? Serio powinna to zobaczyć.

Uniósł mi podbródek. Pocałował jak facet, mocno, słodko i głęboko. Ten

pocałunek prawie zwałił mnie z nóg. Przez chwilę pomyślałam, że właśnie zdobyłam chłopaka, że razem ze starszym, silniejszym i opiekuńczym chłopakiem zacznę liceum. Znów mnie pocałował. Otarł się zębami o moje wargi. Ciężko było mi oddychać.

Księżyc przesłoniły chmury. Cienie na nim wyglądały jak negatywy na kliszy.

– Chcesz to zrobić? – zapytał.

O czym on mówił? Nie odpowiedziałam. Nie wiedziałam. Nic nie powiedziałam.

Leżeliśmy na ziemi. Jak do tego doszło?

– Nie.

Nie, nie podoba mi się to. Przygniata mnie do ziemi. Mamrocę coś o tym, że chcę już iść, że przyjaciółka mnie potrzebuje, że rodzice będą się martwić. Słyszę samą siebie – brzmię jak ostatnia pijaczka. Nagle jego usta są na moich i nie mogę już nic więcej powiedzieć. Odwracam głowę. Jest taki ciężki. Przygniata mnie głaz. Otwieram usta, żeby nabrać powietrza, wrzasnąć, ale zakrywa mi je dłonią. W swojej głowie słyszę głos mocny ja dzwon: „NIE, PRZESTAŃ, NIE CHCĘ!”, ale nie mogę nic z siebie wyrzucić. Próbuję sobie przypomnieć, jak znaleźliśmy się na ziemi i gdzie się podział księżyc, ale nagle fiu! Koszulka idzie w górę, spodenki w dół, ziemia jest mokra i ciemna i NIE! – tak naprawdę mnie tam nie ma. Na pewno jestem z powrotem u Rachel, kręcę włosy i przyklejam tipsy, a on śmierdzi piwem i rani mnie, rani mnie, rani mnie i wstaje

i zapina spodnie

i uśmiecha się.

Następne, co pamiętam, to telefon. Stałam pośrodku pijanego tłumu i dzwoniłam pod 911, bo potrzebowałam pomocy. Opłaciły się te wszystkie te spotkania z policjantami w podstawówce. Odebrała jakaś pani:

– Komisariat policji, proszę powiedzieć, co się dzieje.

Popatrzyłam na odbicie swojej twarzy w oknie nad kuchennym zlewem i z moich ust nie wydostało się żadne słowo. Co to za dziewczyna? Nigdy wcześniej jej nie widziałam. Łzy spływały mi po twarzy, po posiniaczonych ustach, prosto na słuchawkę.

– Już w porządku – dodała miła pani po drugiej stronie. – Namierzyliśmy cię, radiowóz jest już w drodze. Ktoś cię zranił? Groził?

Ktoś wyrwał mi telefon z ręki i zaczął słuchać. Krzyk – psy tu zaraz będą! Niebiesko-czerwone światła zamigwały w kuchennym oknie. Twarz Rachel – taka wściekła – przy mojej twarzy. Ktoś mnie uderzył. Wypełzałam z pokoju przez plataninę kończyn. Księżyc na zewnątrz uśmiechnął się na pożegnanie i odpłynął.

Wróciłam do pustego domu. Bez słowa.

Sierpień już minął. Księżyc śpi, a ja przysiadam na daszku jak zamarznięty gargulec, zastanawiając się, czy słońce totalnie oleje dzisiaj cały świat i postanowi późno wstać.

Na śniegu widać kilka kropel krwi. Przegryzłam sobie wargę. Potrzebuję szwów. Mama znowu wróci późno. Nienawidzę zimy. Mieszkam w Syracuse od urodzenia i naprawdę nienawidzę zimy. Zaczyna się zbyt wcześnie i kończy zbyt późno. Nikt jej nie lubi. Dlaczego ktokolwiek miałby chcieć tu żyć?

MOJE OCENY

Życie z ludźmi: 1

WOS: 1

Język hiszpański: 3

Plastyka: 6

Zachowanie na przerwie obiadowej: 3

Biologia: +3

Algebra: 1

Strój: 1

Język angielski: +3

Wychowanie fizyczne: 3

1. Jicama – inaczej kłębiana, słodkawa roślina o konsystencji ziemniaka, często używana w kuchni azjatyckiej, może być spożywana na surowo lub jako dodatek do sałatek (przyp. tłum.) [\[wróć\]](#)

CZWARTY OKRES

TĘPICIELE

Komitet rodzicielski wystosował petycję, w której żąda zmiany szkolnej maskotki. Nie spodobały im się radosne okrzyki na ostatnim meczu koszykówki.

“szerszenie, szerszenie,
nie wiecie, co w nas drzemie!
szerszenie, szerszenie,
znacie to bzyczenie!
szerszenie dziś grają,
żądłem punkty zaliczają,
dalej szeeeeerszenieeee!
(i tak w kółko)

Całe te dzikie płąsy, towarzyszące radosnym okrzykom, wystraszyły komitet rodzicielski na amen. Nie mówiąc o tym, że wszyscy usłyszeli i zobaczyli je w telewizji. Komentator sportowy stwierdził, że przyśpiewka jest urocza, dlatego puścił jej fragment akurat w momencie, kiedy cheerleaderki wymachiwały żądlami, a tłum stykał się i pocierał szerszeniami odwłokami.

Samorząd uczniowski odpowiedział komitetowi własną petycją. Stworzyli ją najlepsi uczniowie, rozpisali się w niej na temat uszczerbku na psychice, jaki wywarł na nas zeszłoroczny brak tożsamości społecznej. Błagali o zgodność, stabilność. Całkiem niezłe to podsumowali: „My, uczniowie liceum Merryweather, jesteśmy dumni z naszych szerszeniowych osobowości. Jesteśmy nieustępliwi, zjadliwi i mądrzy. Jesteśmy rojem, społecznością uczniów. Nie odbierajcie nam szerszeniowości. **JESTEŚMY Szerszeniami.**”

Problem zrobi się z tego, dopiero gdy zacznie się sezon futbolowy. Nasza

drużyna zawsze daje ciała.

PORA DESZCZOWA

Wiosna nadchodzi wielkimi krokami. Zimowe szczury, czyli brązowe od rdzy auta za maksymalnie siedemset dolców, którymi wszyscy logicznie myślący ludzie jeżdżą od listopada do kwietnia, chowają się z powrotem do garaży. Śnieg topnieje z minuty na minutę, a parkingi wypełniają śliczne błyszczące nowe samochodziki.

Widać też inne oznaki wiosny: na trawnikach pojawiają się wcześniej głęboko schowane łopaty i rękawice. Mama wyniosła już na strych zimowe płaszcze, a tata mamrotał coś na temat ściągnięcia dodatkowych okien zewnętrznych, ale póki co jeszcze tego nie zrobił. Przez okno autobusu widziałam rolnika, chodzącego po polu – czekał, aż błoto przemówi i podpowie mu, gdzie zacząć sadzić.

W okolicy *prima aprilis* większość uczniów ostatniej klasy dostaje odpowiedzi z uniwersytetów. Kciuki w górę albo w dół. Co za chory czas. Atmosfera robi się oraz bardziej napięta. Dzieciaki popijają z butelek różowe specyfiki na ból brzucha. David Petrakis, mój partner z ławki na biologii, tworzy bazę danych, która będzie sprawdzać, kto gdzie się dostał. Chce dokładnie przeanalizować, na jakie zajęcia dla zaawansowanych chodzili inni uczniowie, ile średnio dostali punktów z egzaminów, jakie mieli zajęcia pozalekcyjne oraz średnią ocen, żeby wiedzieć, co musi zrobić, żeby dostać się na Harvard.

Chodzę na większość lekcji. Zuch dziewczynka, Mellie. Obrót, Mellie. Siad, Mellie. Chociaż nikt mnie jeszcze nie poklepał po główce. Zaliczyłam sprawdzian z algebry, zaliczyłam sprawdzian z angielskiego, zaliczyłam sprawdzian z biologii. No, alleluja! Wszystko jest tak bezdennie głupie.

Może to właśnie dlatego dzieciaki dołączają do kółek, żeby mieć o czym myśleć w czasie lekcji?

Bestia Andy dołączył do kółka międzynarodowego. Nigdy bym nie pomyślała, że interesuje go grecka kuchnia albo francuskie muzea. Nie siada już przy stoliku Marth, ale kręci się przy Rachel/Rachelle, Grecie-Ingrid i reszcie kosmitów z wymiany. Rachel/Rachelle macha na niego fioletowymi rzesami, jakby był jakimś Supermenem. A myślałam, że będzie miała więcej oleju w głowie.

Wielkanoc przeleciała bez większego szumu. Wydaje mi się, że mama kompletnie się jej nie spodziewała. Nie lubi tego święta, bo jest ruchome, no i nie ma przy nim całego tego wielkiego zakupowego szaleństwa. Kiedy byłam mała, chowała dla mnie w całym domu kolorowe jajka. Ostatnie czekało w dużym koszyku pełnym czekoladowych króliczków i kurczaczków z żółtej pianki. Zanim zmarli dziadkowie, chodziłam z nimi do kościoła, zwykle w sztywnej sukience z drapiącą koronką.

W tym roku świętowaliśmy przy kotletach z baraniny. Przygotowałam na lunch jajka na twardo i czarnym markerem dorysowałam im buźki. Tata narzekał na to, ile roboty go czeka. Mama nie mówiła zbyt wiele, ja jeszcze mniej. Moi dziadkowie w niebie pewnie krzywili się na ten widok. Tak sobie myślę, że fajnie by było pójść do kościoła. Niektóre pieśni wielkanocne są naprawdę ładne.

PRZERWA WIOSENNA

Ostatni dzień przerwy wiosennej. Zaczynam się czuć jak Alicja w Krainie Czarów – wydaje mi się, że dom zaczyna się kurczyć i boję się, że zaraz wybije głową dziurę w suficie, więc postanawiam przejechać się do centrum handlowego. Mam w kieszeni dziesięć dolców, na co powinnam je wydać?

Może frytki – szalona fantazja warta dziesięciu dolarów. Założę się, że gdyby *Alicja w Krainie Czarów* była napisana dzisiaj, zamiast babeczki z napisem „Zjedz mnie” znalazłaby ekstraduże frytki. Z drugiej strony niedługo zrobi się o wiele cieplej, więc potrzebuję jakichś koszulek i szortów, może nawet stroju kąpielowego. Omijam frytkownice z bulgoczącym olejem.

Wiosna za nami, więc na wystawach sklepowych króluje kolekcja jesienna. Wciąż czekam, aż moda zacznie nadążać za porami roku. Przy witrynach kilku sklepów stoją jacyś performerzy. Jeden facet bez końca kręci kółka samolocikiem, kobieta o pustym wyrazie twarzy ciągle tka i pruje jeden szal. A nie, to spódnica. O, a teraz bluzka z wiązaniem na szyi. Ludzie omijają ją wzrokiem, zupełnie jakby sami nie wiedzieli, czy powinni zacząć klaskać, czy rzucić jakiegoś drobniaka. Współczuję jej. Ciekawe, jakie miała oceny w liceum. Chciałabym dać jej jakiś napiwek, ale to chyba nie będzie grzeczne, jeśli zapytam, czy ma mi wydać z dyszki.

Zjeżdżam windą do fontanny. Dzisiejszą rozrywką jest tam malowanie twarzy. W długiej i rozwrzeszczanej kolejce czeka z mamami mnóstwo sześciolatków. Mija mnie jakaś mała dziewczynka – jest tygrysem. Płacze o lody i ręką wyciera łzy, przez co rozsmarowuje sobie farbkę na twarzy. Matka tylko na nią wrzeszczy.

– Jak w zoo.

Odwracam się i na krawędzi fontanny widzę Ivy z ogromnym szkicownikiem na kolanach. Kiwa głową w kierunku kolejki beks, kończącej się animatorami, którzy z furią malują paski, kropki i wąsiki.

– Żal mi ich – odpowiadam. – Co rysujesz?

Ivy przesuwa się i robi mi miejsce obok siebie, a później podaje swój blok. Szkicuje twarze dzieci – jedna część każdej buzi jest smutna i nijaka, drugą pokrywa sztucznie szczęśliwy klauni makijaż. Nie narysowała żadnego tygrysa ani lamparta.

– Kiedy tu ostatnio byłam, robili z dzieci klaunów. Dzisiaj mam pecha – tłumaczy.

– I tak wygląda nieźle – odpowiadam. – Trochę strasznie, ale nie upiornie, raczej niespodziewanie.

Oddaję jej szkicownik. Wsuwa sobie ołówek za gumkę do włosów.

– Dobrze, taki właśnie miałam plan. To coś z indyjskich kości, które zrobiłaś, też było upiorne, ale w taki dobry sposób, naprawdę. Minęło kilka miesięcy, a ja wciąż o tym myślę.

I co teraz niby powinnam powiedzieć? Przygryzam wargę, ale zaraz ją wypuszczam. Wyciągam z kieszeni paczkę cukierków.

– Chcesz trochę?

Wyciąga sobie jednego, ja trzy, wrzucamy je do ust i tak przez chwilę siedzimy w ciszy.

– Jak idzie ci z drzewem? – pyta.

Jęczę w odpowiedzi.

– Beznadziejnie. Żałuję, że zapisałam się na plastykę, ale nie wyobrażałam sobie siebie na majsterkowaniu.

– Jesteś w tym lepsza, niż ci się wydaje – mówi Ivy. Otwiera szkicownik na pustej stronie. – Ale nie rozumiem, dlaczego cały czas próbujesz z linoleum. Na twoim miejscu już dawno dałabym sobie spokój. Masz, spróbuj narysować drzewo.

I tak siedzimy, wymieniając się ołówkami. Rysuję pień, Ivy dodaje gałąź, ja ją przedłużam, ale trochę przesadzam i wychodzi zbyt patykowata. Już mam zamiar użyć gumki, ale Ivy mnie powstrzymuje.

– Jest w porządku, po prostu musisz dodać trochę liści. Niech odrobinę różnią się kształtem i będzie wyglądać super. To mi wygląda na dobry początek.

Ma całkowitą rację.

GENETYKA

Ostatni dział na biologii w tym roku to genetyka. Pani Keen nie da się słuchać, jej głos brzmi jak rżenie zimnego silnika, który nie może zaskoczyć. Lekcja zaczyna się od wykładu o jakimś mnichu o nazwisku Greg, co badał warzywa i koniec końców doszedł do tego, dlaczego mamy niebieskie oczy. Coś mi chyba umknęło – jakim cudem przeszliśmy od warzyw do koloru oczu? Po prostu przepiszę notatki od Davida.

Zaczynam przerzucać kartki w podręczniku i natykam się na interesujący rozdział o kwaśnym deszczu. Nic na temat seksu – o nim będziemy się uczyć dopiero w przedostatniej klasie.

David rysuje w zeszycie tabelkę. Biorę do ręki ołówek i strugaczkę i idę na przód klasy, żeby go zastrugać, bo myślę, że krótki spacerek dobrze mi zrobi. Pani Keen dalej bełkocze. Połowę genów dziedziczymy po ojcu, połowę po matce. A połowę po sąsiadce. Ha-ha, suchar biologiczny.

Według mamy jestem bardziej podobna do ojca. Jego rodzina składa się głównie z policjantów i agentów ubezpieczeniowych, którzy obstawiają mecze i palą obrzydliwe cygara. Tata z kolei twierdzi, że więcej mam z mamy – rodzina z jej strony to farmerzy, hodujący kamienie i trujący bluszcz. Nie mówią zbyt wiele ani często nie odwiedzają dentysty, ani nie czytają.

Kiedy byłam mała, wyobrażałam sobie, że jestem księżniczką, którą adoptowano, kiedy moje królestwo najechała banda złych ludzi. Już niedługo moi prawdziwi rodzice, pan Król i pani Królowa, mieli wysłać po mnie królewską limuzynę. W wieku siedmiu lat prawie dostałam zawału, kiedy po raz pierwszy po mojego tatę przyjechała limuzyna, żeby zawieźć go na lotnisko. Myślałam, że naprawdę ktoś chce mnie zabrać, a nie chciałam nigdzie jechać. Od tamtego czasu tata zamawiał taksówki.

Wyglądam przez okno. Żadnej limuzyny. Ani rydwanu. Ani nawet powozu. Teraz, kiedy naprawdę chciałabym stąd uciec, jak na złość nikt nie chce po mnie przyjechać.

Szkicuję wierzbę z gałązkami opadającymi do wody. Nie pokazuję jej panu Freemanowi – ten obrazek idzie prosto do mojej kryjówki. Od jakiegoś czasu wieszam sobie różne rysunki na ścianach. Jeśli trafi mi się jeszcze jedna taka nudna lekcja, zdecyduję się zamieszkać w kryjówce na stałe. W końcu wychodzą mi ładne liście, takie naturalne. Sztuczka polega na tym, żeby tworzyć je w różnych rozmiarach, a później nakładać jeden na drugi. Ivy miała rację.

Pani Keen zapisuje na tablicy dwa słowa: „dominujący/recesywny”. Zerkam w notatki Davida – rysuje drzewo genealogiczne. Włosy ma po ojcu, a oczy po mamie. Też zaczynam szkicować swoje drzewo. A raczej jego pień – moja rodzina jest dosyć mała. Ledwo pamiętam w ogóle imiona krewnych. Wujek Jim, wujek Thomas, ciocia Mary, ciocia Kathy – jest jeszcze jakaś jedna, ale bardzo recesywna. Wyrecesowała się aż do Peru. Wydaje mi się, że mam takie oczy jak ona. Po tacie odziedziczyłam coś, co nazywa się „nawet nie chcę o tym słyszeć”, a po mamie: „pomyślę o tym jutro”.

Pani Keen mówi, że jutro czeka nas kartkówka. Szkoda, że nie uważałam na lekcji. Szkoda, że nie jestem adoptowana. No i szkoda, że David tak wzdycha, kiedy pytam, czy mogłabym przepisać od niego notatki.

DZIESIĘĆ KOLEJNYCH KŁAMSTW, JAKIMI NAKARMIĄ CIĘ W SZKOLE

1. Algebra przyda się wam w dorosłym życiu.
2. Dojazd samochodem do szkoły to przywilej, który zawsze można odebrać.
3. Musicie spędzać przerwę obiadową na terenie szkoły.
4. Nowe podręczniki pojawią się lada dzień.
5. Uczelnie interesuje coś więcej niż tylko wyniki egzaminów końcowych.
6. Surowo przestrzegamy regulaminowego stroju.
7. Niedługo uda się nam opanować system grzewczy.
8. Kierowcy autobusów szkolnych to wysoko wykwalifikowani pracownicy.
9. Nie ma nic złego w uczęszczaniu do szkoły letniej.

10. Interesuje nas wasze zdanie.

MELINDA HOLMES

Rachel/Rachelle zwariowała. Kompletnie upadła na głowę. Poszła do kina z Bestią Andym, a teraz i ona, i jej kumpele z wymiany wzdychają i chodzą za nim jak wierne labradory. Andy nosi jej kumpelkę Gretę-Ingrid owiniętą wokół szyi jak biały szalik. Założę się, że kiedy spluwa, Rachel/Rachelle łapie ślinę do kubeczka i przechowuje jak relikwię.

Rachel/Rachelle i jakaś inna idiotka paplają o filmie przed rozpoczęciem algebry. Chce mi się rzygać. Wszystko, co pada z ust Rachel/Rachelle to: „Andyto” i „Andytamto”. Czy mogłaby być jeszcze mniej subtelna? Zatykam uszy, by nie słyszeć jej głupiego astmatycznego śmiechu, i rozwiązuję zadania na wczoraj.

Zwykle łatwo mi odrabiać zadania w klasie, bo głos pana Stetmana tworzy delikatną, wyciszającą inne odgłosy barierę, ale dzisiaj nie daję rady. Zbyt wiele myśli krąży mi w głowie. Czemu miałabym się przejmować Rachel/Rachelle? (Bo on ją zrani). A czy przez cały rok chociaż raz zachowała się wobec mnie w porządku? (Przez całe gimnazjum była moją najlepszą przyjaciółką, to jakby się liczy). Nie, to zdradziecka wiedźma. (Nie widziała, co się stało). I niech sobie wzdycha do Bestii, mam nadzieję, że straci dla niej głowę (A co, jeśli straci coś jeszcze?)

Po lekcji wślizguję się między innych uczniów sunących w kierunku drzwi, zanim dostanę naganę od pana Stetmana za brak zadania. Rachel/Rachelle przepycha się obok mnie do Grety-Ingrid i jakiejś innej dziewczyny z Belgii, które na nią czekają. Śledzę je, pilnując, żeby zawsze oddzielały nas dwie inne osoby, tak robią detektywi w telewizji. Idą do skrzydła z salami do nauki języków. Żadna nowość – dzieciaki z wymiany zawsze się tam kręcą, jakby kilka razy dziennie potrzebowały nawdychać się

powietrza przesyconego ich rodzimym językiem, bo mogłyby udusić się zbyt dużą dawką amerykańskości.

Bestia Andy zawisa nad ich głowami, rozkłada skrzydła i wpycha się między dziewczyny, kiedy zaczynają wchodzić po schodach. Próbuje cmoknąć w policzek Gretę-Ingrid, ale ta odwraca głowę. Zamiast tego całuje Rachel/Rachelle, przez co ona chichocze. Z niską Belgijką nawet nie próbuje. Ona i Szwedka machają im na pożegnanie przy sekretariacie skrzydła języków obcych. Po szkole krąży plotka, że mają tam ekspres do kawy.

W tej przyjacielskiej atmosferze Rachel/Rachelle i Andy idą dalej aż do końca korytarza. Zostają w kącie i udają, że uczą się algebry. Myślę, że to wystarczy, by nikt mnie nie rozpoznał. Siadają na podłodze – Rachel/Rachelle w pozycji lotosu, Andy podkrada jej zeszyt, a ona jęczy jak dziecko i rzuca mu się na kolana, by go odzyskać. Aż przechodzą mnie dreszcze i dostaję gęziej skórki. Chłopak przerzuca zeszyt z jednej ręki do drugiej, kompletnie poza jej zasięgiem. A później coś do niej mówi. Cały korytarz buczy jak stadion piłkarski wypełniony po brzegi. Z ust Andy’ego sączy się trucizna, ale Rachel/Rachelle uśmiecha się, po czym mokro go całuje. I nie jest to zwykłe cmoknięcie. Andy oddaje jej zeszyt i znów porusza ustami. Lawa wypływa mi z uszu. Nie widzę tam już tej superlaski Rachelle. Widzę trzecioklasistkę Rachel, która lubiła chipsy o smaku barbecue, która wplotła mi we włosy różowe pasemko – nosiłam je przez długi czas, aż do czasu, kiedy mama kazała mi je wyciąć. Opieram czoło o drapiący tynk.

ATMOSFERĘ MOŻNA KROIĆ

Najlepszym miejscem na przemyślenia jest moja kryjówka, sala tronowa, dom zastępczy. Potrzebuję prysznic. Może powiedziec Grecie-Ingrid? (za

słabo mówię po szwedzku). Powinnam pogadać z Rachel (taa, jasne). Mogłabym powiedzieć, że słyszałam złe historie o Andym (tylko jeszcze bardziej by się jej spodobał). Może mogłabym jej powiedzieć, co tak naprawdę się stało (jakby chciała mnie słuchać. A co, jeśli powiedziałaaby Andy'emu? Co on by wtedy zrobił?)

Nie mam tu zbyt wiele miejsca na krązenie. Robię dwa kroki, obracam się i dwa kolejne. Uderzam gołeniami o fotel. Głupia kanciapa. Co za debilny pomysł, żeby siedzieć w takim schowku. Opadam na fotel, przez co w powietrze wzbija się zapach starego woźnego – połączenie cuchnących skarpet, suszonej wołowiny i koszul zatęchłych od leżenia w pralce. Indyczo-kostna kompozycja zaczyna delikatnie podśmierdywać. Trzy słoiczki potpourri nie dają sobie rady z tym smrodem. Może jakiś zdechły szczur rozkłada się właśnie wewnątrz ściany, tuż obok nawiewu.

Maya Angelou obserwuje mnie, opierając policzek na dwóch palcach. Poza świadcząca o inteligencji. Ona chce, żebym powiedziała o wszystkim Rachel.

Ściągam dres. Koszulka przykleiła mi się do ciała. W szkole wciąż grzeją, nawet jeśli jest tak ciepło, że można uchylać okna. A okna właśnie potrzebuję. Mimo że bardzo narzekam na zimę, łatwiej jest mi oddychać zimnym powietrzem. Wślizguje mi się do płuc jak płynna rtęć i tak samo z nich wypływa. Kwiecień to wilgotna pora, błoto pośniegowe ciągle się topi albo pokapuje deszcz. Miesiąc mokrej, zatęchłej myjki.

Rogi moich obrazków zawijają się od wilgoci. Wydaje mi się, że zrobiłam jakieś postępy w całym tym zadaniu z drzewem. Podobnie jak Picasso przeszłam przez różne fazy. Najpierw *zagubienia*, kiedy sama nie wiedziałam, o co chodzi w moim zadaniu. Później *skretynienia*, gdy nie umiałabym ładnie narysować drzewa, nawet gdyby od tego zależało moje życie. A później *śmierci*, wtedy każde moje drzewo wyglądało jak po leśnej

pożodze albo ogarnięte zarazą. Teraz już jest lepiej, choć sama jeszcze nie wiem, jak nazwać tę fazę. Przez wszystkie te obrazki kryjówka wydaje się mniejsza. Może powinnam przekupić woźnego, żeby zaczął przechowywać wszystkie swoje rzeczy u mnie w domu. Dzięki temu mój pokój wyglądałby bardziej jak to miejsce. Bardziej jak prawdziwy dom.

Maya stuka mnie w ramię, ale nie reaguję. Wiem, no przecież wiem, ale i tak nie chcę tego wysłuchiwać. Muszę zrobić coś z Rachel, a raczej dla niej. Maya bezgłośnie podpowiada co. Waham się w nieskończoność. Rachel mnie znienawidzi (w sumie już mnie nienawidzi). Nie posłucha (ale i tak muszę spróbować). Jęczę, wrywając kartkę z zeszytu. Piszę liścik lewą ręką, by nie poznała, że jest ode mnie.

„Andy Evans cię wykorzysta. Nie jest taki, jakiego udaje. Słyszałam, że skrzywdził dziewczynę z pierwszej klasy. Uważaj, naprawdę uważaj.

~ Dobra dusza

PS: Przekaż to też Grecie-Ingrid”.

Nie chcę mieć na sumieniu dodatkowo szwedzkiej supermodelki.

BÓLE WZROSTOWE

Pan Freeman jest beznadziejny. Zamiast zostawić mnie samą, żebym mogła „odnaleźć swoją muzę” (to padło z jego ust, słowo daje), siada na krześle obok i zaczyna tyradę krytyki. Co jest niby nie tak z moim drzewem? Zalewa mnie milionem słów, które tylko opisują, jak bardzo jest beznadziejne. Sztywne, nienaturalne, nie wygląda na żywe. Obraza dla pozostałych przedstawicieli gatunku.

Ma rację – jest do kitu. Nie ma nic wspólnego ze sztuką – to zwykła wymówka, żeby nie zapisać się na lekcje szycia. Sala plastyczna to nie moje

miejsce, tak samo jak i nie jest nim grupka Marth albo różowy pokoik w domu. To lekcja dla prawdziwych artystów, takich jak Ivy. Idę z płytką linoleum do kosza i ciskam ją do niego na tyle mocno, że wszyscy aż odwracają głowy. Ivy marszczy brwi znad swojej druczanej robótki. Siadam z powrotem na swoim krześle i kładę głowę na stoliku. Pan Freeman wyciąga płytkę z kosza i przynosi mi ją razem z pudełkiem chusteczek. Skąd wiedział, że płaczę?

Pan Freeman:

– Robisz się coraz lepsza, ale to jeszcze nie jest to. Twoja praca wygląda jak drzewo, ale takie przeciętne, zwyczajne, ot takie sobie drzewko, jedno z wielu, jakie codziennie widzimy. Tchnij w nie życie. Niech się ugnie, to giętka roślina, nie złamie się w pół. Naznacz je, dodaj powyginaną gałąź – drzewa nigdy nie są idealne. Zresztą, nic nie jest. Wady są interesujące. Stań się drzewem.

Jego głos przypomina słodki jak miód głos pani przedszkolanki. Skoro myśli, że sobie poradzę, to spróbuję jeszcze raz. Powoli, powoli dotykam palcami nożyka do dłubania. Pan Freeman poklepuje mnie po ramieniu, a później odwraca się, by jeszcze kogoś unieszczęśliwić. Czekam, aż przestanie patrzeć, a później staram się wydłubać coś żywego w moim płaskim kawałku linoleum.

A może powinnam wyciąć je całe i nazwać pracę „Pustym blokiem”? Gdyby zrobiła tak jakaś sławna osoba, na pewno stałoby się to dziełem sztuki i sprzedało za miliony. W moim przypadku na pewno tylko bym to skopała. „Stań się drzewem” – co to w ogóle za rada. Pan Freeman chyba zbyt dużo czasu spędza z new age’owymi dziwakami. W przedstawieniu w drugiej klasie podstawówki byłam drzewem, bo kiepsko wychodziło mi granie owcy. Stałam na scenie z rozłożonymi ramionami, które robiły za gałęzie, a głowa kiwała mi się od wiatorku. Bolały mnie potem ramiona. Wątpię, że

którekolwiek drzewo usłyszało kiedyś, że ma „stać się powaloną licealistką”.

JAK W KAGAŃCU

Prawnik Davida Petrakisa spotkał się z panem Karczychem i jakimś szkolnym prawnikiem. Nietrudno zgadnąć, kto wygrał. Założę się, że gdyby David chciał, mógłby sobie odpuścić lekcje do końca roku, a i tak dostałby szóstkę. Oczywiście tego nie robi. Prawda jest jednak taka, że ilekroć David podnosi rękę, pan Karczycho pozwala mu mówić tyle, ile mu się żywnie podoba. David, wcześniej powściągliwy, teraz wygłasza długie, przeciągane, chaotyczne kazania na temat wiedzy o społeczeństwie. Reszta klasy jest mu wdzięczna. Chylimy czoła przed Wszechmocnym Davidem, dzięki któremu pan Karczycho nie zwraca na nas uwagi.

Niestety nauczyciel wciąż robi nam sprawdziany, a my większość z nich oblewamy, dlatego dostajemy drugą szansę: każdy, kto jest blisko niezaliczenia przedmiotu, może napisać dodatkowy esej na temat wpływu kultury na życie ludzi na przełomie wieków (odpuścił sobie Rewolucję Przemysłową, żeby wciągnąć nas w dwudziesty wiek). Nie chce widzieć nas wszystkich w letniej szkole.

Ja też nie chciałabym się tam z nim spotykać, więc piszę pracę o sufrażystkach. Zanim ten ruch pojawił się na świecie, kobiety były traktowane jak psy.

- Kobiety nie miały prawa głosu.
- Kobiety nie mogły posiadać ziemi.
- Kobietom nie wolno było uczyć się w szkołach.

Były jak lalki, które nie miały prawa do własnych pomysłów, opinii czy głosów. I nagle wkroczyły sufrażystki – panie o własnych poglądach, którymi głośno rzucały mężczyznom w twarz. Nieraz były aresztowane

i lądowały w więzieniach, ale nic nie było w stanie ich uciszyć. Buntowały się i buntowały, aż udało im się wywalczyć prawa, które należały im się od samego początku.

Piszę najlepszy esej w życiu. Każdy cytat z książki zapisuję w cudzysłowie i dodaję przypisy (przepisy?) Korzystam z książek, artykułów oraz filmów. Myślę nawet o tym, żeby odwiedzić jakąś starą sufrażystkę w domu opieki, ale dochodzę do wniosku, że pewnie i tak żadna już nie żyje.

Nawet oddaję pracę w terminie. Pan Karczycho posyła mi gniewne spojrzenie z góry i mówi:

– Żeby dostać ocenę, musisz zaprezentować wypracowanie przed całą klasą. Jutro, na początku lekcji.

Ja:

– ...

ŻADNEJ SPRAWIEDLIWOŚCI ANI SPOKOJU

Nie ma takiej opcji, żebym przeczytała pracę o sufrażystkach przed całą klasą. Tego nie było w planie. Pan Karczycho zmienił zasady w ostatniej, ostatniutkiej chwili, bo chce, żebym oblała, albo mnie nienawidzi. Ale hej, napisałam naprawdę dobre wypracowanie i nie dam sobą pomiatać takiemu beznadziejnemu nauczycielowi. Proszę Davida Petrakisa o radę i razem udaje nam się ułożyć idealny plan.

Wchodzę do klasy wcześniej, kiedy pan Karczycho wciąż jest w pokoju nauczycielskim. Piszę na tablicy potrzebne mi słowa i zakrywam je transparentem, którego nie powstydzilyby się protestujące sufrażystki. Stawiam na podłodze pudełko z punktu ksero. Pan Karczycho wchodzi do klasy i mamrocze pod nosem, że mogę zaczynać. Staję na środku wyprostowana i spokojna. Kłamstwo jak się patrzy – mam wrażenie, że

w brzuchu rozpętało mi się tornado. Palce u stóp zwijają mi się wewnątrz adidasów, jakby chciały wbić się w podłogę, żeby podmuch wiatru nie porwał mnie przez okno.

Pan Karczycho kiwa na mnie głową. Biorę do ręki wypracowanie, jakbym miała zamiar je odczytać. Stoję w bezruchu, tylko ręce mi drżą, jakby przez zamknięte drzwi wpływał do sali zimny wiatr. Odwracam się i zrywam plakat z tablicy.

„Sufrażystki walczyły o prawo głosu. Atakowano je, aresztowano i pakowano do więzień za to, że miały odwagę robić to, co chciały. Podobnie jak one, i ja mam zamiar walczyć o coś, w co wierzę. Nikt nie powinien być zmuszany do wygłaszania mów. Wybieram milczenie”.

Klasa czyta powoli, kilka osób nawet porusza ustami. Pan Karczycho obraca się, żeby zobaczyć, na co wszyscy się gapią, a ja kiwam głową do Davida. Dołącza do mnie na środku, a wtedy podaję mu pudełko.

David:

– Melinda, żeby zaliczyć dodatkową pracę, miała wygłosić ją przed całą klasą. Skserowała ją, żeby każdy mógł sobie przeczytać.

Zaczyna rozdawać kopie, które kosztowały mnie w sklepie z artykułami biurowymi 6 dolarów i 72 centy. Najpierw planowałam dodać do nich kolorową stronę tytułową, ale ostatnio nie dostałam zbyt dużego kieszonkowego, więc ograniczyłam się tylko do dodania tytułu na początku pierwszej strony.

Zamierzam stać przed klasą przez pięć minut, które dostałam na swoją prezentację. Sufrażystki też musiały wcześniej planować swoje protesty i odmierzać czas. Pan Karczycho postanawia jednak inaczej. Daje mi tróję i odprowadza do gabinetu dyrektora. Zapomniałam, że sufrażystki zamykano w więzieniach. Ech. Robię sobie wycieczkę po gabinecie pani pedagog, PryncyPola i kończę ją w KOZIE. Wracamy do tego, że mam problem

z dyscypliną.

Potrzebuję adwokata. W tym okresie każdego dnia przychodziłam do szkoły, siedziałam grzecznie na tyłku na każdej lekcji, odrabiałam większość zadań i nie oszukiwałam na sprawdzianach. I co? I tak wylądowałam w kozie. Co to znaczy karać za milczenie? To nie fair. Co oni w ogóle o mnie wiedzą? Albo o tym, co się dzieje w mojej głowie? Błyskawice, dziecięcy płacz. Przysypana lawiną, przyszpilona zmartwieniem, wijąca się pod ciężarem wątpliwości i winy. Strachu.

Ściany kozy wciąż są białe. Bestia Andy dziś się nie pojawił. Dzięki Bogu za małe dary. Są tu tylko: chłopak o włosach w kolorze limonki, który wygląda, jakby próbował kontaktować się z kosmitami, i dwie gotki w czarnych aksamitnych sukienkach i stylowo podartych rajstopach. Dziewczyny wymieniają tajemnicze uśmiechy godne Mony Lisy. Zerwały się ze szkoły, żeby stanąć w kolejce po bilety na zajebisty koncert. Koza to naprawdę niewielka cena za to, że udało im się zdobyć miejsca 21 i 22 w dziesiątym rzędzie.

Jestem ugotowana. Prawnicy w telewizji zawsze powtarzają swoim klientom, by nic nie mówili. Nawet gliniarze mówią coś w stylu: „Wszystko, co powiesz, może zostać użyte przeciwko tobie”. Samooskarżenie. Sprawdziłam to słowo w słowniku, potrójna premia słowna. To dlaczego wszyscy robią takie wielkie halo z tego, że nie mówię? Może nie chcę się pogrążyć. Może nie podoba mi się brzmienie własnego głosu. Może nie mam nic do powiedzenia?

Chłopak o jasnych włosach spada z krzesła i się budzi. Gotki rżą ze śmiechu. Pan Karczycho dłubie w nosie, kiedy myśli, że nie widzimy. Potrzebuję adwokata.

RADA OD PANA MĄDRALIŃSKIEGO

David Petrakis podrzuca mi liścik na wiedzy o społeczeństwie. Uważa, że to okropne, że moi rodzice nie nagrali lekcji pana Karczycha ani nie wstawili się za mną tak, jak zrobili to jego starzy. Miło, że ktoś mi współczuje, tym bardziej, że moi staruszkowie nawet nie wiedzą, co się stało. Pewnie dowiedzą się niedługo, na kolejnym spotkaniu z panią pedagog.

Myślę, że David powinien zostać sędzią. Jego ostatnim celem zawodowym jest zostanie geniuszem w zakresie fizyki kwantowej. Nawet nie wiem, co to w ogóle znaczy, ale chłopak mówi, że jego ojciec strasznie się wściekł. Myślę, że pan Petrakis ma rację – David jest stworzony do prawa: niewzruszony jak skała, o mózgu na turbodoładowanie, z idealnym wyczuciem słabych punktów ofiary.

David zatrzymuje się przy mojej szafce. Mówię mu, że pan Karczycho dał mi tróję za wypracowanie o sufrażystkach.

David:

– Miał trochę racji.

Ja:

– Ale moje wypracowanie było świetne! Sam je czytałeś. Dodałam nawet bibliografię i nie zerznęłam nic z encyklopedii. To było najlepsze wypracowanie w moim życiu. Nie moja wina, że pan Karczycho nie ogarnia, co to performance.

David w milczeniu oferuje mi gumę do żucia. Wiem, że to celowe działanie, opóźnienie, ale to właśnie kochają sędziowie.

David:

– Bo źle do tego podeszłaś. Sufrażystki przede wszystkim używały głosu, krzyczały o swoje prawa. Nie możesz walczyć o prawo do milczenia. W ten sposób zwyrole wygrywają. Gdyby sufrażystki zrobiły to, co ty, pewnie do tej pory kobiety nie mogłyby głosować.

Dmucham mu balonem z gumy prosto w twarz. Chłopak składa papierki

po gumie w małe trójkąci.

David:

– Nie zrozum mnie źle. Uważam, że zrobiłaś świetną rzecz, a to, że trafiłaś do kozy, naprawdę nie było w porządku. Ale nie oczekuj, że coś się zmieni, no chyba, że zaczniesz o siebie walczyć.

Ja:

– Wszystkich znajomych tak pouczasz?

David:

– Tylko tych, których lubię.

Przez chwilę żujemy w milczeniu. Rozlega się dzwonek. Cały czas szukam w szafce książki, choć wiem, że wcale jej tam nie ma. David po raz setny zerka na zegarek. Słyszymy donośny krzyk PryncyPola:

– Zmykajcie stąd, dzieciaki!

David:

– Może później do ciebie zadzwonię.

Ja:

– Może nie odbiorę. – Mlask, mlask. Dmuch-balon-pop. – A może odbiorę.

To jego sposób, żeby gdzieś mnie zaprosić? Nie wydaje mi się. Ale chyba jednak tak jest. Chyba odbiorę, jeśli do mnie zadzwoni, ale wybuchnę jak bomba, jeśli spróbuje mnie dotknąć, więc randka nie wchodzi w grę. Żadnego dotykania.

BESTIA CZYHA

Po lekcjach zostaję w szkole, żeby popracować jeszcze trochę nad szkicowaniem drzew. Pan Freeman przez chwilę mi pomaga. Dostaję od niego rulon brązowego papieru i kawałek kredy, a później pokazuje mi, jak

narysować drzewo trzema zamaszystymi ruchami. Nie dba o to, ile razy mi nie wyjdzie, mam tylko robić raz-dwa-trzy, „jak w walcu”. I tak w kółko. Zużywam kilometry papieru, ale nie ma nic przeciwko. Może właśnie stąd biorą się jego problemy z budżetem i radą szkoły.

Z małego głośniczka przy interkomie rozlega się trzask i głos Boży przypomina panu Freemanowi, że jest już spóźniony na radę pedagogiczną. Dostaję kolejną kredę i polecenie, bym popracowała nad korzeniami. W końcu żadne porządne drzewo bez nich nie wyrośnie.

Sala plastyczna to jedno z miejsc, w których czuję się bezpiecznie. Nuce sobie pod nosem i nie muszę się przejmować, że głupio przy tym wyglądam. Korzenie. Fuj. No, ale dobra, spróbuję. Raz-dwa-trzy, raz-dwa-trzy. Co mnie obchodzi jutro albo kolejna minuta. Raz-dwa-trzy.

Ktoś wyłącza światło, a ja natychmiast podrywam głowę do góry. TO jest tutaj. Bestia Andy. Małe królicze serce wyskakuje mi z piersi i pędzi szybko po kartce papieru, zostawiając krwawe ślady na korzeniach. Chłopak włącza światło z powrotem.

Czuję go. Muszę się dowiedzieć, gdzie kupuje perfumy. Nazywają się chyba „Stan lękowy”. Sytuacja zaczyna zmieniać się w jeden z tych okropnych, powtarzających się co noc koszmarów, kiedy spada się w dół, ale nigdy nie uderza o podłogę. Chociaż ten wygląda, jakbym właśnie przywaliła w ziemię z prędkością stu kilometrów na godzinę.

TO:

– Widziałaś może Rachele? Rachele Bruin?

Siedzę w zupełnym bezruchu. Może udałoby mi się wtopić między metalowe stoliki i drżące gliniane naczynia. Robi kilka powolnych, długich kroków w moim kierunku. Krztuszę się jego zapachem, przechodzą mnie ciarki.

TO:

– Miała się ze mną spotkać, ale nigdzie nie mogę jej znaleźć. Wiesz, o kim mówię?

Ja:

– ...

TO przysiada na moim stoliku, noga TEGO dotyka mojego rysunku i rozmazuje linie korzeni.

TO:

– Halo, jest tam kto? Ogłuchłaś?

TO wpatruje mi się w twarz. Zaciskam szczęki tak mocno, że zęby ścierają mi się w pył.

Zamarłam jak jeleń w świetle reflektorów ciągnika. Czy znowu mnie skrzywdzi? Nie, nie uda mu się, nie w szkole. A może? Czemu nie wrzeszczę, nie powiem czegoś, nie zrobię? Dlaczego jestem taka przerażona?

– Andy? Czekałam na zewnątrz.

Rachel wpływa do pokoju ubrana w pseudoartystyczną cygańską spódnicę i naszyjnik o szkiełkach wielkości oczu. Robi kwaśną minę, a Andy zeskakuje ze stolika, rozrywając przy tym mój kawałek papieru i posyłając wszędzie kawałki kredy. Ivy przechodzi przez drzwi i przypadkowo wpada na Rachel. Zamiera, jakby instynktownie czuła, że dzieje się coś niedobrego, a później ściąga z półki swoją pracę i zajmuje miejsce obok mnie. Rachel posyła mi spojrzenie, ale nie odzywa się słowem. Pewnie dotarł do niej mój liścik – wysłałam go jakiś tydzień temu. Wstaję. Rachel macha nam krótko na pożegnanie i rzuca:

– Ciao.

Andy otacza ją ramieniem w talii i przyciąga do siebie, kiedy wychodzą z klasy. Ivy mówi coś do mnie, ale dopiero po chwili ją słyszę.

– Co za pajac – mówi, uciskając glinę. – Nie wierzę, że z nim chodzi, a ty? Wydaje mi się, że w ogóle już jej nie znam. A on to same kłopoty. – Rzuca

kawałek gliny na stolik. – Uwierz mi, ten świr to kłopoty przez duże K.

Chętnie zostałabym dłużej na ploteczki, ale stopy mi na to nie pozwalają. Zamiast wsiąść do autobusu, wracam do domu pieszo. Otwieram kluczem frontowe drzwi i nie zdejmując nawet plecaka, wchodzę do swojego pokoju. Przekraczam dywanik i idę prosto do szafy. Kiedy zamykam za sobą jej drzwi, chowam twarz w ubraniach po lewej stronie wieszaka. W ubraniach, które już od dawna na mnie nie pasują. Dociskam usta do starego materiału i wrzeszczę tak długo, aż nie słyszę pod skórą żadnego dźwięku.

CHOROBOWE

Nadszedł czas na dzień zdrowia psychicznego. Jak nic potrzebuję całodniowego piżama party z zajadaniem się lodami prosto z pojemniczka, malowaniem paznokci u stóp i oglądaniem jakichś śmieciowych programów w telewizji. Taki dzień trzeba zaplanować wcześniej – nauczyłam się tego z podsłuchanej rozmowy między mamą a jej koleżanką, Kim. Mama zawsze zaczyna udawać chorobę dwie doby wcześniej. Ona i Kim robią sobie razem takie dni. Kupują buty i idą do kina. Nowatorskie wykroczenie wśród dorosłych. Dokąd ten świat zmierza?

Nie jem obiadu ani deseru, a w czasie wiadomości kaszlę tak bardzo, że aż tata każe mi zażyć jakiś syrop na kaszel. Rano rozmazuję sobie tusz pod oczami, żeby wyglądało, jakbym nie spała całą noc. Mama mierzy mi temperaturę – okazuje się, że mam gorączkę. Sama jestem zaskoczona. Jej zimna dłoń jest na moim czole jak wysepka.

Wykrztuszam z siebie słowa, nim w ogóle jestem w stanie się powstrzymać.

Ja:

– Źle się czuję.

Mama poklepuje mnie po plecach.

Mama:

– Odezwałaś się, więc chyba rzeczywiście jesteś chora.

Sama zdaje sobie sprawę z tego, jak wrednie to zabrzmiało. Odchrząkuje i próbuje jeszcze raz.

Mama:

– Przepraszam. Miło znów słyszeć twój głos. Wracaj do łóżka, przyniosę ci coś do jedzenia, zanim wyjdę. Masz ochotę na napój imbirowy?

Kiwam głową.

OPRAH, SALLY JESSY, JERRY I JA

Mam 38,9 stopni gorączki To brzmi trochę jak namiary na stację radiową. Mama dzwoni, żeby mi przypomnieć, żebym dużo piła. Wykrztuszam z siebie „dziękuję”, chociaż każde słowo rani moje gardło. Miło, że do mnie zadzwoniła. Obiecuje, że kupi mi po pracy kilka lodów na patyku. Rozłączam się i rozsiadam wygodnie na kanapie z pilotem w ręce. Klik, klik, klik.

Gdyby zmienić moje życie w program telewizyjny, o czym mógłby być? Jeśli byłby jakiś serial o szkole, mogłabym w auli opowiedzieć kolegom o tym, jak nie stracić dziewictwa. Albo dlaczego uczniów ostatniej klasy powinno się zamykać. Albo jeszcze lepiej, o moich wakacjach: pijackiej imprezie, kłamstwach i gwałcie.

Czy to był gwałt?

Oprah:

– Pomyślmy o tym przez chwilę. Powiedziałaś „nie”. Zatkał ci usta dłonią. Miałaś trzynaście lat. Nieważne, że byłaś pijana. Kochanie, zostałam zgwałcona. Co za okropne, okropne przeżycie. Nie chciałaś nikomu o tym

powiedzieć? Nie możesz tego wiecznie w sobie trzymać. Czy ktoś może podać jej chusteczkę?

Sally Jessy:

– Życzę sobie, żeby ten chłopak poniósł odpowiedzialność za swoje czyny. Jest winny ataku. Bo zdajesz sobie sprawę z tego, że to był atak na ciebie, prawda? To nie była twoja wina. Posłuchaj mnie bardzo, bardzo, bardzo uważnie: to nie była twoja wina. To zwierzę, a nie chłopiec.

Jerry:

– Czy to była miłość? Nie. Czy to było pożądanie? Nie. Czuły, słodki pierwszy raz, o których rozpisuje się w magazynach dla nastolatek? Nie, nie, nie, nie! Mów głośniej, Mirindo, eee, Melindo, no, nie słyszę cię!

Głowa zaraz pęknie mi z bólu, gardło piecze żywym ogniem, a w żołądku pływają toksyczne odpadki. Po prostu chcę zasnąć. A jeszcze lepiej – zapaść w śpiączkę. Albo dostać amnezji. Cokolwiek, byle tylko pozbyć się z mózgu tych myśli i szeptów. Głowę też mi zgwałcił?

Zażywam dwie tabletki przeciwbólowe i zjadam pudding, a później zasypiam podczas oglądania *Piotrusia Pana*. Wycieczka do Nibylandii pewnie byłaby dobrym pomysłem. Może mogłabym zatrzymać się w domku, który Zagubieni Chłopcy zbudowali dla Wendy.

NADESZŁA PRAWDZIWA WIOSNA

W końcu nadszedł maj i przestało padać. To dobrze, bo burmistrz Syracuse zbierał się już do tego, żeby zadzwonić do gościa o imieniu Noe. Maślanożółte słońce wychyla się zza chmur i ciepłem nakłania tulipany do przebijania się przez zaschnięte błoto. Istny cud.

Nasz ogródek przypomina pobojowisko. Wszyscy sąsiedzi chwalą się ogrodami rodem z okładek gazet, drogie białe głazy podsypali świeżą ziemią,

nawet kwiaty pasują im do okiennic, a co z naszym? U nas zielone krzaki prawie całkowicie przesłoniły okna i cały niby-trawnik pokrywają zasuszone liście.

Mamy już nie ma. Sobota to dzień największego utargu w Effert's. Tata pochrapuje na górze. Zakładam stare dżinsy i wyciągam z garażu grabie. Zaczynam od liści podduszających krzaki. Daję sobie rękę uciąć, że tata nie grabił ich od lat. Może i wyglądają na suche i niegroźne, ale od spodu są mokre i śliskie. Na wszystkich siadła już biała pleśń. Trzymają się w kupie jak sflaczałe kartki w rozkładającej się książce. Zagrabiłam je już na jedną kupkę z przodu domu, a wciąż jest ich mnóstwo, zupełnie jakby ziemia nimi wymiotowała, kiedy nie patrzę. Muszę walczyć z krzakami. Co chwila zaczepiam o nie grabiami – chyba nie podoba im się, że sprzątam całą tę zgniliznę.

Zajmuje mi to godzinę, ale w końcu grabie drapią już o wilgotne, brązowe błotko. Opadam na kolana, żeby sięgnąć za siebie po ostatnie liście. Pani Keen byłaby ze mnie dumna. Teraz zaczynam obserwację. Wykopane z ziemi robaki uciekają w popłochu przed słońcem. Bładozielone pędy czegoś żywego w końcu uwolniły się od liści i teraz wyciągają się ku promieniom. Rosną na moich oczach, słowo daję.

Drzwi do garażu otwierają się i tata wycofuje z niego jeepa. Na mój widok zatrzymuje się na podjeździe. Gasi silnik i wysiada z samochodu. Wstaję z kolan, otrzepując brud z dżinsów. Mam poprzecinane dłonie, a ramiona bolą mnie od grabienia. Sama nie wiem, czy tata nie jest przypadkiem na mnie zły. Może wolał, kiedy przód domu wyglądał jak kupa?

Tata:

– Całkiem sporo tu zrobiłaś.

Ja:

– ...

Tata:

– Kupię w sklepie jakieś worki na te liście.

Ja:

– ...

I stoimy tak z ramionami skrzyżowanymi na piersi, obserwując, jak małe kępki traw próbują rosnać w cieniu krzaków, które wciąż pożerają nasz dom. Słońce chowa się za chmurą i aż drzę z nagłego chłodu. Powinnam była założyć sweter. Wiatr szeleści między resztką uschniętych liści na dębach rosnących przy ulicy. Myślę tylko o tym, że kiedy opadną, znowu będę musiała je zagrabić.

Tata:

– Ogród wygląda lepiej. To znaczy, kiedy jest czysty.

Wiatr znowu dmucha, a liście szeleszczą.

Tata:

– Powinienem chyba przyciąć krzewy, ale wtedy odsłonię okiennice i trzeba będzie je pomalować. A jeśli pomaluję te, to będę musiał machnąć i resztę, no i przystrzyc żywopłot. I zająć się drzwiami.

Ja:

– ...

Drzewo:

– Szszszszszszzzzzzzzzzz....

Tata odwraca się, żeby posłuchać szumu drzew. Nie jestem pewna, co teraz.

Tata:

– To drzewo jest chore. Gałęzie po lewej stronie nie mają żadnych pączków, widzisz? Zadzwońię po kogoś, żeby na to spojrzął, bo nie chcę, żeby zważyło ci się do pokoju w czasie burzy.

No dzięki, tato, jakbym już teraz nie miała wystarczająco dużo problemów

z zasypianiem. Zmartwienie numer 64: spadające konary. Nie powinnam była niczego grabić, proszę bardzo, co wywołałam. Nie powinnam była próbować niczego nowego, tylko zostać w domu i oglądać kreskówki, i zjeść ogromną miskę cheeriosów. Albo siedzieć w swoim pokoju. Albo we własnej głowie.

Tata:

– Wybieram się do marketu budowlanego, masz ochotę pojechać ze mną?

Market budowlany. Trzydzieści tysięcy metrów kwadratowych nieogolonych mężczyzn i kobiet o rozżarzonych oczach poszukujących idealnego śrubokręta, środków chwastobójczych i grillów na gaz wulkaniczny. Ten huk. Te światła. Dzieciaki biegające wzdłuż alejek z siekierami, toporkami i piłami. Ludzie walczący przy wyborze koloru łazienki. Chyba sobie podaruję.

Potrząsam głową w odpowiedzi. Sięgam po grabie i staram się zrobić z liści ładniejszą kupkę. Pęka mi jeden z pęcherzyków na dłoni, paskudzi rączkę od grabi jak łąza. Tata kiwa głową i wraca do jeepa, podrzucając kluczyki. Na jednej z niższych gałęzi dębu siada drozd i patrzy na mnie z nagną. Wypluwam z gardła zatykające je liście.

Ja:

– A mógłbyś kupić jakieś nasiona? Kwiatów?

BŁĄD!

Pani Connors, wuefistka, uczy nas gry w tenisa. To jedyny sport, który nie wydaje się kompletną stratą czasu. Koszykówka byłaby super, gdyby chodziło tylko o rzuty wolne, ale przez większość czasu trzeba obijać się i przepychać z dziewiątką innych ludzi, no i biegać. Tenis jest bardziej ucywilizowany. Do gry potrzeba tylko dwóch osób, no chyba, że gra się debla, ale na to nigdy się nie zgadzam. Reguły są dość proste, co kilka minut

masz chwilę, żeby złapać oddech, no i okazję do popracowania nad opalenizną.

Nauczyłam się grać już jakiś czas temu, kiedy któregoś lata rodzice dostali próbne karty członkowskie w fitness clubie. Mama zapisała mnie na lekcje i kilka razy grałam z tatą, aż do momentu, kiedy stwierdzili, że opłaty miesięczne są za wysokie. Gdy okazało się, że całkiem nieźle radzę sobie z rakieta, pani Connors przydzieliła mnie do pary z Boginią Sportowych Świrów, Nicole, żebyśmy pokazały reszcie klasy, jak powinna wyglądać gra.

Serwuję jako pierwsza, wychodzi mi całkiem nieźle zagranie, dość szybkie. Nicole odpowiada z bekhendu. Przez jakiś czas odbijamy sobie w tę i z powrotem, ale w pewnym momencie pani Connors przerywa nam gwizdem i zaczyna wyjaśniać dziwny system punktowy, w którym liczby nie mają najmniejszego sensu, a miłość się nie liczy.

Kolejny serw należy do Nicole. Udaje się jej idealnie, piłeczka z prędkością jakichś 145 kilometrów na godzinę cmoka kort tuż przed linią, zanim w ogóle robię jakikolwiek ruch. Pani Connors chwali Nicole, a ta szeroko się uśmiecha.

Ja nie.

Jestem gotowa na kolejny serw i tym razem daję jej popalić. Wuefistka mówi mi coś miłego, a Nicole zaczyna poprawiać siatkę na rakiecie. Moja kolej.

Odbijam piłeczkę kilka razy. Nicole przeskakuje z nogi na nogę – dla niej żarty się skończyły. Jej duma i kobiecość są zagrożone,. Nie ma zamiaru dać się pokonać jakiejś niemej świrusce, z którą kiedyś się przyjaźniła. Pani Connors każe mi serwować.

Uderzam rakieta w piłeczkę i posyłam ją Nicole prosto w wyszczerzone, ukryte za fioletowym ochraniaczem zęby. Usuwa się z drogi.

Pani Connors:

– Błąd!

Cała klasa chichocze.

Przekroczyłam linię. Wysunęłam złą stopę do przodu, jeden palec wyszedł na kort. Dostaję drugą szansę – kolejna cywilizowana zasada w tenisie. Odbijam żółtą piłeczkę, raz, dwa, trzy. Podrzucam ją do góry, jakbym uwalniała ptaszka albo jabłko, po czym unoszę ramię, obracam ramieniem, zbieram w sobie całą siłę i wściekłość, nie zapominając przy tym o celu. Rakietka zaczyna żyć własnym życiem, zmienia się w błyskawicę. Piłka, uderzona z całą mocą, ląduje w ziemi i zostawia w niej krater, zanim Nicole w ogóle mrugnie. Przelatuje obok niej i uderza w płot tak mocno, że aż cały się trzęsie. Tym razem nikt się nie śmieje.

Nie ma błędu, zdobywam punkt. Koniec końców Nicole i tak wygrywa, ale bez większej przewagi. Cała reszta dziewczyn psioczy na pęcherze. Ja po pracy w ogrodzie dorobiłam się odcisków. Jestem na tyle twarda, żeby grać, i na tyle silna, żeby wygrać. Może poproszę tatę, żeby kilka razy ze mną zagrał. Jeśli udałoby mi się kogoś w czymś pokonać, to byłoby jedyne zwycięstwo po tak beznadziejnym roku szkolnym.

ROCZNIKI

Do szkoły dotarły roczniki. Wygląda na to, że wszyscy prócz mnie ogarniają, o co chodzi w tym rytuale. Łapiesz każdego, kto wygląda choć trochę znajomo i zmuszasz go do tego, by napisał ci w roczniku, że byliście najlepszymi przyjaciółmi, nigdy o sobie nie zapomnicie, zawsze będziecie pamiętać o _____ (uzupełnij rubryczkę) i w ogóle najlepszych wakacji w życiu. Nie zmieniaj się.

Na stołówce obserwuję, jak jakieś dzieciaki proszą o podpis nawet panie z kuchni. Co niby mają im tam wpisać? „Oby twój chickenburger nigdy nie

gdakał”? Albo lepiej: “Niech galaretka zawsze ci się trzęsie”?

Cheerleaderki wypracowały sobie jakiś dziwny system grupowego szwendania się po korytarzu z długopisami w dłoniach, żeby zdobywać podpisy od pracowników szkoły i innych uczniów. Czuję wokół delikatny swąd rywalizacji. Jak nic liczą, ile udało im się zbierać.

Wygląd rocznika rozwiewa wątpliwości co do innej zagadki z liceum: dlaczego wszystkie popularne dziewczyny wytrzymują obleśne zachowanie Todda Rydera. Świnia z niego – wstrętny, obleśny, ordynarny prosiak, idealny nabytek do studenckiego bractwa. A jednak wszystkie szkolne celebrytki mu się podlizywały. Dlaczego?

Bo to Todd Ryder robił zdjęcia do rocznika.

Wystarczy przerzucić kilka kartek i od razu widać, kto się wkupił w jego łaski. Bądź miła dla Todda, a zrobi ci takie fotki, że lada dzień odezwie się do ciebie agencja modelek. Wkurz Todda, a będziesz wyglądać jak tłustowłosa uchodźca, mieszkający w kamperze.

Gdybym prowadziła liceum, sprawy takie jak ta wyjaśniałabym już pierwszego dnia na oficjalnym rozpoczęciu roku szkolnego. Nie rozumiałam potęgi Todda. Trzasnął mi jedną fotkę, kiedy uciekałam od obiektywu w kluchowatym zimowym płaszczu, zatykając uszy rękami.

Nie planuję kupować w tym roku rocznika.

KONIEC Z KUDŁATĄ

Kudłata ścięła się na jeża. Jej włosy są jak nowa odmiana futerka na głowie, sterczą i nie są dłuższe niż półtora centymetra. Zrezygnowała z farbowanej pomarańczy – postawiła na czerni. Kupiła też nowe okulary w fioletowych oprawkach, które wiszą na zdobionym łańcuszku.

Nie wiem, jak do tego doszło. Zakochała się? Rozwiodła? Wyprowadziła

z piwnicy w domu rodziców? Zwykle nie myśli się o rodzicach nauczycieli, ale z pewnością jakichś mają.

Niektórzy mówią, że zmieniła wygląd specjalnie, żeby rozkojarzyć nas w trakcie pisania ostatniego eseju, ale czy ja wiem? Dała nam wybór: mogliśmy napisać albo o symbolice w komiksach, albo jak opowieści zmieniły nasze życie. Myślę, że tu chodzi o coś więcej, na przykład o to, że znalazła dobrego psychiatrę, a może udało jej się wydać książkę, którą pisała od stworzenia świata. Ciekawe, czy będzie uczyć w letniej szkole.

KILKA SŁÓW NA ŚCIANIE

Na plastyce Ivy siedzi przy moim stoliku, a z jej koczka wystają cztery otwarte kolorowe markery. Wstaję, ona odwraca głowę i ta-dam: mam tęczę na koszulce. Przeprasza mnie chyba z milion razy. Gdyby to był ktoś inny, uznałabym to za celowe działanie, ale ostatnio całkiem przyjaźnie się do siebie z Ivy odnosimy. Nie sądzę, że chciała być złośliwa.

Pan Freeman pozwala mi wyjść do łazienki, żebym spróbowała zetrzeć ślady. Muszę wyglądać jak pies ganiający za własnym ogonem, bo okręcam się i obracam, żeby zobaczyć w lustrze ślady na plecach. Drzwi otwierają się szeroko – Ivy. Unoszę dłoń, kiedy otwiera usta.

– Nie mów tego więcej. Wiem, że ci przykro. To był wypadek.

Pokazuje palcem na markery, które wciąż ma we włosach.

– Zatkanam je, pan Freeman mi kazał. Wysłał mnie tu, żeby sprawdzić, jak sobie radzisz.

– Martwi się o mnie?

– Raczej chce się upewnić, że nie uciekniesz. Słyszysz już z tego, że lubisz sobie gdzieś zawędrować.

– Nie w czasie lekcji.

– Zawsze musi być ten pierwszy raz. Idź do kabiny i podaj mi górą swoją koszulkę. Nie zmyjesz tego z bluzką na sobie.

Myślę, że PryncyPolo powinien zrobić sobie gabinet w łazience. Może wtedy zatrudniłby kogoś do sprzątanania albo jakiegoś uzbrojonego ochroniarza, żeby nie pozwalał ludziom zatykać kibelka, palić tu albo pisać po ścianach.

– Znasz jakąś Alexandrę? – pytam.

– Chyba nie. – Głos Ivy zagłusza strumień wody. – Chociaż kojarzę chyba jakąś z klasy wyżej. A co?

– Z tego, co tu widzę, to wkurzyła całkiem sporo ludzi. Ktoś napisał ogromnymi literami, że jest dziwką, a reszta dodała coś od siebie. Przespała się z tym, przespała się z tamtym i jeszcze z całą grupą kolesi. Obrotna jest jak na drugoklasistkę.

Ivy nie odpowiada. Zerkam przez szparę między drzwiami a ścianą. Otwiera pojemnik na mydło i moczy w nim moją koszulkę, a później próbuje sprać ślady. Przechodzi mnie dreszcz. Stoję w przeraźliwie zimnej kabinie w samym staniku, niezbyt czystym swoją drogą. Ivy unosi koszulkę, żeby jej się lepiej przyjrzeć, krzywi się i jeszcze raz próbuje ją zaprać. Chcę wziąć głęboki wdech, ale za bardzo tu śmierdzi.

– Pamiętasz, jak mi powiedziałaś, że Andy Evans to same kłopoty?

– Jasne.

– Czemu tak myślisz?

Wypłukuje koszulkę z mydła.

– Tak się o nim mówi. Interesuje go tylko jedno i jeśli wierzyć plotkom, zrobi wszystko, by to dostać, dosłownie wszystko. – Wykręca materiał.

Odgłos ociekającej wody odbija się echem od płytek.

– Rachel z nim chodzi – mówię.

– Wiem. To kolejna rzecz na liście głupot, które w tym roku zrobiła. Co

ona o nim mówi?

– Nie rozmawiamy za bardzo ze sobą – odpowiadam.

– Chciałaś chyba powiedzieć, że suka z niej. Myśli, że jesteśmy gorsze od niej.

Ivy wciska srebrny przycisk na suszarce i unosi do niej bluzkę, ja w tym czasie jeszcze raz czytam napisy na ścianie.

„<3 Derek”, „Pan Karczycho gryzie”, „Nienawidzę tej budy”, „Syracuse wymiata”, „Syracuse ssie”. Cała lista ślicznotek, pajaców i ośrodków narciarskich w Colorado, do których wszyscy chcieliby jechać. Wryte kluczami numery telefonów. Długie rozmowy na ścianach kabiny. To jak społeczny czat, metalowa gazeta.

Proszę Ivy o jeden z jej markerów. Podaje mi go razem z wciąż wilgotną koszulką.

– Chyba będziesz musiała namoczyć ją w wybielaczu. Po co ci marker?

Ściągam zatyczkę zębami. Rozpoczynam na ścianie kolejny temat do rozmów: *Od tych facetów trzymać się z daleka*. Pierwszy nazwisko to jego wysokość bestia: *Andy Evans*.

Otwieram drzwi z szerokim uśmiechem.

– Ta-da! – Wskazuję palcem na swoje dzieło.

Ivy szczyrzy się w odpowiedzi.

PRZYGOTOWANIA DO BALU

Zbliża się już punkt kulminacyjny sezonu godowego – bal na zakończenie roku. Rada szkoły powinna odwołać lekcje w tym tygodniu. Jedyne, czego się dowiadujemy, to kto idzie z kim (to narzędnik? Muszę podpytać Kudłatą), kto kupił sukienkę aż na Manhattanie, kierowcy limuzyn z jakiej firmy nie podkablują, że dzieciaki się upiły, gdzie dostać najdroższy garnitur i tak

dalej, i tak dalej. Plotki powodują takie napięcie, że byłyby w stanie zapewnić prąd szkole aż do końca semestru. Nauczyciele ciągle chodzą wkurzeni – dzieciaki nie oddają zadań na czas, bo spędzają go mnóstwo w solarium.

Bestia Andy zaprosił Rachel, by z nim poszła. Nie mogę uwierzyć, że matka jej na to pozwoliła, ale z drugiej strony może to dlatego, że idą tam razem z bratem Rachel i jego dziewczyną. Rachel to jedna z nielicznych pierwszoklasistek, które zaproszono na bal ostatnich klas – jej społeczny status zaliczył niezły skok. Albo nie dostała mojego liściku, albo postanowiła kompletnie go zignorować. A może pokazała go Andy’emu i mieli razem niezły ubaw? Może nie wpakuje się w takie bagno jak ja, może Andy akurat jej posłucha. I może powinnam przestać cały czas o tym myśleć, zanim zwariuję.

Heather postanowiła wrócić do mnie z podkulonym ogonem po pomoc. Moja mama nie może w to uwierzyć: żywa, oddychająca przyjaciółka czeka na ganku na jej nieprzystosowaną społecznie córkę. Wyrywam dziewczynę z jej szponów i wycofujemy się do mojego pokoju. Wszystkie króliczki wyściubiają noski ze swoich nerek – różowy, fioletowy, a nawet ten kraciasty od babci. Są równie podekscytowane co mama. W końcu jakieś towarzystwo! Widzę swój pokój oczami Heather, zielonymi od soczewek koloryzujących. Nic nie mówi, ale wiem, że według niej wygląda głupio przez te setki pluszaków, jak sypialnia dziecka. Mama puka do drzwi z ciasteczkami w rękach. Mam ochotę spytać, czy na pewno dobrze się czuje. Podaję paczkę Heather, ta wyciąga jedno ciastko i zaczyna skubać jego krawędzie. Żeby zrobić jej na złość, od razu chwytam pięć. Kładę się na łóżku, przyszpilając króliczki do ściany. Heather delikatnie spycha z krzesła stos brudnych ubrań i usadza na nim swój chudy tyłek. Czekam.

Zaczyna od łzawej historyjki, jak to nienawidzi być marthabotem. Praca

przymusowa byłaby lepsza. Pomiatają nią tylko i wykorzystują. Przestała mieć same szóstki, bo cały wolny czas spędza na pracy nad podniesieniem swojego statusu wśród Marth. Jej ojciec zaczyna myśleć o przyjęciu pracy w Dallas, a ona tak naprawdę nie miałaby nic a nic przeciwko jeszcze jednej przeprowadzce, bo słyszała, że ludzie na południu nie są aż tak zarozumiali, jak wszyscy tutaj.

Jem więcej ciasteczek i staram się stłumić szok, wywołany gościem w moim pokoju. Prawie wykopuję ją za drzwi, bo już przeczuwam, jak strasznie się poczuje, kiedy znowu nikogo tu nie będzie. Heather stwierdza, że byłam mądra:

– ... taka mądra, Mel, że olałaś ten głupi klan. Cały ten rok był dla mnie okropny, nienawidzę każdego dnia, ale nie miałam na tyle odwagi, żeby się z tego wyplątać tak jak ty.

Całkowicie olewa fakt, że tak naprawdę nigdy nie byłam częścią tej grupy, to ona mnie olała i pozbawiła choćby cienia marthowego blasku. Zaczynam mieć wrażenie, że za sekundkę do pokoju wpadnie mi facet w lawendowym garniturze z mikrofonem i wrzaśnie: „Oto kolejny moment rzeczywistości alternatywnej, który dostałaś od dorastania!”

Nie rozumiem, co ona tu tak właściwie robi. W końcu zlizuje okruszek ze swojego ciasteczka i wszystko wyjaśnia. Razem z resztą Marth z najmłodszej klasy mają udekorować salę w hotelu Holiday Inn na bal. Oczywiście Meg & Emily & Siobhan nie mogą im pomóc – czekają ich wizyty u manicurzystki i wybielanie zębów. Garstkę uprzywilejowanych pierwszoklasistek dopadła mononukleoza, przez co Heather została sama. I jest bardzo zdesperowana.

Ja:

– Musisz sama zrobić dekoracje? Do sobotniego wieczoru?

Heather:

– Tak właściwie to możemy zacząć dopiero w sobotę o piętnastej, bo

wcześniej w hotelu odbywa się jakieś głupie spotkanie sprzedawców Chryslera. Ale jestem pewna, że damy radę, spytałam jeszcze inne dziewczyny. Wiesz może, kto jeszcze mógłby nam pomóc?

Tak szczerze to nie, ale zagryzam wargę i staram się wyglądać na pogrążoną w myślach. Heather interpretuje to jednak jak zgodę na to, że i ja chętnie pomogę. Aż zeskakuje z krzesła.

Heather:

– Wiedziałam, że pomożesz. Jesteś wspaniała. Wiesz co? Wiszę ci ogromną przysługę. Może wpadnę do ciebie w przyszłym tygodniu i pomogę ci zmienić wystrój pokoju?

Ja:

– ...

Heather:

– Mówiłaś mi chyba kiedyś, że go nienawidzisz. No cóż, teraz rozumiem dlaczego. Musi być strasznie budzić się codziennie w takim depresyjnym miejscu. Wyrzucimy wszystkie graty – kopie króliczka z włóczki, śpiącego na podłodze na moim szlafroku – i pozbędziemy się tych zasłon. Może wybrałybyśmy się razem na zakupy... Czy mama dałaby ci swoją kartę kredytową? – Odsuwa zasłony na jedną stronę. – No i przede wszystkim umyjemy okna. Potrzeba ci morskiej zieleni albo szałwi, szyku i kobiecości.

Ja:

– Nie.

Heather:

– O, chciałabyś coś odważniejszego? Bakłazan albo kobalt?

Ja:

– Nie, nie zdecydowałam się jeszcze na konkretny kolor, ale nie o to mi chodziło. Nie, nie pomogę ci.

Heather znów opada na krzesło.

– Ale musisz mi pomóc.

Ja:

– Nie, nie muszę.

Heather:

– Ale dlaczeeeeegooo?

Przygryzam wargę. Czy naprawdę chce poznać prawdę? Że jest zimna i samolubna? Że mam nadzieję, że dostanie ochrzan od wszystkich z ostatniej klasy? Że nienawidzę morskiej zieleni i w sumie to nie jej sprawa, czy mam brudne okna? Czuję na plecach maleńkie królicze noski. Proszę, żebym była miła. Skłamała.

Ja:

– Mam już inne plany. Przychodzi jakiś facet, żeby zająć się dębem z przodu domu, mam do przekopania cały ogródek, a poza tym wiem już, co chcę zmienić w swoim pokoju, i bakłazan w ogóle nie wchodzi w grę.

Połowa z tego to prawda, reszta wymaga dopracowania. Heather brzydło się krzywi. Otwieram brudne okno, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza. Wiaterek odsuwa mi włosy z twarzy. Mówię Heather, że powinna już sobie pójść, bo muszę posprzątać w pokoju. Wpycha sobie ciasteczko do ust i wychodząc, nawet nie żegna się z moją mamą. Co za gówniara.

KOMUNIKACJA DLA POCZĄTKUJĄCYCH

Jestem na fali. Wymiatam. Sama nie wiem, o co chodzi – może to dlatego, że postawiłam się Heather i zasadziłam kaczeńce w ogrodzie, a może przez wyraz twarzy mamy, kiedy zapytałam, czy pomogłaby mi przemeblować pokój. Nadszedł czas na siłowanie się na rękę z własnymi demonami. Nadwyżka słońca po zimie w Syracuse uderza do sprawy i sprawia, że czujesz się silna, nawet jeśli tak naprawdę nie jesteś.

Muszę porozmawiać z Rachel. Nie mogę tego zrobić na algebrze, a Bestia czeka na nią po angielskim. Dobrze, że w tym samym czasie mamy przerwę na naukę indywidualną. Bingo. Natykam się na nią w bibliotece. Mruży oczy nad książką z małą czcionką – jest zbyt próżna, żeby kupić sobie okulary. Nakazuję sercu, żeby nie uciekło sprintem na korytarz, i siadam obok niej. Żadnych eksplozji – to dobry znak.

Spogląda na mnie bez wyrazu. Rzucam jej uśmiech w rozmiarze M.

– Hej – mówię.

– Hmm – odpowiada.

Nie wygina ust, nie pokazuje wulgarnych gestów. Idzie niezłe. Zerkam na książkę, którą przepisuje słowo w słowo. To coś o Francji.

Ja:

– Zadanie domowe?

Rachel:

– Coś w tym stylu. – Stuka ołówkiem o blat. – W te wakacje wyjeżdżamy z Kółkiem Międzynarodowym do Francji. Musimy napisać esej, żeby udowodnić, że jesteśmy poważni.

Ja:

– To świetnie. Zawsze mówiłaś, że chcesz podróżować, nawet kiedy jeszcze byłyśmy małe. Pamiętasz, jak w czwartej klasie przeczytałyśmy *Heidi* i próbowałyśmy roztopić ser u ciebie w kominku?

Wybuchamy trochę zbyt głośnym śmiechem. To nie do końca śmieszna historia, ale chyba obydwie się denerwujemy. Bibliotekarka kiwa na nas palcem. Złe uczennice, złe, złe. Żadnego śmiechu. Patrzą na bazgroły Rachel. Nic szczególnego – kilka informacji o Paryżu, ozdobionych rysunkiem Wieży Eiffla, serduszkami i inicjałami: R.B + A.E. Fuj.

Ja:

– To naprawdę z nim chodzisz? Z Andym? Słyszałam o balu.

Rachel uśmiecha się słodko jak miód. Przeciąga się, jakby samo wspomnienie o nim budziło wszystkie jej mięśnie i trzepotanie w żołądku.

– Jest świetny – odpowiada. – Taki wspaniały, niesamowity i smakowity.

Przerywa. W końcu mówi do trędowatej z wioski.

Ja:

– Co zrobisz, kiedy pójdziesz na studia?

Oj, strzała prosto w czuły punkt. Chmury przesłaniają słońce.

– Nawet nie chcę o tym myśleć, to za bardzo boli. Ma poprosić rodziców, żeby pozwolili mu się przenieść z powrotem tutaj. Może studiować w La Salle albo w naszym mieście. Poczekam na niego.

Błagam, oszczędź mi tego.

Ja:

– Ale jesteście ze sobą jakieś dwa tygodnie? Góra trzy?

Przez bibliotekę przepływa zimny front. Rachel prostuje się i z trzaskiem zamyka zeszyt.

– Czego ty w ogóle ode mnie chcesz?

Bibliotekarz doskakuje do nas, zanim mam w ogóle szansę odpowiedzieć. Możemy albo dokończyć naszą rozmowę w gabinecie dyrektora, albo zostać i siedzieć cicho. Nasz wybór. Wyciągam zeszyt i piszę do Rachel.

Miło z tobą znowu porozmawiać. Przykro mi, że nie przyjaźniłyśmy się w tym roku. Przesuwam zeszyt w jej stronę. Trochę mięknie i odpisuje.

No wiem. To co, podoba ci się ktoś?

Tak naprawdę to nikt. No, mam całkiem miłego partnera na biologii, ale traktuję go jak kolegę, a nie chłopaka czy coś.

Rachel potakuje głową ze zrozumieniem. Chodzi z uczniem z ostatniej klasy, ma już za sobą czasy „kolegowania się”. Znowu przejmuje pałeczkę. Pora wziąć się w garść.

Nadal jesteś na mnie zła? – pytam.

Szkicuje małą błyskawicę.

Nie, chyba nie. To było dawno temu. Przerywa i dorysowuje spiralę. Stoję nad krawędzią i zastanawiam się, czy zaraz nie spadnę. *To była dzika impreza – kontynuuję. Ale głupio z twojej strony, że wezwałaś gliny. Mogłyśmy po prostu wyjść.* Przesuwa notatnik w moją stronę.

Rysuję spiralę kręcącą się w odwrotnym kierunku. Mogłabym to tak zostawić, zatrzymać się pośrodku. Znów ze mną rozmawia. Wystarczy zakopać tylko głęboko te brudy i odejść z nią ramię w ramię w stronę zachodzącego słońca. Sięga za siebie, żeby poprawić gumkę do włosów. Na wnętrzu jej przedramienia widzę czerwony napis „R.B. + A.E.”, zrobiony długopisem. Wdech, raz-dwa-trzy. Wydech, raz-dwa-trzy. Staram się rozluźnić rękę.

Nie zadzwoniłam po gliny, żeby rozwalić imprezę – piszę. Zadzwoniłam, bo – odkładałam ołówek, ale zaraz znowu go chwytam – ktoś mnie zgwałcił. Pod drzewami. Nie wiedziałam, co zrobić.

Rachel obserwuje uważnie, jak kreślę słowa. Przysuwa się bliżej, a wtedy dodaję więcej. *Byłam głupia i pijana i nie wiedziałam, co się dzieje, a później mnie skrzywdził – zamazuję ostatnie słowo – zgwałcił. Kiedy przyjechała policja, wszyscy tylko krzyczeli, a ja byłam tak przerażona, że przebiegłam kilka ogródków i wróciłam do domu.*

Popycham zeszyt w jej kierunku. Wpatruje się w słowa. Przesuwa swoje krzesło na moją stronę stolika.

O mój Boże, tak mi przykro – pisze. – Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Nie mogłam nikomu powiedzieć.

Twoja mama wie?

Potrząsam głową. Z jakiegoś ukrytego źródła w oczach tryskają mi łzy.

Kurde. Pociągam nosem i wycieram go w rękaw.

Zasłaś w ciążę? Zaraził cię czymś? O Boże, wszystko okej???????

Nie, raczej nie. Tak, już okej. No, prawie.

Rachel szybko wypisuje kolejne słowa.

KTO TO ZROBIŁ???

Odwracam kartkę.

Andy Evans.

– Kłamiesz! – Chwiejnie wstaje z krzesła i zrywa książki ze stolika. – Nie wierzę ci. Jesteś po prostu zazdrosna. Ty pokręcona świrusko, jesteś zazdrosna, że jestem popularna i że idę na bal, więc wymyślasz takie kłamstwa. I to od ciebie dostałam tamten liścik! Jesteś nienormalna.

Odwraca się, żeby zmierzyć się z bibliotekarką.

– Idę do pielęgniarki, bo chyba zaraz się porzygam.

ŚCIANA ROZMÓW

Stoję na korytarzu, obserwując odjeżdżające autobusy. Nie chcę wracać do domu, ale też nie chcę tu zostawać. Popełniłam błąd, bo w trakcie rozmowy z Rachel narobiłam sobie nadziei. Tak, jakbym przed ucztą świąteczną wahała już te wszystkie pyszne zapachy i nagle ktoś zamknąłby mi drzwi przed nosem i zostawił samą na mrozie.

– Melinda? – słyszę swoje imię.

No świetnie, a teraz jeszcze słyszę głosy. Może powinnam poprosić szkolną pedagog o polecenie mi jakiegoś terapeuty albo wścibskiego psychiatry? Nic nie mówiłam i czułam się okropnie. Powiedziałam komuś i jest jeszcze gorzej. Naprawdę mam problem ze znalezieniem złotego środka.

Czuję delikatny dotyk na ramieniu.

– Melinda? – To Ivy. – Możesz pojechać do domu trochę później? Chciałabym ci coś pokazać.

Idziemy razem w kierunku łazienki, gdzie zapierała mi koszulkę, na której, swoją drogą, wciąż widać plamy po markerze nawet po potraktowaniu jej wybielaczem. Ivy wskazuje na ścianę kabiny.

– Zobacz.

OD TYCH FACETÓW TRZYMAĆ SIĘ Z DALEKA

Andy Evans

Świr

Drań

Omijać z daleka!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!

Powinni go zamknąć

Myśli, że wszystko mu wolno

Od razu dzwoń po gliny

Jak się nazywa ten lek dla zboków, żeby im nie stawał?

Diprocośtam

Powinni mu go dolewać codziennie do soku. Wyszłam z nim do kina i już na TRAILERACH próbował dobrać mi się do majtek!!

Jest tego więcej. Różne długopisy i charakterystyki pisma, rozmowy między autorkami, strzałki do dłuższych wypowiedzi. To lepsze niż wynajęcie billboardu.

Czuję się, jakbym dostała skrzydeł.

PRZYCINANIE

W sobotni rano budzi mnie odgłos piły motorowej. Uderza mi prosto w bębenki i kładzie kres marzeniom o porządnym wyspaniu się. Zerkam przez okno. Arboryści, czyli goście od drzew, których tata poprosił o przycięcie obumarłych gałęzi, stoją teraz przy dębie. Jeden z nich raz za

razem zwiększa obroty w pile, jakby to była wyścigówka, a drugi jeszcze raz sprawdza drzewo. Schodzę na dół, żeby zjeść śniadanie.

Oglądanie kreskówek nie wchodzi w grę. Robię sobie herbatę i dołączam do taty i grupki dzieciaków z sąsiedztwa, żeby pooglądać przedstawienie z podjazdu. Jeden ze specjalistów wspina się jak małpa na bladezielony daszek, a później wciąga tam piłę (na szczęście wyłączoną). Będzie przycinał obumarłe gałęzie z precyzją rzeźbiarza. Włączone narzędzie wgryza się w dąb, a obcięte konary spadają na ziemię.

W powietrzu wirują trociny. Z otwartych porów pnia sączy się sok. Facet zabija drzewo, zaraz wytnie je w pień. Roślina umiera. Nic nie można zrobić, nic nie można powiedzieć. W ciszy oglądamy, jak dąb pada, kawałek po kawałku, na wilgotną ziemię.

Morderca z piłą z uśmiechem schodzi na ziemię. Nawet się nie przejął. Jakiś mały dzieciak pyta mojego tatę, dlaczego ten pan ściął drzewo.

Tata:

– Nie ściął go, uratował je. Tamte konary były chore. Ze wszystkimi roślinami tak jest. Jeśli odetnie się coś, co jest zepsute, drzewo będzie mogło odrosnąć. Sam zobaczysz, pod koniec lata ten dąb będzie najsilniejszy ze wszystkich w okolicy.

Nienawidzę, kiedy ojciec udaje, że wie więcej niż w rzeczywistości. On tylko sprzedaje ubezpieczenia, daleko mu do bycia leśnikiem, obytym w sztuce drzew. Arboryści odpalają maszynę do przerabiania drzew na wióry. Dobra, mnie już wystarczy. Wyciągam rower i odjeżdżam.

Najpierw zatrzymuję się na stacji benzynowej, żeby podpompować koła. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz dłużej jeździłam na rowerze. Sobotni poranek jest ciepły i leniwy. Parking przy sklepie spożywczym wypełnia się po brzegi. Za podstawówką rozgrywa się mecz softballa, ale nie przystaję, żeby popatrzeć. Przejeżdżam obok domu Rachel na wzgórzu, mijam też

liceum. Jazda w dół to szybka, łatwa przejażdżka. Zbieram się w sobie i puszczam nawet kierownicę. Gdy jadę wystarczająco szybko, przednie koło jedzie prosto. Skręcam w lewo, potem jeszcze raz, po wzgórzach, choć nawet nie zdaję sobie sprawy z tego, dokąd się kieruję.

Jakaś część mnie dobrze to sobie zaplanowała – to pewnie ten przebiegły wewnętrzny kompas, wskazujący przeszłość. Droga nie wygląda znajomo do chwili, w której dostrzegam stodołę. Z całej siły naciskam na hamulce, przez co prawie przewracam się na żwirze. Wiatr wygrywa jakieś dźwięki na kablach telefonicznych gdzieś nad moją głową. Wiewiórka na drzewie wytrwale stara się odzyskać równowagę.

Na podjeździe nie ma żadnego samochodu, a na skrzynce pocztowej ktoś wymalował napis „Rodgersowie”. Na jednej ze ścian stodoły wisi obręcz do koszykówki. Nawet jej nie pamiętam, ale ciężko było wtedy zobaczyć cokolwiek w ciemności. Prowadzę rower do granicy działki, tam gdzie drzewa przesłaniają słońce, i opieram go o rozpadający się płot. Zatapiam stopy w zimnej od cienia ziemi.

Serce wali mi tak mocno, jakbym wciąż pedałowala pod górkę, a ręce drżą. To najzwyklejsze w świecie miejsce, z dala od stodoły i domu, a wystarczająco blisko drogi, bo wciąż słyszę przejeżdżające nią samochody. Na ziemi leżą żołędzie. Można by było przyjechać tu na piknik z przedszkolakami.

Mam ochotę się położyć. Nie, to zły pomysł. Przykucam obok drzewa i przesuwam palcami po korze, szukając jakiegoś pisma brajlem, wskazówki, podpowiedzi, jak wrócić do życia po tak długim śnie zimowym. Przetrwałam. Jestem tutaj. Zdezorientowana, popieprzona, ale jestem. Jak mam odnaleźć swoją drogę? Istnieje może piła łańcuchowa dla duszy? Topór, którym mogłabym wyciosać z siebie wspomnienia, strach? Zatapiam dłoni w ściółce i zaciskam w pięść. Maleńka, nieskalana część mnie czeka na ciepło i chce

wydostać się na powierzchnię. Cicha Melinda, której nie widziałam od miesiący.

Nasionko, które będę pielęgnować.

NOCNE PRZEJAŻDŻKI

Wracam do domu akurat na lunch. Robię sobie dwie kanapki z pastą jajeczną i popijam je ogromną szklanką mleka. Do tego wcinam jeszcze jabłko, a później wkładam naczynia do zmywarki. Wybija trzynasta. Mogłabym posprzątać w kuchni i poodkurzać, ale przez otwarte okno słyszę śpiew rudzików dobiegający z ogrodu, a tam czeka na mnie stos ściółki do rozsypania.

Mama nie kryje zdumienia, kiedy przyjeżdża na kolację. Wygrabiłam i skosiłam trawę przed domem, no i podsypałam krzewy. Nawet nie mam zadyszki. Wspólnymi siłami wynosimy z piwnicy plastikowe meble, a później czyszczę je wybielaczem. Tata przywozi pizzę i we trójkę zjadamy ją na tarasie. Rodzice piją mrożoną herbatę i o dziwo, nie warczą na siebie. Po obiedzie zmywam naczynia i wyrzucam pudełka po pizzy do kosza.

Kładę się na kanapie przed telewizorem, żeby coś obejrzeć, ale oczy mi się zamykają i kompletnie odpływam. Budzę się gdzieś po północy, okryta kocem. Dom jest pogrążony w ciszy i ciemności, tylko chłodna bryza porusza zasłonami.

Nagle jestem całkowicie rozbudzona. Czuję pod skórą jakieś swędzenie – mrowienie, tak by to nazwała mama. Nie mogę usiedzieć w miejscu. Muszę coś zrobić. Wcześniej, po powrocie z przejażdżki, zostawiłam rower w ogrodzie. Wsiadam na niego i jadę przed siebie.

Pod górę, z górki, wzdłuż i wszerz – mimo zakwasów w nogach pedałuje przez ulice pogrążonych we śnie przedmieść. W niektórych domach

w oknach sypialni błyska jeszcze światło telewizora. Przed sklepem spożywczym stoi jeszcze kilka samochodów. Wyobrażam sobie, jak ludzie zmywają podłogi albo wykładają świeży chleb na półki. Mijam domy ludzi, których kiedyś znałam: Heather, Nicole. Skręcam za rogiem, zmieniam przerezutkę i pedałuje mocniej pod górę, aż w końcu przejeżdżam obok domu Rachel. W środku palą się światła, jej rodzice pewnie czekają, aż bajkowa para wróci z balu. Mogłabym zapukać do drzwi i zapytać, czy mają ochotę zagrać w karty albo coś... Ech, może lepiej nie.

Jadę, jakbym leciała na skrzydłach. Nie jestem ani trochę zmęczona. Chyba już nigdy więcej nie będę musiała spać.

BAL, BAL I PO BALU

W poniedziałkowy poranek bal to już przeszłość. Ten dramatyzm! Te łzy! Ta pasja! Czemu nikt jeszcze nie nakręcił o nim telewizyjnego show? Całkowite szkody, poniesione tego dnia, to jeden obolały żołądek, koniec trzech długoterminowych związków, jeden zgubiony kolczyk, cztery skandaliczne imprezy w hotelu oraz pięć pasujących do siebie tatuaży, które podobno zdobią teraz tyłki członków samorządu ostatniej klasy. Pedagodzy świętują brak wypadków śmiertelnych.

Heather nie przychodzi dzisiaj do szkoły. Wszyscy mówią o jej okropnych dekoracjach. Założę się, że nie pojawi się aż do końca roku. Pewnie ucieknie i z miejsca dołączy do marines – będą dla niej o wiele milsi niż stadko rozwścieczonych Marth.

Rachel króluje. Zerwała z Andym w trakcie balu. Staram się zebrać do kupy strzępki soczystych plotek. Ludzie mówią, że ona i Andy zaczęli kłócić się podczas wolnego tańca. Ponoć dobierał się do niej rękami i ustami. Zaczął się o nią ocierać, a ona się odsuwała. Gdy piosenka się skończyła, zwyzywała

go z góry na dół. Niewiele brakowało, a dałaby mu w twarz, ale się powstrzymała. On tylko rozglądał się dookoła jak niewiniątko, więc tupiąc, wróciła do swoich kumpli z wymiany. Skończyło się na tym, że przetańczyła resztę balu z jakimś chłopakiem z Portugalii. Podobno Andy'ego strasznie to wkurzyło. Upił się jak świnia i wylądował z nosem w sałatce. Rachel spaliła wszystko, co od niego dostała, i rozsypała mu popiół pod szafką. Kumple go wyśmiali.

Poza wysłuchiowaniem plotek nie ma powodu, żeby przychodzić do szkoły. No okej, niedługo egzaminy, ale i tak w żaden sposób nie wpłyną na moje oceny. Ile czasu nam zostało? Jakies dwa tygodnie lekcji? Czasami myślę, że liceum to jedne długie otrzęsiny – jeśli uda ci się je przetrwać, pozwolą ci stać się dorosłym. Oby było warto.

OFIARA

Czekam, aż zegar zakończy codzienną dawkę tortur algebrą, i nagle jak obuchem dostaję w głowę jedną myślą: nie chcę już dłużej chować się w swojej kryjówce. Spoglądam za siebie, po trochu oczekując, że zobaczę z tyłu klasy typka, który zdzielił mnie w głowę gumką do mazania i teraz się z tego podśmiewa, no ale nie. Cały ostatni rząd z trudem zachowuje przytomność. Wychodzi na to, że po prostu wpadł mi do głowy pomysł. Nie chcę już chować się po kątach. Wiaterek wpływający z otwartego okna rozwiewa mi włosy i delikatnie łaskocze w ramiona. Dzisiaj po raz pierwszy zrobiło się na tyle ciepło, że można było założyć koszulkę z krótkim rękawem. Prawie jak latem.

Po lekcji idę za Rachel. Andy czeka na nią na korytarzu, ale ta nawet na niego nie patrzy. Chłopaczek z Portugalii to teraz jej *numero uno*. Ha! A nawet HAHA! Masz za swoje, gnojku. Ludzie mu się przyglądają, ale nikt

nie zatrzymuje się, żeby porozmawiać. Andy idzie za Gretą-Ingrid i Rachel, a ja kilka kroków za nim. Ta pierwsza odwraca się na pięcie i mówi mu dosadnie, co powinien ze sobą zrobić. Jestem pod wrażeniem – jej zdolności językowe znacząco się rozwinęły w tym roku. Mam ochotę odtańczyć taniec zwycięstwa.

Po szkole idę do swojej kryjówki. Chcę zabrać do domu plakat Mai Angelou, kilka rysunków drzew i kompozycję z indyjskich kości. Reszta rzeczy może tam zostać, o ile nie ma na niej moich danych. Kto wie, może w przyszłym roku ktoś inny będzie potrzebował bezpiecznej przystani?

Nie udało mi się pozbyć stamtąd smrodu. Zostawiam lekko uchylone drzwi, dzięki czemu mogę swobodnie oddychać. Ciężko odlepić ze ścian obrazki bez rozrywania ich. Dni stają się coraz cieplejsze, a w pokoiku w ogóle nie ma przewiewu. Otwieram szerzej drzwi, bo nie spodziewam się, że ktokolwiek będzie przechodził w tej części szkoły. Od niedawna nauczyciele po ostatnim dzwonku wybiegają ze szkoły szybciej niż uczniowie. Zostało tylko kilka drużyn, rozsypanych po boiskach.

Sama nie wiem, co zrobić z kocem. Jest zbyt zniszczony, żeby zabierać go ze sobą. Powinnam była pójść wcześniej do szafki i zabrać z niej plecak – zapomniałam, że mam tutaj kilka książek. Składam koc i zostawiam go na podłodze. Gaszę światło i podchodzę do wyjścia. Ktoś na mnie wpada i wpycha z powrotem do schowka. Lampa znowu się zapala, a drzwi zamykają.

Utknęłam w środku z Andym Evansem.

Gapi się na mnie bez słowa. Nie jest taki wysoki jak w moich wspomnieniach, za to tak samo odrażający. Żarówka rzuca cienie na jego oczy. Wygląda jak wyciosany z kamienia i pachnie tak, że boję się, że zaraz posikam się ze strachu. Strzela z kłykci – ma ogromne ręce.

Bestia Andy:

– Masz niewyparzoną gębę. Rachel rzuciła mnie na balu, a wcześniej opowiedziała jakąś powalną historię o tym, że niby cię zgwałciłem. Przecież to kłamstwo. Nigdy nikogo nie zgwałciłem. Nie muszę. Chciałaś tego tak samo jak ja, ale zraniłem twoje uczucia, więc zaczęłaś rozpowiadać kłamstwa i teraz wszystkie dziewczyny w szkole myślą, że jestem jakimś zboczeńcem. Opowiadasz to gównu od tygodni. O co ci chodzi, brzydulo, jesteś zazdrosna? Nikt się nie chce z tobą umówić?

Wbija słowa jak gwoździe w podłogę. Staram się obejść go dookoła, ale staje mi na drodze.

– O, nie. Nigdzie się nie wybierasz. Spieprzyłaś mi życie. – Sięga za siebie i przekręca klucz w drzwiach.

Ja:

– ...

– Pokręcona suka z ciebie, wiesz? Wariatka. Trudno uwierzyć, że ktoś cię posłuchał.

Chwyta mnie za nadgarstki. Próbuję się wyrwać, ale ściska tak mocno, że mam wrażenie, że ściera mi kości na proch. Rzuca mną o drzwi. Maya Angelou nie spuszcza ze mnie wzroku, bez słów radzi, żebym narobiła hałasu. Otwieram usta i nabieram powietrza do płuc.

Bestia:

– Nie krzycz. Wtedy nie krzyczałaś. Podobało ci się, a teraz jesteś zazdrosna, że wybrałem twoją koleżankę, a nie ciebie. Dobrze wiem, czego chcesz.

I nagle jego usta są na mojej twarzy. Przekręcam głowę. Ma mokre wargi, zębami uderza w mój policzek. Znów przyciągam do siebie ręce, przez co jego ciało zderza się z moim. Nie czuję nóg, a serce nie przestaje mi walić jak młotem. Czuję zęby na swojej szyi i jedyny dźwięk, jaki mogę z siebie wydać, to ciche kwilenie. Zaczyna się szarpać, chce złapać obydwie moje

dłonie w swoją jedną, bo druga jest mu potrzebna. Pamiętam, pamiętam wszystko. Dłonie z metalu, gorące noże zamiast palców.

Nie.

Głos eksploduje wewnątrz mnie.

– NIEEEEEEE!

Podążam za nim, odpycham się od drzwi, zwałam Andy’ego Evansa z nóg, co posyła go na pęknięty zlew. Klunie i odwraca się w moim kierunku, a później zaczyna młócić pięściami. Eksplozja w głowie, krew w ustach, on jednak nie przestaje mnie bić. Wrzeszczę, ciągle wrzeszczę. Dlaczego ściany się nie walą? Wrzeszczę tak głośno, że cała szkoła mogłaby się od tego zawalić. Staram się chwycić cokolwiek, co mam pod ręką – misę z potpourri – i rzucam w niego z całej siły, ale nie trafiam i rozbija się na podłodze. Książki. Andy znowu klunie. Drzwi są zamknięte, drzwi są zamknięte! Łapie mnie w pasie, odciąga od nich, zatyka usta jedną ręką, a drugą chwyta za szyję. Opiera mnie o zlew. Moje pięści nic mu nie robią, są jak nieszkodliwe królicze łapki. Dociska mnie swoim ciałem.

Przesuwam palce nad głowę w poszukiwaniu gałęzi, konara, czegokolwiek, czego mogłabym się przytrzymać. Mam: kawałek drewna, podstawa mojej kompozycji z kości. Uderzam nim o plakat z Mayą i słyszę trzask. TO nie słyszy. TO dyszy jak smok. Zsuwa dłoń z mojego gardła i atakuje resztę ciała. Raz za razem uderzam drewnem o plakat, walę w lustro, które się pod nim kryje.

Odłamki szkła zsuwają się po ścianie, prosto do zlewu. TO odsuwa się ode mnie ze zdumieniem. Sięgam po trójkątny ostry kawałek i przykładam go Andy’emu Evansowi do szyi. Zamiera. Przyciskam na tyle mocno, że upuszczam mu kroplę krwi. Unosi ręce do głowy, a moja dłoń nie przestaje drżeć. Mam ochotę wpakować mu to szkło do gardła, chcę, żeby krzyczał. Unoszę wzrok. Widzę kilkudniowy zarost na jego podbródku, białą plamkę

w kąciku ust. Usta mu zamarły. Stracił głos. To mi wystarczy.

Ja:

– Powiedziałam: „nie”.

Powoli potakuje.

Ktoś dobija się do drzwi. W końcu szeroko je otwieram. Tuż za nimi czeka Nicole, razem z resztą spoconej i wściekłej drużyny do lacrosse’a. Zaalarmowane dziewczyny czekają z wysoko uniesionymi kijami. Któraś z nich oddziela się od reszty i biegnie po pomoc.

OSTATNI AKT

Pan Freeman nie zamierza na czas wystawić ocen. Powinny pojawić się na cztery dni przed końcem roku szkolnego, ale on zupełnie nie widzi w tym sensu. Ostatniego dnia postanawiam zostać po lekcjach, żeby po raz ostatni spróbować z drzewem.

Nauczyciel pokrywa ścianę z ocenami własnym malowidłem. Wałkiem i szybko schnącą białą farbą zamazał już wszystko oprócz linijki z moim imieniem. Nuci pod nosem, mieszając kolory na palecie. Chce stworzyć zachód słońca.

Za oknem słychać głosy podekscytowane wakacjami. To już prawie koniec roku szkolnego. Na korytarzach rozlega się tylko echo zatrząskiwanych szafek i pożegnań: „Będę tęsknić, masz mój numer?” Pogłaśniam radio.

Moje drzewo w końcu oddycha. Bierze delikatne, płytkie wdechy, zupełnie jakby dopiero co wystrzeliło z ziemi. Nie jest symetryczne. Kora wygląda na szorstką – starałam się wydłubać coś, co będzie wyglądało jak czyjeś inicjały, wryte w niej bardzo dawno temu. Jedna z dolnych gałęzi jest chora. Jeśli takie drzewo rzeczywiście gdzieś istnieje, lepiej jak najszybciej ją ściąć albo uśmierci całą roślinę. Z ziemi wystaje kilka korzeni, a wysoka i zdrowa

korona wyciąga się ku słońcu. To właśnie nowe twory są najlepsze.

Zapach lilii wpada do sali przez otwarte okna razem z kilkoma leniwymi pszczołami. Ja wycinam, a pan Freeman miesza ze sobą pomarańczową i czerwoną farbę, by otrzymać idealny odcień zachodu słońca. Z parkingu słychać pisk opon, kolejne pożegnanie (jeszcze) trzeźwego ucznia. I tak spędzam wakacje w letniej szkole, więc nigdzie mi się nie spieszy – chcę tylko dokończyć swoje drzewo.

Do sali wpada kilka uczennic z ostatniej klasy. Pan Freeman delikatnie je ściska, albo dlatego, że cały jest w farbie, albo dlatego, że tulenie uczennic może się skończyć kłopotami. Spuszczam włosy na twarz i spoglądam na dziewczyny zza kosmyków. Rozmawiają o Nowym Jorku, gdzie będą studiować. Pan Freeman zapisuje im na kartce kilka numerów telefonów i nazw dobrych restauracji. Ma wielu znajomych na Manhattanie, więc w którąś niedzielę, kiedy przyjedzie do nich w odwiedziny, mogą wybrać się razem na brunch. Dziewczyny – no, już kobiety – podskakują i piszczą z radości.

– Nie wierzę, że to się dzieje! – Cheerleaderka Amber. Do przewidzenia.

Grupka spogląda na mnie przed wyjściem. Jedna z dziewczyn, nie-cheerleaderka, kiwa do mnie głową i mówi:

– Dobra robota. Mam nadzieję, że wszystko w porządku.

W ostatnich godzinach roku szkolnego stałam się popularna. Dzięki niewyparzonym buźkom drużyny lacrosse'a jeszcze przed zachodem słońca wszyscy wiedzieli, co się stało. Mama zabrała mnie do szpitala, żeby zszyli mi cięcie na dłoni. W domu okazało się, że Rachel nagrała się nam na sekretarkę. Chciała, żebym do niej zadzwoniła.

Mojemu drzewu czegoś brakuje. Podchodzę do biurka i biorę z niego kawałek brązowego papieru i kredę. Pan Freeman opowiada o galeriach sztuki, a ja ćwiczę rysowanie ptaków – małe kolorowe plamki na papierze.

Dziwnie się rysuje z bandażem na ręce, ale nie poddaję się. Maluję je bez skupienia – lot, lot, piórko, skrzydło. Woda kapie na papier, a ptaki rozkwitają w świetle. Ich piórka rozwijają się pod wpływem nadziei.

TO się stało. To fakt, nie da się go zapomnieć. Uciec, odlecieć, skryć. Andy Evans zgwałcił mnie w sierpniu, kiedy byłam pijana i zbyt młoda, żeby w ogóle rozumieć, co się dzieje. Nie jestem niczemu winna. Skrzywdził mnie. To nie była moja wina. I nie pozwolę, żeby to, co się stało, mnie zabiło. Mogę dalej się rozwijać.

Spoglądam na mój szybki szkic i myślę, że nic więcej mu nie potrzeba. Widzę to nawet przez łzy, zbierające się w moich oczach. Nie jest idealny i właśnie dzięki temu jest taki, jaki powinien być.

Dzwoni ostatni dzwonek. Pan Freeman podchodzi do mojego stolika.

Pan Freeman:

– Koniec czasu, Melindo. Jesteś gotowa?

Oddaję mu obrazek. Bierze go do ręki i uważnie mu się przygląda. Pociągam nosem i wycieram łzy o ramię. Wciąż widać na nim siniaki, ale już niedługo znikną.

Pan Freeman:

– Żadnego płaczu w mojej pracowni. Zniszczysz materiały. To przez sól, wiesz? Wyżera wszystko jak kwas. – Siada na stołku obok mnie i oddaje mi drzewo. – Dostajesz szóstkę z plusem. Bardzo ciężko nad tym pracowałaś. – Podaje mi pudełko chusteczek. – Wiele ostatnio przeszłaś, co?

Łzy roztapiają ostatnią grudę w moim gardle. Czuję, jak roztapia się cała lodowa skorupa wewnątrz mnie, jak odpadają jej odłamki i zmieniają się w kałużę promieni na brudnej podłodze. Słowa same wypływają mi z ust:

– Opowiem panu o tym.

KONIEC

POSŁOWIE

Drogi Młodszy Bracie,

pewnego popołudnia, kiedy miałem piętnaście lat, mama zabrała mnie do restauracji z plastikowymi bordowymi kanapami i staroświeckimi kloszami do lamp – tam, gdzie w powietrzu czuć wilgoć, ale pyszne skrzydełka z kurczaka wszystko wynagradzają. Byłem przekonany, że to zwykły wspólny lunch, ale zaraz po tym, jak podano nam jedzenie, mama upiła kilka łyków napoju gazowanego i nagle wypaliła: „Jason, wiem, że uprawiasz seks”. To właśnie w tym momencie moje zaskoczone, skołatane serce zmieniło się w kurze skrzydełko. Miałem wrażenie, jakby ktoś się w nie wgryzł, pozbawił mięsa i całkowicie odsłonił kość. Swoją drogą, w sercach nie ma kości, ale tak się właśnie poczułem. Zanim w ogóle zdołałem odetchnąć, mama ciągnęła dalej: „Nie martw się, nie jestem na ciebie zła. Uważam tylko, że powinieneś wiedzieć o czymś ważnym.” Odstawiła napój na stolik i spojrzała mi prosto w oczy. „Pamiętaj, że kobiety to ludzie, a nie meble. To nie kanapy, na które możesz wskoczyć, kiedy ci się żywnie podoba.”

I chociaż rzuciła na mnie tę bombę podczas rozmowy o współżyciu w zdrowym związku, rozmowa dotyczyła czegoś więcej. To nie był tylko wspólny czas matki i syna nad parującymi skrzydełkami z kurczaka i napojami. Tak naprawdę nie chodziło o seks, chodziło o szacunek.

Mama chciała przekazać mi, że kobiety (w każdym wieku) nie są... przedmiotami. Wiem, wiem, to brzmi jak oczywista oczywistość, ale

rozmawiała – nie, musiała porozmawiać – o tym ze mną, ponieważ świat wokół mnie sugeruje coś innego. Muzyka, programy telewizyjne, filmy, gazety, gry video, politycy, nauczyciele, księża, trenerzy, ojcowie, wujkowie, dziadkowie, bracia – to wszystko i oni wszyscy w jakiś sposób forsują pogląd, że liczy się tylko to, co my, faceci, wyobrażamy sobie na temat dziewczyn: sprawiają, że czujemy się dobrze, lepiej, że jesteśmy ważniejsi jako chłopcy i jako mężczyźni. I nawet jeśli pojawia się wtedy jakikolwiek przejaw szacunku, jest on zwykle pełen fałszu – uważamy, że powinniśmy traktować kobiety jako coś cennego. Jakby były stworzone z falbanek i koronek, a ich wartość nie brała się z ich *oczywistego* człowieczeństwa, tylko z tej *domniwanej* kruchości, co, powtarzam po raz kolejny, od zawsze sprawiało, że czujemy się dobrzy, lepsi, ważniejsi jako chłopcy czy mężczyźni. I wiesz, Młodszy Bracie, mam wrażenie, że może jednak powinniśmy najpierw popracować trochę bardziej nad miłością do *samych siebie*.

Zakładam, że przeczytałeś *Speak*, skoro dotarłeś do tego listu. Zakładam też, że przewracałeś kartkę za kartką i stałeś się świadkiem historii Melindy. Niemej tortury. Poczucia winy. Podejrzewam (a raczej *naprawdę* mam nadzieję), że rozmowy na temat gwałtu, napaści seksualnej albo molestowania nie są dla ciebie czymś obcym, nieważne, czy odbyte bezpośrednio, czy tylko zasłyszane. Mam również nadzieję, że *zgoda* to słowo, którego znaczenie już znasz i które ciągle odkrywasz. A jednak kiedy nieustannie pracuję nad tym, nad czym pracujesz i ty, uświadamiam sobie, że to wszystko nie wystarczy. Nie wystarczy tylko o tym rozmawiać. Nie wystarczy nawet przeczytać tę niesamowitą książkę. Prawdziwa praca nie ma nic wspólnego z ludźmi dookoła; dotyczy każdego trującego głosu, który słyszysz w swoim wnętrzu i który ma na ciebie wpływ.

W każdym innym przypadku można debatować nad słuszością

stwierdzenia, że mężczyzna, który coś zabiera czy kradnie, zwykle robi to, ponieważ tej konkretnej rzeczy mu brakuje. Więc gdy odbiera kobiecie albo kiedy nawet tylko próbuje odebrać jej człowieczeństwo, to jasny znak, że brak mu (nam) jakiejś części tego człowieczeństwa. Są w nim (nas) jakieś dziury, rany, którymi trzeba się zająć. Świadczy to o tym, że świat nie pozwala nam na otwarte wyrażanie uczuć, bo wychwała stoicki spokój w obliczu strachu, a przemoc traktuje jak cnotę. Żyjemy w świecie, który chłopców zmienia w bestie, a mężczyzn w potwory.

Więc wyjaśnijmy sobie coś raz a dobrze:

„Nie” znaczy „nie”. Znaczy „nie”. Znaczy „nie”. Kobiety mają prawo, by mówić „nie”.

Kobiety mają również prawo powiedzieć „tak”, kiedy tylko chcą, bez wytykania ich palcami i wyzywania.

Ciało kobiety należy do niej i wyłącznie do niej.

Ręce przy sobie.

Komentarze zatrzymaj dla siebie.

Kobiety to ludzie, a nie przedmioty.

Kobiety to ludzie, a nie przedmioty.

Kobiety to ludzie, a nie przedmioty.

To nie kanapy, na które możesz wskoczyć, kiedy ci się żywnie podoba.

Co więcej:

Naucz się bardziej kochać samego siebie.

Naucz się, jak sprawniej i szczelniej łątać dziury stworzone przez niepewność i poczucie, że się nic nie znaczy

Przemyśl swoje przyjaźnie, choć może to się równać z utratą kilku bliskich osób.

Walcz o prawo do własnych słabości. I jeszcze raz, przemyśl to, kim są twoi przyjaciele. Jeśli nie możesz przy nich płakać, odpuść ich sobie

(pamiętaj, serca nie mają kości).

Naucz się przeproszać bez żadnych obietnic przebaczenia.

Naucz się słuchać, zwłaszcza dziewcząt, które przeżyły to, co Melinda.

Naucz się słuchać, bo czasami, kiedy okłamujesz samego siebie, ten najcichszy głos należy właśnie do ciebie.

Bo im bardziej poskładasz się w całość, tym bezpieczniejsi staną się inni w twoim otoczeniu.

Gwoli sprawiedliwości muszę dodać, że są też młodzi mężczyźni, którzy doświadczyli gwałtu i przemocy na tle seksualnym. Chciałbym wam szczerze wyznać, że wasze przeżycia są tak samo traumatyczne, a wiążącego się z nimi bólu nie można umniejszać. Krzywda to krzywda to krzywda to krzywda. A skoro już to ustaliliśmy, to wiedzcie, że mój list jest skierowany również do was, ponieważ wciąż potraficie przerzucać swój ból na innych w przeróżny, okropny, niewyobrażalny sposób. Jak już wspomniałem wcześniej, tutaj nie chodzi tylko o seks. Chodzi o coś o wiele ważniejszego. Tu chodzi o świat, w którym żyjemy. Nie stworzyliśmy go, ale zdecydowanie możemy zmienić sposób, w jaki się kręci.

Ten list, Młodszy Bracie, porusza problem *nas*, problem *każdego z nas*, dlatego nie jest skierowany wyłącznie do ciebie. Kieruję go do siebie samego. Do mojego ojca. Braci. Wujków. Przyjaciół. To list, który mógłbym złożyć na grobach moich dziadków, a jeśli kiedyś doczekam się syna, wsunę mu go pod poduszkę. W swoich słowach chcę zawrzeć miłość. To, jak powinna brzmieć. Jednak miłość i praca to nie to samo, nawet jeśli wymagają od siebie wykorzystania pełnego potencjału. A skoro już przeczytałeś *Speak* Laurie Halse Anderson i dotarł do ciebie mój list, spróbujmy zmienić się na lepsze. Robić więcej. Stać się lepszymi. Stać się kimś więcej.

A przede wszystkim kochać.

O wiele, wiele mocniej.

Twój starszy brat,
Jason Reynolds

GŁOSY I SŁOWA W RUCH

Możliwość rozmowy po doświadczeniu przemocy seksualnej lub molestowania to dla ocalałych pierwszy krok do uzyskania potrzebnej pomocy. Jeśli chcemy zmniejszyć liczbę ofiar/ocalałych, musimy nauczyć się stosować inny rodzaj zabierania głosu: przyzwolenie.

Zgoda to dosyć proste pojęcie: nikt nie może dotknąć was bez waszego pozwolenia. Pewne szczegóły mogą wydać się jednak skomplikowane, dlatego ważne jest, by zrozumieć je wszystkie, zanim rozpoczniecie współżycie.

Wiek przyzwolenia to wiek, po osiągnięciu którego możecie współżyć bez żadnych konsekwencji prawnych – różni się on w zależności od stanu, na przykład w Alabamie wynosi 16 lat, a w Dakocie Północnej 18 lat. ¹

W żadnym ze stanów nie możecie mieć mniej niż 16 lat, by prawnie wyrazić na nie zgodę, choć istnieje jeden wyjątek od tej reguły. Niektóre jurysdykcje uznają prawo „Romea i Julii”, znane również jako „prawo zbliżonego wieku”. Wprowadza ono wyjątek co do wymagań wiekowych, jeśli partnerzy są w podobnym wieku. Na Hawajach wiek przyzwolenia wynosi 16 lat, jednak osoby między 14 a 15 rokiem życia mogą już zgodzić się na współżycie, jeśli ich partner jest starszy od nich o nie więcej niż 5 lat. W stanie Kansas wiek przyzwolenia również wynosi 16 lat, ale nie uznaje się tam „prawa zbliżonego wieku”. Jeśli sami przekroczyliście wiek przyzwolenia i współżyjecie z kimś, kto jeszcze go nie przekroczył, możecie zostać aresztowani za kilka różnych przestępstw, w zależności od sytuacji.

Ogółem mówiąc – macie przekichane, jeśli złamiecie prawo danego stanu, przykładowo: w Pensylwanii przestępstwo na tle seksualnym (jeśli wiek ofiary nie pozwolił jej/jemu/im na wyrażenie prawnej zgody na współżycie) to zbrodnia, za którą może grozić wam 20 lat więzienia.

W zależności od stanu zmienia się też definicja „kontaktu seksualnego”. Podsumowując: jeśli zbliżenie między dwójką ludzi dotyczy kontaktu narządów płciowych lub kontaktu analnego, jest to uważane za „kontakt seksualny”.

Warto również dodać, że wysyłanie zdjęć o charakterze seksualnym lub takich, które przedstawiają osoby poniżej wieku przyzwolenia albo do takich osób może doprowadzić do postawienia wam zarzutów. W zależności od okoliczności możecie zostać oskarżeni o posiadanie dziecięcej pornografii, wykorzystywanie seksualne nieletnich, nieprzyzwoitość lub molestowanie.

Nawet jeśli jesteście nieletni, przesyłanie własnych zdjęć o charakterze seksualnym może doprowadzić do oskarżenia o tworzenie, posiadanie oraz rozpowszechnianie dziecięcej pornografii.

Lepiej dowiedzieć się, jakie prawa panują w waszych stanach i trzymać się ich co do joty. Jeśli przenosicie się do innego stanu, wyjeżdżacie na wakacje albo na studia, dowiedzcie się, jakie prawo tam obowiązuje. Nieznajomość prawa to żadna wymówka. Skoro czujecie się na tyle dorośli, by uprawiać seks, to powinniście również znać prawa z nim związane i przestrzegać ich ².

Aby udzielić przyzwolenia, musicie być do tego **zdolni**. Pewne szczegóły są dosyć oczywiste: osoba, której w tajemnicy podano środki odurzające, nie może udzielić przyzwolenia. Zgody nie może wyrazić ani osoba nieprzytomna, ani ta, która śpi. Ogółem żadna osoba pod wpływem narkotyków nie może udzielić przyzwolenia, choć interpretacja tego faktu różni się w zależności od stanu.

Przyzwolenie musi być udzielone z własnej, nieprzymuszonej woli: jeśli

partner grozi wam lub w jakiś sposób naciska na zgodę na stosunek, przyzwolenie nie zostało mu udzielone. Jeżeli jedna osoba ma nad drugą zwierzchnictwo, tak jak przykładowo bywa to z szefem i podwładnym, nauczycielem i uczniem, wtedy przyzwolenie nie jest dobrowolne, więc tym samym jest niezgodne z prawem.

Przyzwolenie musi być uzgadniane na bieżąco: zgoda na pocałunek nie oznacza zgody na współżycie. Każda osoba może zmienić zdanie w trakcie rozwoju sytuacji. Jeśli coś wam nie odpowiada, zaprotestujcie. Kaźcie partnerowi przestać albo zaproponujcie coś innego.

W pewnych sytuacjach dochodzi do naruszenia przyzwolenia. Jeśli jesteście nastolatkami, pracujecie na letnim obozie i wasz szef, również nastolatek, chce uprawiać z wami seks, a obydwójce jesteście pod wpływem alkoholu, wasz przełożony może usłyszeć zarzuty napaści seksualnej. To dlatego, że przez zwierzchnictwo mógłby wywierać na was presję, przez wypity alkohol nie myślicie trzeźwo, przez co spada wasza zdolność do świadomego udzielenia zgody, a także mogłoby w ten sposób zostać naruszone prawo przyzwolenia.

Wszystkie przykłady przytoczone powyżej można podsumować dwójako: musicie przestrzegać prawa i rozmawiać z partnerem na temat współżycia. Tego typu rozmowy na początku mogą wydawać się niezręczne i dziwne – jeśli tak jest, zwróćcie uwagę na te uczucia. Skoro nie czujecie się na tyle swobodnie, by rozmawiać z drugą osobą o swoich granicach, jeśli chodzi o seks i własne pragnienia, to nie jesteście jeszcze gotowi na rozpoczęcie z nią współżycia. Żaden problem! Prawdopodobnie i tak będziecie uprawiać seks przez kolejne 60 lat waszego życia. Nie ma się co spieszyć, a zresztą, upewnienie się, że wy i wasi partnerzy dobrowolnie wyrażacie zgodę na współżycie, jest pociągające samo w sobie.

Bez przyzwolenia ani rusz. Wystarczy się odezwać!

Więcej informacji na temat wyrażania zgody na współżycie możecie znaleźć na:

<http://plannedparenthood.org/learn/sex-and-relationships/sexual-consent>

1. W Polsce wiek zgody to 15 lat. Obcowanie płciowe i inne czynności seksualne z osobą poniżej 15. roku życia według Kodeksu karnego są przestępstwem. Przestępstwem jest też nadużycie stosunku zależności, które ma na celu doprowadzenie małoletniego (czyli osoby do lat 18) do obcowania płciowego lub poddania się innej czynności seksualnej albo wykonania jej [przyp. red. pol.] [\[wróć\]](#)
2. Warto też zrobić to, wyjeżdżając w jakimkolwiek celu do innego kraju [przyp. red. pol.] [\[wróć\]](#)

LAURIE HALSE ANDERSON OPOWIADA O *SPEAK*

Patrząc przez pryzmat ery #MeToo, czy postrzega Pani teraz Speak w inny sposób? A czytelnicy?

Podejrzewam, że czytelnicy będą mieć teraz do książki zdrowsze podejście. Międzykulturowa fala otwartości wobec rozmów o przemocy seksualnej oraz zrozumienia jej pomaga rozwiązać złudzenia co do tego, że gwałtu dokonują tylko osoby obce. Wśród ofiar młodszych niż osiemnastolatki aż 93% zna swojego oprawcę. Jeśli chodzi o dorosłych, jest ich aż 70%. #MeToo pomaga też obalać stereotypy, które wcześniej pozwalały na kultywowanie kultury gwałtu.

Kiedy po raz pierwszy pomyślała Pani o Melindzie?

Przez koszmar! Pewnej nocy obudziłam się spanikowana, bo wydawało mi się, że słyszę dziewczęcy płacz. Sprawdziłam, co z moimi córeczkami, ale smacznie spały. Zapłakana dziewczynka była w mojej głowie, przyśniła mi się. Włączyłam komputer i zapisałam, co słyszałam. Następnego dnia wsłuchałam się ponownie w ten głos i tak właśnie powstała postać Melindy Sordino. Na początku nie miałam pojęcia, co się jej przydarzyło, dowiedziałam się dopiero, kiedy czuła się na tyle pewnie, żeby mi o tym powiedzieć.

Jak wyglądał proces tworzenia książki i jej korekta?

Przez cały czas głos Melindy mocno przebijał się na kartach książki. Na początku bawiłam się pomysłem zrobienia z niej kompletnie niemej osoby, ale w dzisiejszych czasach doprowadziłoby to na pewno do interwencji lekarzy i psychologów. Postanowiłam, że wystarczy, jeśli się wycofa i będzie się odzywać tylko wtedy, kiedy absolutnie będzie musiała. Wiele dzieci, podobnie jak Melinda, zmagają się z depresją. Balansują na krawędzi, a dopóki nie dojdzie do tragedii, ludzie tak naprawdę nie zwracają na nie uwagi. Kiedy o tym myślę, mam ochotę wrzeszczeć... albo jeszcze lepiej – napisać książkę.

Proces korekty skupił się głównie na strukturze książki – dopilnowaniu, żeby zmagania i dojrzewanie Melindy odbywały się w odpowiednim tempie wraz z biegiem roku szkolnego. Moje ulubione fragmenty to te opisujące święta. Dużo czasu zabrało mi zakończenie. Napisałam trzy inne wersje – wszystkie okazały się żałosne i kiepskie. By znaleźć lepsze rozwiązanie, musiałam naprawdę wstrząsnąć sobą oraz Melindą. Udało mi się i jestem z tego naprawdę zadowolona.

Heather z Ohio początkowo była dwiema postaciami. W trakcie korekty doszłam do wniosku, że obydwie dziewczyny spełniały tę samą rolę, więc połączyłam je w jedną osobę. W pierwszych wersjach książki pan Freeman wydawał się dość płytki, więc wyposażyłam go we własne zmagania ze sztuką w nadziei, że pogłębi to jego postać.

Dialogi napisane przez Panią są świetne – jak udało się pani tak dobrze wychwycić głosy uczniów, również te wewnętrzne?

Kiedy pisałam *Speak* moje córki były jeszcze w podstawówce. Żeby lepiej wczuć się w slang licealny, długo przesiadywałam w Taco Bell i w części gastronomicznej w centrum handlowym. Znalazłam też głos Melindy w moich własnych wspomnieniach z liceum. Uczucia nie różnią się tak bardzo, bez względu na to, do którego pokolenia się należy. Wystarczy tylko

odpowiednio dopasować szczegóły.

Skąd czerpie Pani pomysły na swoje książki? Większość dorosłych ma tendencję do ignorowania ważnych problemów, z jakimi borykają się nastolatki. Jak udaje się Pani tak żywo o nich pisać?

Wydaje mi się, że nigdy nie przestałam być wrażliwa na to, z czym mierzą się nastolatki, ponieważ w ich wieku sama wiele przeszłam (problemy rodzinne oraz depresja). To, co niegdyś uważałam za słabość, teraz jest moją siłą.

Spotkałam w życiu wielu dorosłych, którzy głęboko ukryli swoje problemy z młodości, więc nigdy tak naprawdę nie poradzili sobie z sytuacjami i emocjami z tamtych lat. Niestety, to właśnie oni mają tendencję do lekceważenia nastolatków i kompletnie nie wiedzą, jak sobie z nimi poradzić. Może powinnam kiedyś napisać książkę właśnie dla nich...

Jak wiele z Pani można dostrzec w Melindzie?

Speak powstało na bazie mojej własnej prawdy.

Latem, tuż przed rozpoczęciem liceum, zostałam zgwałcona i nie powiedziałam o tym nikomu przez 25 lat. W szkole przez jakiś czas mi dokuczano (łatwy cel: nowa dziewczyna, biedna, przygnębiona i odrobinę dziwna), ale byłam większa, silniejsza i trochę przerażająca, więc nie pozwoliłam im się stłamsić. W końcu udało mi się nawiązać kilka wspaniałych znajomości, a nawet dogadać z miłymi nauczycielami – to właśnie oni ocalili mi życie. A także szkolna biblioteka.

Sytuacja w mojej rodzinie różniła się od tej u Melindy. Przeprowadziliśmy się (po raz kolejny) kilka tygodni przed początkiem liceum, więc nikogo nie znałam. Sprawy dodatkowo komplikował fakt, że mój ojciec stracił pracę i ciągle borykał się z depresją oraz zespołem stresu pourazowego. Z pieniędzmi też było u nas wtedy kiepsko, znaleźliśmy się w nowym

miejscu, a cały świat wydawał mi się obcy i przerażający.

Z drugiej strony, dzięki temu wyobcowaniu spójrzałam (a Melinda razem ze mną) na licealne absurdy z zupełnie innej, przydatnej perspektywy.

Kilka sytuacji ze *Speak* zaczerpnęłam z własnego życia. To ja byłam nieznośną uczennicą na lekcji angielskiego, która nie zgadzała się z nauczycielką co do symbolizmu i za nic nie przyjmowała do wiadomości jej opinii. Mój ojciec zakopał w ogródku na tyłach domu kilka toksycznych odpadów po eksperymentach ze stkiem (słowo!), a maskotką mojego liceum był (i jest dalej) szerszeń. I tak, mieliśmy w zwyczaju wykonywać przyśpiewkę o nich, chociaż cheerleaderki nie przygotowały do niej specjalnego układu, ani żadna telewizja nigdy nas nie nagrała.

Podstawa historii Melindy wypłynęła ze mnie, jednak 90% książki to czysta fikcja literacka. Napisałam tę powieść, by lepiej zrozumieć, co mi się przydarzyło. To niesamowite, że stała się tak ważna dla wielu czytelników.

Co najbardziej Panią zaskoczyło od czasu wydania książki?

To, że stała się częścią ogólnokrajowej dyskusji na temat przemocy seksualnej.

Czego dowiedziała się Pani z reakcji czytelników?

Okazało się, że *Speak* to nie tylko książka o gwałcie. To opowieść o depresji i właśnie dlatego tak bardzo wpłynęła na wielu czytelników. W dzisiejszych czasach nastolatki muszą radzić sobie z ogromną ilością stresu i sprzeczności. Wielu z nich doskonale rozumie, jak to jest czuć, że nie można czegoś powiedzieć. Ta książka odzwierciedla ich doświadczenia i daje nadzieję na zmiany. Po dwudziestu latach rozmów z czytelnikami wiem również, że naprawdę niewielu młodych ludzi czuje, że może porozmawiać o seksie ze swoimi rodzicami. To musi się zmienić, jeśli chcemy wyeliminować kulturę gwałtu.

Co zainspirowało Panią do stworzenia ze *Speak* powieści graficznej¹?

Jeszcze w 2011 roku niesamowicie cieszyła mnie rosnąca popularność powieści graficznych dla nastolatków i uznałam wtedy, że historia zawarta w *Speak* idealnie się na taką nadaje, choćby dlatego, że główna bohaterka dochodzi do siebie poprzez sztukę. W 2015 roku napisałam scenariusz i niedługo później graficzka Emily Carrol wzięła się do pracy.

Ponieważ narracja jest głównie pierwszoosobowa, a narratorka to straumatyzowana nastolatka z depresją, struktura powieści w niektórych scenach ogranicza nieco czytelnikowi zdolność zrozumienia, jak ogromny ból emocjonalny odczuwa Melinda. Kiedy nie chce myśleć o tym, przez co przechodzi, ukrywa przed czytelnikiem pewne sprawy. Moim ulubionym aspektem powieści graficznej jest to, że można było przy jej pomocy pokazać więcej podróży emocjonalnej, jaką przeżyła bohaterka.

Czy jakieś sceny z powieści nie znalazły się w wersji graficznej? W jaki sposób zdecydowała Pani, co powinno się w niej znaleźć?

Dwie sceny z oryginalnej wersji powieści niosły ze sobą podobny wydźwięk emocjonalny i nie wzbudzały w czytelniku większego zainteresowania, dlatego postanowiłam połączyć je w jedną. Ciekawa jestem, czy ktokolwiek zwróci na to uwagę.

Czy myśli Pani, że graficzna adaptacja zmieni sposób, w jaki czytelnicy rozumieją i interpretują tę historię?

Powieść graficzna zarówno otwiera przed nowym pokoleniem czytelników całą historię, jak i daje powód do rozmów na temat przemocy seksualnej. Można postrzegać ją jako taki bardzo ważny cios prosto w bebechy.

Czy kiedykolwiek zaszokowało Panią jakieś pytanie od czytelników?

Bardzo często młodzi mężczyźni zadają mi podobne pytanie. Zwykle zaczynają od tego, że podobała im się książka, ale nie potrafią zrozumieć

jednego: dlaczego Melinda tak bardzo przeżywała gwałt.

Na początku byłam przerażona, jednak to pytanie padało bardzo często i dopiero po jakimś czasie uświadomiłam sobie, że wielu młodym mężczyznom nigdy nie wytłumaczono, jak ogromny wpływ na kobiety może wywrzeć napaść seksualna. Media zalewają ich falami przesiąkniętych erotyzmem obrazów, dlatego często chłopcy dochodzą do kompletnie mylnego wniosku, że seks to nic wielkiego. Bez wątpienia to właśnie dlatego tak często dochodzi do napaści na tle seksualnym.

Szokiem jest też dla mnie to, że wielu dorosłych uważa, iż nie powinno rozmawiać się o gwałcie z nastolatkami. Według danych udostępnionych przez Centra Kontroli i Prewencji Chorób, aż 42,2% ofiar takich zbrodni to osoby poniżej 18 roku życia, 29,9% to dzieci od 12 do 17 roku życia, natomiast 12,3% ma mniej niż 10 lat. Dorosłym ciężko przyjąć to do wiadomości, ale to właśnie ich brak otwartości w kwestii seksualności zagraża naszym dzieciom. To wręcz niemoralne, kiedy nie podejmuje się z nimi takich tematów.

Co myśli Pani o tym, że w wielu gimnazjach, liceach oraz uczelniach omawia się Pani książkę?

W liceum nie byłam zbyt dobra z angielskiego, więc mnie to śmieszy. Ale czuję też nadzieję. Jestem przeszczęśliwa, że obecnie nauczyciele omawiają na zajęciach literaturę współczesną. Myślę, że kiedyś tak bardzo nie lubiłam lekcji angielskiego wyłącznie dlatego, że nie mogłam znieść lektur, jakimi nas torturowano. Wszystkie były o nudnych ludziach w średnim wieku, którzy żyli sto lat wcześniej.

Zbyt wiele dzieci rezygnuje z czytania tylko dlatego, że się je do tego zmusza, no i do omawiania książek, które ani trochę nie odzwierciedlają ich życia. Przyklaskuję szkołom oraz nauczycielom na tyle odważnym i mądrym, by wyszukiwać pozycje, które pomogą ich uczniom rozwijać się jako

czytelnikom i wyrosnąć na troskliwych, opiekuńczych ludzi.

Pani książka raz za razem ląduje na liście książek zakazanych w szkołach. Co powiedziałyby pani rodzicom, którzy wciąż wnioskuje o wycofanie *Speak* z kanonu lektur?

Zapytałabym ich, dlaczego tak bardzo obawiają się rozmawiać ze swoimi dziećmi o przemocy seksualnej.

Rodzice muszą stanąć na wysokości zadania i uświadomić swoje dzieci, jakie niebezpieczeństwa na nie czyhają, a żeby do tego doszło, muszą wyzbyć się przesadnej wrażliwości co do rozmów o ludzkiej seksualności. Gdyby więcej chłopców wiedziało od swoich rodziców, co oznacza przyzwolenie na współżycie i że ZAWSZE jest wymagane, dochodziłoby do mniejszej ilości przestępstw seksualnych.

Gdyby dziewczynki i kobiety czuły, że mogą bezpiecznie powiedzieć o napaści seksualnej, a system prawny działał sprawnie w kwestii ścigania i karania gwałcicieli, wtedy te okropne liczby byłyby mniejsze (więcej można przeczytać na stronie: rainn.org/statistics)².

Niektórzy rodzice wzdrygają się na samą myśl o tym, że mieliby poruszyć ten temat ze swoimi dziećmi. Brak mi cierpliwości do takich ludzi. Kto niby powinien w tej kwestii edukować (albo wręcz przeciwnie) ich dzieci? Teledyski? Pornografia w sieci? Rozmowy w szatni?

Ciężko jest być rodzicem, a jeszcze ciężiej być rodzicem dziecka, które przeżyło napad seksualną albo się jej dopuściło i teraz odsiaduje wyrok w więzieniu. *Speak* daje początek wielu ważnym rozmowom, jakie powinno się przeprowadzić w rodzinnym gronie.

Czy ofiary przestępstw na tle seksualnym rozmawiają z Panią o swoich doświadczeniach? Jak sobie Pani z tym radzi?

Odezwały się do mnie tysiące osób, które przez to przeszły, zarówno kobiety,

jak i mężczyźni. Zawsze czuję się zaszczycona, że ufają mi na tyle, by podzielić się ze mną swoimi historiami. Wysłuchiwanie ich to prawdziwe emocjonalne wyzwanie, ale nie chodzi w tym o ocenianie, jak wiele wycierpiała dana osoba. W takich sytuacjach moim zadaniem jest uważnie jej wysłuchanie, pokrzepienie i namówienie do tego, by znalazła w swoim otoczeniu godnych zaufania dorosłych (rodzica, terapeutę, duchownego, doradcę, nauczyciela), z którymi mogłaby porozmawiać i którzy pomogliby jej uzyskać potrzebną pomoc.

Co myśli Pani o określeniu „gwałt na randce”?

Jeśli chłopak pod koniec randki kradnie dziewczynie portfel, czy nazywamy to „kradzieżą na randce”? Albo czy będziemy traktować „morderstwa na randce” inaczej niż morderstwa, do których nie doszło na randce? Oczywiście, że nie. Uważam, że to określenie jest zniewagą dla osób, które przez to przeszły, i nigdy więcej nie powinno się go używać.

Co powiedziała Pani osobie, która niedawno przeżyła napad seksualną?

Amerykańska organizacja non-profit, której celem jest przeciwdziałanie gwałtom, nadużyciom oraz kazirodztwu (The Rape, Abuse & Incest National Network), prowadzi stronę internetową z najlepszymi dostępnymi źródłami (www.rainn.org). Można tam znaleźć mnóstwo porad dla osób, które borykają się z brakiem odwagi, by opowiedzieć o tym, co się wydarzyło. To właśnie tam otrzymają pomoc, której potrzebują, by dojść do siebie po gwałcie lub innych rodzajach przemocy seksualnej.

Czy z biegiem lat zmieniły się jakoś pytania czytelników?

Większość osób wie już, czym jest samo pojęcie przyzwolenia, choć wiele z nich wciąż nie do końca rozumie jego definicję. Od jakiegoś czasu dostaję też listy od osób, które były molestowane lub zgwałcone przez partnera tej

samej płci lub osobę transpłciową, choć zatrważającą liczbę ofiar skrzywdził chłopiec lub mężczyzna.

Więcej czytelników przyznaje, że zostało zmuszonych do sextingu albo seksu oralnego w szkolnym autobusie. Odzywają się do mnie również osoby, które zaczynają aktywnie udzielać się w walce z przemocą seksualną, w każdej jej postaci. Potrzebujemy do tego tak wielu osób, jak to tylko możliwe.

Podziwiam Panią, nie tylko jako pisarkę, ale także jako osobę. Tego roku wiele młodych osób w moim mieście musiało sobie poradzić z falą śmierci. Wydawać by się mogło, że wszyscy są przygnębieni i pełni niepokoju. Co możemy z tym zrobić?

Z własnego doświadczenia wiem, że rozmowa pomaga w ukojeniu smutku, jaki niesie ze sobą czyjaś śmierć. Czasami jednak ktoś nie chce o tym mówić – dobrze jest wtedy znaleźć sobie jakieś zajęcie, coś, co pozytywnie wpływa na zdrowie i wymaga aktywności fizycznej. Pewnie dlatego biegi i maratony cieszą się taką popularnością.

Kiedy ludzie zbierają się razem w jakimś szczytnym celu i trochę się ruszają – nieważne, czy podczas marszu, odnawiania budynku albo sprzątania parku – wytwarza się między nimi prawdziwie uzdrawiająca energia.

Upewnij się również, że każdy ma dostęp do gorących linii, takich jak **To Write Love on Her Arms: twolha.com; The Trevor Project: thetrevorproject.org; RAINN: rainn.org/about-national-sexual-assault-telephone-hotline; oraz National Suicide Prevention Lifeline: suicidepreventionlifeline.org.**³ Wolontariusze czekający po drugiej stronie potrafią zrozumieć ból, jaki przeżywacie, i są odpowiednio przeszkoleni, by pomóc Wam odnaleźć zdrowy sposób radzenia sobie z nim.

Jaką wiadomość starała się Pani przekazać na kartach swojej książki?

Nie wysyłam wiadomości, po prostu staram się opowiedzieć ciekawą historię. Ale jeśli jakaś książka się nam podoba i jest dobrze napisana, zwykle czegoś się z niej uczymy. Dobre książki mają to do siebie, że odzwierciedlają ludzkie doświadczenia, a z tego może czerpać każdy z nas.

Kiedy postanowiła Pani zostać pisarką? Co najbardziej Pani w tym kocha? Co sprawia Pani najwięcej trudności?

Od zawsze pisałam dla zabawy. Jako dwudziestoparolatka sprzedawałam krótkie historyjki, a później nabrałam doświadczenia, pisując do gazet i jako wolny strzelec. Wciąż nie mogę uwierzyć, że rzeczywiście płaci mi się za pisanie. Mam wrażenie, że przyjdzie kiedyś taki moment, gdy ktoś postuka mnie po ramieniu, oznajmi, że doszło do pomyłki i każe wracać na farmę doić krowy (tym się właśnie parałam, żeby zarobić na studia).

Najtrudniejsze w byciu pisarką jest znalezienie czasu na to, by w spokoju wszystko przemyśleć. Dorosłe życie zdecydowanie za często się wtrąca, a będąc artystą, ciężko jest dostać (a później opłacać) ubezpieczenie zdrowotne. Oprócz tego naprawdę nie znoszę, gdy ludzie pytają, kiedy znajdę sobie „prawdziwą pracę”. Poza tym uważam, że pisanie to wspaniałe zajęcie.

Uwielbiam puszczać wodze fantazji. Od czasu do czasu kończy się na tym, że wymyślam same okropieństwa, a czasami udaje mi się coś naprawdę świetnego! Nie mogę nacieszyć się tym, że moim dzieciom podoba się to, co napisałam. Kocham wymyślać idealne opisy, sceny i dialogi. Najlepszą częścią pisania jest łączenie ze sobą wątków narracyjnych i scen. No i oczywiście świetnie obserwuje się, jak twój bohater zmienia się wraz z rozwojem fabuły.

Jak wygląda Pani proces twórczy? Pisze Pani książki w jakimś specjalnym miejscu?

Zdarzało mi się tworzyć w różnych miejscach. Pierwszym z nich była szafa

(słowo daję!), później przeniosłam się do piwnicy, ale to był kiepski pomysł – czułam się tam zbyt depresyjnie. Pisywałam w centrach miast, na obrzeżach, w dziurach na mapie, w samolotach, pociągach, samochodach, a nawet na treningach piłki nożnej oraz koszykówki.

Teraz, kiedy jestem w domu, pracuję na strychu, a gdy podróżuję – w nijakich pokojach hotelowych.

Pisze Pani różne historie dla czytelników w różnym wieku – od gatunku Young Adult po książki graficzne, literaturę faktu i historyczną. Niewielu autorów może pochwalić się takim dorobkiem. Czy mogłaby Pani coś o tym opowiedzieć? Czy nie zamierza Pani zrezygnować z tej różnorodności?

Szybko się dekoncentruję i łatwo tracę zainteresowanie. Uwielbiam dzieci w każdym wieku, od niemowlaków aż po nastolatków. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak by to było pisać tylko dla jednej grupy odbiorców. Gdyby ktoś mnie to tego zmusił, pewnie skończyłabym z jakąś paskudną wysypką.

Czy którąkolwiek ze swoich książek oparła Pani na doświadczeniach rodzinnych?

Wychowaliśmy z mężem czwórkę dorosłych już dzieci, które założyły własne rodziny. Kocham ich wszystkich całym sercem, dlatego nigdy nie opisałabym żadnego z nich w swojej książce. To nie byłoby wobec nich w porządku.

Czy Pani dzieciom podobało się, że ich mama/macocha jest autorką książek?

Cieszył je mój elastyczny grafik i to, że mieliśmy w domu tak wiele książek. Nie znosili z kolei, kiedy musiałam dotrzymywać terminów i pisać po dwanaście godzin dziennie. A, i nie mieliby nic przeciwko, gdybym więcej zarabiała.

Co lubi Pani robić w wolnym czasie?

Nie mam zbyt wiele wolnego czasu. Jeśli nie spędzam go z mężem albo nie podróżuję, czytam książki lub je piszę. Lubię też ćwiczyć na siłowni albo oglądać mecze piłkarskie i koszykarskie, a przede wszystkim uwielbiam spać. Strasznie chciałabym mieć na to więcej czasu.

Zamierza Pani napisać drugą część Speak?

Zaczynam poważnie o tym myśleć. Bądźcie czujni!

Dlaczego nigdy nie napisała Pani książki, w której to chłopiec jest głównym bohaterem?

Ależ napisałam, nosi tytuł *Twisted*. Po wydaniu tej historii otrzymałam wiele chwytających za serce listów od chłopców. Wiele z nich brzmiało podobnie do tego:

„Chciałem Pani podziękować za napisanie tej książki. Myślałem o popełnieniu samobójstwa i... [ta książka] rzuciła nowe światło na życie i to, że śmierć wcale nie jest dobrym sposobem na ucieczkę. Jestem podobny do Tylera na wiele sposobów... Naprawdę doceniłem tę książkę, bo zrozumiałem, że potrafię znaleźć w życiu nadzieję i że śmierć nie stanowi rozwiązania. I na koniec – to chyba jedyna książka, którą wziąłem do ręki i nie odłożyłem aż do momentu, w którym skończyłem czytać”.

Tego typu listy bardzo mnie uszczęśliwiają. Często myślę o tym czytelniku – mam nadzieję, że udało mu się odkryć wiele innych fascynujących książek i że ułożył sobie wspaniałe życie. Każdy właśnie na to zasługuje.

Czego nauczyły Panią lata rozmów z nastolatkami o tej książce oraz problemach, jakie porusza? Jakie uczucia w pani wzbudzały?

Dopóki rodzice nie wyjdą ze swojej strefy komfortu i nie zaczną szczerze rozmawiać ze swoimi dziećmi o wyrażaniu przyzwolenia i o seksualności, następne pokolenia będą wyrastać na milczących ludzi przerażonych samą myślą o przemocy na tle seksualnym. To dorośli powinni przemówić na

temat seksu, by świat stał się bezpieczniejszym miejscem dla ich pociech.

1. *Speak. The Graphic Novel* ukazała się w Stanach Zjednoczonych w 2018 r. [przyp. red. pol.]. [\[wróć\]](#)
2. W Polsce statystyki przestępstw udostępnione są na stronie www.statystyka.policja.pl [\[wróć\]](#)
3. Informację o tym, gdzie można uzyskać pomoc w Polsce, znajdziesz na s. 261 [\[wróć\]](#)

KILKA SŁÓW NA TEMAT CENZURY

Żyjemy w czasach, w których ciężko wychowywać nastolatków. Coś o tym wiem, bo wychowałam aż czwórkę dzieci. Problem polega na tym, że młode pokolenie jest teraz narażone na oglądanie horrendalnej ilości erotycznych obrazów w mediach oraz internecie. Widzą je, rozmawiają o nich, a hormony same reagują, przez co wiele dzieci nagle znajduje się w trudnych, bolesnych sytuacjach.

Dzięki literaturze w tradycyjny i bezpieczny sposób możemy uczyć się prawdy o świecie i z pokolenia na pokolenie przekazywać sobie odpowiednie wartości. Książki ratują życia.

Współczesna literatura młodzieżowa nierzadko zaskakuje, bo dokładnie odzwierciedla to, jak dzisiejsi nastolatki myślą, zachowują się i o czym rozmawiają. Ważne jednak, żeby dopilnować, by te książki wiernie oddawały prawdę, inaczej nie przyciągną młodego czytelnika. Nastolatki potrzebują godnych zaufania dorosłych, którzy będą gotowi porozmawiać z nimi o problemach, które najbardziej ich interesują. Wspólne czytanie i dyskusje na temat książki to jeden z najbardziej efektywnych sposobów na zapoznanie nastolatków z wyzwaniem dorosłości i oswojenie ich z nimi.

Cenzura wynika obecnie głównie ze strachu i ja to szanuję – świat rzeczywiście potrafi przerażać. W tym strasznym miejscu przyszło nam wychowywać dzieci, a zwłaszcza nastolatków. Pielęgnowanie i ochrona potomstwa w okresie dorastania to naturalny ludzki odruch, jednak cenzurowanie książek, w których bohaterowie zmagają się z problemami

dorosłości, nikogo nie uchroni. Wręcz przeciwnie – sprawi, że dzieci pozostają w mroku, co sprawia, że są tak podatne na wszelkie krzywdy.

Cenzura to dziecko strachu i rodzic ignorancji. Nasze dzieci nie mogą sobie pozwolić na to, by ukrywano przed nimi prawdę o świecie. To my musimy być dla nich wystarczająco odważni i polecać im dobre książki, z których będą mogli się nauczyć, jak wyrosnąć na mężczyzn oraz kobiety, jakimi chcielibyśmy ich widzieć.

GDZIE SZUKAĆ POMOCY W POLSCE

Jeśli chciałabyś z kimś porozmawiać o czymś, co ci się przytrafiło, wiedz, że istnieją ludzie, którzy cię wysłuchają i którzy ci pomogą. Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę prowadzi anonimowy telefon zaufania dla dzieci i młodzieży pod bezpłatnym numerem 116 111. Więcej informacji znajdziesz na ich stronie internetowej www.116111.pl

Możesz również skontaktować się z Pogotowiem dla Ofiar Przemocy w Rodzinie „Niebieska Linia” pod numerem 0 801 120 002.

OPINIE O *SPEAK*

Anderson, w swoim oszałamiającym debiucie, za sprawą celnych obserwacji i żywych obrazów pozwala czytelnikom spojrzeć na świat oczami wyobcowanej nastolatki. Dodatkowo wzbogaca narrację humorem, dzięki któremu bohaterka jest w stanie przetrwać ból, a czytelnik – poczuć empatię... Brutalny realizm książki i wypracowana z trudem metamorfoza Melindy poruszą i zainspirują czytelników.

Publishers Weekly

Zadziwiająco zabawna książka, choć nie brak w niej mroku. *Speak* utrzyma zainteresowanie czytelników od pierwszej do ostatniej strony.

The Horn Book

Głos Melindy, opisującej swoje przeszłe i obecne życie z gorzką ironią, a czasem nawet lekkim rozbawieniem, jest wyraźny, niezwykle i niesamowicie prawdziwy... Sarkastyczny humor, szczerość oraz odwaga bohaterki czynią z niej godną zapamiętania postać, której ostateczny triumf zainspiruje i pokrzepi czytelników.

Booklist

Zatrważające, trzeźwe spojrzenie na okrucieństwo i brutalność szerzące się w większości współczesnych liceów, tak realistyczne jak nagłówki gazet... Porywająca fabuła i świetnie nakreśleni bohaterowie... o tej książce trudno będzie zapomnieć.

Kirkus Reviews, Pointer Review

Cierpienie Melindy jest namacalne i czytelnicy z łatwością się z nią utożsamiają. To uzależniająca lektura, napisana ostro i z polotem, wciągnie czytelników w opisywaną historię i nie pozwoli się od niej oderwać.

School Library Journal

Historia pełna przenikliwych obserwacji i cierpkiego humoru. Poruszająca lektura.

Library Journal

Niezwykle dobrze napisana... świeże i autentyczne spojrzenie... Ta mocna historia przekazuje nam ważną lekcję: byśmy nigdy nie bali się mówić w swoim imieniu.

VOYA
